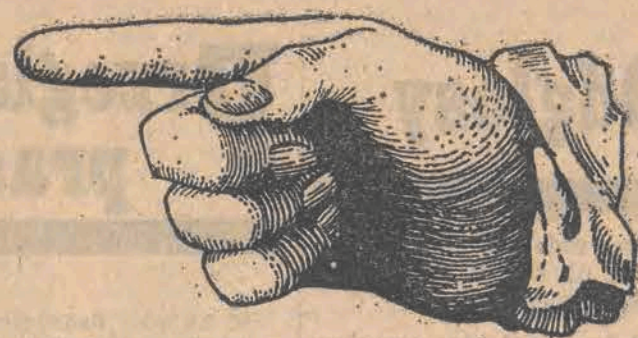


- Tragedia ekologiczna w środku Polski — str. 1 i 7
- Kryminał Agathy Christie — str. 14
- Budda i kobiety — str. 12 i 13
- Rodzice biją dzieci — str. 6
- Co wynikło z potyczki Kalużyńskiego z Kościołem — str. 5



PL ISSN 0472-5042
Nr indeksu 36762

Lódź tygodnik społeczno-kulturalny

Odgłosy

NUMER 31 (1479) ROK XXIX

2 SIERPNI 1986 ROKU

CENA 20 ZŁ

Roman Polański: „Lubię filmy i zawsze będę je lubił!”



Kadr z filmu „Tess” w reżyserii Romana Polańskiego

Osiem lat po „Tess” ROMAN POLAŃSKI powrócił do kina. Dziewięć lat po „Lokatorze” wraca do Cannes. Jego najnowszy film „Piraci” otworzył 39 Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes.

Nasz Belchatów

Świat, który musi zagać (1)

Kominy. Dwa ogromne betonowe słupy pomalowane w białe i czerwone pasy, trzysta metrów wysokości, dwadzieścia pięć metrów średnicy przy podstawach. Nad nimi chmura żółtego dymu — ciężkiego, klebiastego. To elektrownia „Belchatów I” w Rogowcu. Pracuje już osiem z dwunastu zaplanowanych bloków energetycznych opalanych węglem brunatnym z pobliskiej odkrywk. Pierwszy komin dymi pełną mocą: pyłem i siarką. Drugi będzie dymić niebawem. W zeszłym roku ten komin wypchnął w powietrze sto czterdzieści tysięcy ton tlenku siarki i piętnaście tysięcy ton pyłów. Jego bliźniak sposobi się, by wypychać drugie tyle. Corocznie.

Tam, niespełna dwanaście kilometrów na zachód od Rogowca, wyrósł podobne betonowe kominy. Tam będzie elektrownia „Belchatów II” w Osinach. Za kilka lat. Już widać cielska koperek.

STOIMY POD NAJWIĘKSZĄ POLSKĄ ELEKTROWNIĄ.

Stąd rozpoczniemy naszą wędrowkę po bliskiej i dalszej okolicy, bo tutaj jest początek sprawy, która na ziemi, pod ziemią i w powietrzu sięga aż za Łódź, aż za Wisłę.

— W tym miejscu jest najbezpieczniej — stwierdza doktor Józef K. Kurowski, botanik z Zakładu Geobotaniki i Ochrony Przyrody Uniwersytetu Łódzkiego, który od dziewięciu lat prowadzi badania lasów sąsiadujących z wielką inwestycją. — Wysokie kominy elektrowni wyrzucają siarkę i pyły ku górze, a północno-zachodnie wiatry roznoszą je dalej.

— Jak daleko?

Zależnie od siły wiatrów. Lekko i optymistycznie licząc, elektrownia truje obszar o promieniu kilkudziesięciu kilometrów, czyli w zasięgu jej kominów jest kilka dużych miast, także Łódź.

Później w dziale BHP i ochrony środowiska belchatowskiej elektrowni dowiemy się, że siarka i pyły są za pośrednictwem silnych wentylatorów wynoszone termodynamicznie aż sześćset metrów ponad krawędź komina, co zwielokrotnia zasięg trucia.

Zanim uruchomiono tutejszą elektrownię, tło powietrza już za wierało znaczne stężenie pyłów, gazów i tlenków siarki pochodzących głównie ze Śląska oraz z zachodu i południa Europy, głównie z NRD. Teraz, gdy „Belchatów I” daleki jest jeszcze od swej maksymalnej mocy, na kilometr kwadratowy okolicy spada corocznie blisko dziewięćdziesiąt ton pyłów.

Belchatowska elektrownia nie ma żadnych urządzeń odsiarczających emitowane do atmosfery gazy. Niebawem, gdy ruszy dwunasty blok energetyczny, oba kominy będą każdego roku skażały powietrze porcją prawie trzystu tysięcy ton tlenku siarki.

Trujące pyły zawierają dwadzieścia pięć rozmaitych metali ciężkich, które przenikają do gleby, wody i produktów rolnych. Istniejący system elektrofiltrów wychwytyje ponad dziewięćdziesiąt procent pyłów powstających przy spalaniu węgla brunatnego. Ale reszta spada na pola, lasy i miasta. Tej „reszty” będzie trzydzieści tysięcy ton.

Za każdy kilogram wyemitowanego do atmosfery tlenku siarki elektrownia płaciła dotychczas sześćdziesiąt groszy na fundusz ochrony środowiska. Od stycznia 1988 roku płaci dwa złote i czterdzieści groszy za kilogram. Łącznie za tzw. użytkowanie środowiska — czyli po prostu za systematyczne uśmiercanie przyrody — kombinat zapłaci w roku bieżącym prawie jeden miliard złotych!

Pytamy, kto na tym traci: oni — truciele, czy my — zaszerzowani truciznami?

Zamiast odpowiedzi ujrzymy nieokreślony gest ręką i dopiero potem padną słowa:

— Ten miliard dolizy się do kosztów produkcji energii elektrycznej, więc zapłacą jej odbiorcy.

— To znaczy, że zapłacimy podwójnie — raz, bo zniszczymy przyrodę, dwa, bo finansujemy trucie?

— Tak. Elektrownia jest od wytwarzania energii, nie od ochrony środowiska.

Do elektrowni wiedzie szeroka asfaltowa droga. Duży na niej ruch pojazdów, tłoczno. Droga przecina najstarszy w środkowej Polsce las: bór sosnowy liczący sobie sto czterdzieści pięć lat.

— Elektrownia jest zaledwie epizodem w życiu lasu — powiada doktor Kurowski. — Jej żywotność oblicza się na trzydzieści, najwyżej czterdzieści lat, czyli do momentu wyczerpania złóż węgla brunatnego. Las może żyć nieporównywalnie dłużej.

— Czy, aby na pewno epizodem?

WĄPIMY ZGODNIE

Stumetrowej szerokości pas wycinki leśnej pokrytej asfaltem jest jak gangrena. Wzdłuż szosy sterczą kikuty martwych albo właśnie umierających drzew. To od spalin. Jeszcze nie od zabójczej siarki, jeszcze nie od pyłów, ale od samochodowych spalin obficie nasycających powietrze. Codziennie drogą przez las sunie kilka tysięcy ciężkich pojazdów. Samych autobusów dowożących i odwożących osiemnaście tysięcy pracowników paliwowo-energetyczny kombinat ma prawie pięćset. Ciężarówek i maszyn budowlanych nikt nie liczy. Nie ma czasu na statystykę.

Ściana lasu wchłania tysiące ton toksycznych spalin. Sosny już nie chcą wchłaniać, nie mogą. Gubią martwe igliwie, sterczą pędzlami usychających gałęzi. Nieliczne drzewa liściaste bronią się jeszcze. One mają większe szanse przeżycia, bo natura pozwala im każdego

Ogłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44,

sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski. Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Marek Koprowski, Włodzimierz Kozłowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoneczny, Jerzy Panaszewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch” 91-103 Łódź, ul. Sienkiewicza 3/5.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; 2. dla indywidualnych prenumerat: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli; osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch” opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorki. Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch”; 3. prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę początkowo jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc., dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam. 2313. B-2.

Przegląd prasy

W Związku Radzieckim — a jest to rosyjska tradycja — wielką wagę przywiązuje się do słowa pisanego, do słowa drukowanego, do literatury. Traktowano literaturę — i tak traktuje się ją nadal — jako specyficzne narzędzie dokonywania człowieka i społeczeństwa. Byłoby wielkim uproszczeniem użyć tu słowa wychowanie. Jest to coś więcej. Literatura była w Rosji i jest w ZSRR lustrem społeczeństwa, w którym się ono przegląda starając się dostrzec to, co widzi wokół siebie i porównać do własnego. W literaturze literackiej jest też sędzią i to często surowym, jest przewodnikiem i nauczycielem, podpowiada bowiem często jak żyć. Lapidarnie ujął to w wywiadzie dla „MOSKOWSKICH NOWOSTI” (z 29 czerwca 1986 roku) armeński pisarz Grant Matiewosjan: „Wszystko, co się zdarza na ziemi, najpierw rodzi się w słowie pisarza”. To słowo musi trafić do ludzi, a oni muszą dać mu wiarę. Czy tak działo się do tej pory w radzieckiej literaturze? Na to pytanie próbowano odpowiedzieć w czasie obrad XVII Zjazdu Pisarzy Radzieckich.

Danił Granin z Leningradu porównał — a można to było przeczytać w „LITIERATURNOJ GAZETIE” (z 2 lipca 1986 roku), która opublikowała teksty wystąpień pisarzy na XVII Zjeździe Pisarzy Radzieckich — sytuację w literaturze do zwiadu wojskowego. „Wyobraźcie sobie, towarzysze, że posyłać was na zwiad. Po wykonaniu zadania wracacie i meldujecie, że naliczyliście sto czolgów nieprzyjacielskich. „Ech, nie! — mówią wam. — To za dużo! Zameldujcie, że nie więcej niż dwadzieścia. Tak będzie przyjemniej”. Mniej więcej w takiej właśnie sytuacji znajdowała się jeszcze niedawno nasza literatura”.

LITERATURA JAKO ZWIAD

społeczny musi wcześniej dostrzec i sygnalizować zarówno zjawiska ujemne jak i pozytywne, musi dawać obraz dokonujących się przemian, pokazywać ich kierunki — tak właściwie, jak i niewłaściwie. A tak nie działo się i dlatego tyle krytycznych uwag o literaturze wypowiedzieli radzieccy pisarze. Ukraiński pisarz Bożis Olejnik powiedział między innymi: „Musimy jednak z całą odpowiedzialnością powiedzieć i o tym, że naruszenie zasady sprawiedliwości społecznej szczególnie boleśnie dotknęło literaturę. Istota tego naruszenia wyraża się w poddyktowanych na taśmę powieściach o wszystkim i konkretnie o niczym, w tasmecowych sztucznych wierszach, odważnie nazywanych poematami. Niestety, nie tylko zostały one opublikowane, lecz niekiedy także uhonorowane najwyższymi nagrodami literackimi. Niejednokrotnie laury otrzymywali ci, którzy stali blisko moźnych tego świata w ogóle, a świata literatury w szczególności”.

Myśl tę rozwiniął wspomniany już Danił Granin. „Po cóż zło ma się przemieniać — pytał z trybuny XVII Zjazdu Pisarzy Radzieckich — jeśli może się dobrze urządzić? Dowiedzieliśmy się o nim wiele, dowiedzieliśmy się o walce z nim, często bohaterskiej walce samotników. Trzeba przyznać, że wielu z naszych pozytywnych bohaterów książkowych nie potrafiłoby sprostać takim próbom — zbyt są infantylni, zbyt troskliwie ochraniają ich redaktorzy, zarówno ci płatni, jak i bezpłatni, żyjący w nas samych, ochraniają przed niesprawiedliwością, porażką, rozpaczą, tragicznym rozwiązaniem. Pozbawiali ich poważnych przeciwników. Negatywny bohater w naszej literaturze to nie szatan, nie diabeł, lecz małe czaroliki, złoczyńcy bez masek, bez porzeczki, pojedynczy krętarze. Nie są przy tym żadnym zjawiskiem, lecz raczej przypadkiem. Mamy o co mieć do siebie pretensje, nie z racji wyznań, które są powinnością każdego artysty, lecz dlatego, że po swo-

jemu uczestniczyliśmy w dopisywaniu, w ustępowaniu, w galowkach, kierując się nie głosem własnego sumienia, lecz oznakami aprobaty”.

AWANGARDA MYŚLI SPOŁECZNEJ

Aby uczyła tego, co dobre, i zachęcała do bezkompromisowej walki ze złem.

„Kiedy rodzi się społeczna potrzeba zrozumienia czasów, a zwłaszcza czasów przelomowych — mówił na XXVII Zjeździe KPZR Michał Gorbaczow — zawsze pojawiają się ludzie, dla których staje się to potrzebą wewnętrzną. W takich czasach żyjemy obecnie. Ani partii, ani społeczeństwu nie jest potrzebne fasadowe słowolustwo i miłka pisanina, koniunkturalizm i chałtura. Społeczeństwo oczekuje od pisarzy odkryć twórczych, prawdy życia, która zawsze była istotą prawdziwej sztuki. Jednakże prawda nie jest pojęciem abstrakcyjnym, jest ona konkretna. Zawiera się w dokonaniach narodu i sprzecznosciach rozwoju społeczeństwa, w heroizmie i codzienności powszedniej pracy, w zwycięstwach i porażkach, dramatyzmie i wielkości. Tylko literatura ideowa, o wysokich walorach literackich, ludowa wychowuje ludzi uczciwych, silnych duchem, zdolnych wziąć na siebie brzemień swych czasów”.

Naturalną zasadą funkcjonowania naszego społeczeństwa jest krytyka i samokrytyka. Nie ma bez nich rozwoju. Krytyka literacka powinna już otrzaskać się z łagodnością i zaprzeczenia w autorytety, zjawisk drażniących zdrową moralność, pamiętać, że krytyka jest sprawą społeczną, a nie wyrazicielką egoizmu i ambicji autorów”. Na XVII Zjeździe Pisarzy Radzieckich również i

KRYTYKA ZOSTAŁA PODDANA KRYTYCE

Przed wszystkim za to, że nie posługuje się obiektywnymi kryteriami, jest stronnicza, łagodna, „jak na razie — powiedział Jurij Bondariew — nie ma jeszcze u nas krytyki prawdziwie obywatelskiej, chociaż na szczęście są ułatowieni krytycy”. A jest tak dlatego, że „krytyka w życiu i w literaturze ma obowiązek sprzeciwiać się martwym, skostniałym gustom, trywialnym nawykom, ambicjom i pragnieniom filitrat, grupowym pseudowartościom, a więc iść pod prąd przeciwnego moralnego, wypaczonej obyczajowości”. I tego nie robi. Nie robi tego krytyka literacka i szerzej rozumiana krytyka społeczna, uzdrawiająca instrument społecznego działania.

„Czyż można powiedzieć coś satysfakcjonującego — kontynuował Jurij Bondariew — o tym uzdrawiającym instrumencie społecznym, jeżeli zburzone zostały setki bezcennych zabytków historycznych, jeśli w architekturze zwyciężyła plaszczystość i kat prosty astylowego stylu, który typowymi postawami oszpecał nasze miasta, pozabawił je ciepła, ducha historii i wyrządził w ten sposób ogromną szkodę niczym nie zastąpionym uczuciom patriotyzmu”.

Robert Roździestwiński przypominał, że przy okazji każdego zjazdu, nie wyłączając i XVII Zjazdu Pisarzy, mówi się „o szarzyźnie naszej literatury”, „o potoku szarzyzny”, że „wokół tej sprawy robi się bardzo dużo hałasu”, ale jest to hałas maskujący, odwracający uwagę od spraw istotnych. Ci bowiem, którzy krytykują „szarzyznę w naszej literaturze”, krytykują przeciwnie, „z reguły nie wiadomo czemu nie przytaczają ani jednego tytułu, ani jednego nazwiska”. Taka krytyka „szarzyzny w naszej literaturze” do niczego nie prowadzi, sprawia tylko wrażenie, że wszyscy są bardzo odważni i krytyczni.

Grigorij Baikanow ujawnił natomiast mechanizm, według którego krytykuje się pracę różnych autorów.

„Zgodnie z tabelą rang Jednego nie można krytykować, bo zajmuje takie to stanowisko, wybrany został tam a tam, innego należy wymieniać z takimi to epitetami, a nie inaczej, dlatego, że jest odznaczony tym to. Krytyka nasza w większości przypadków jest jak rzeczka: ciągle z góry w dół płynie”.

W rozmowie z J. Bielostocką z pisma „TRUD”, która to rozmowa ukazała się 8 czerwca 1986 roku, Bułat Okudźawa bardzo ładnie i trafnie powiedział o kryteriach, którymi należy mierzyć literaturę.

„W literaturze podstawą wszelkiej hierarchii jest tylko jedno: talent. Można napisać wiersz o różny i wyrazić w nim namiętną miłość do kraju, do jego kultury. Te strofy mogą okazać się bardziej politycznie zaangażowane niż inne, pełne bezpośredniego patosu. Niestety, zaangażowanie polityczne poezji jest niekiedy pojmovane bardzo prymitywnie: jeśli wiersz mówi o ujarzmianiu Angary, to jest wierszem politycznie zaangażowanym, jeśli zaś mówi o miłości — to jest głęboko liryczny. Poezja zawsze i wszędzie jest przede wszystkim poezją”.

Radzieccy pisarze wypowiadający się z trybuny XVII Zjazdu Pisarzy ZSRR nie ograniczali się tylko i wyłącznie do literatury, mówili o wszystkim, co ich interesuje, boli, co godne jest pochwały i godne jest nagany. Andriej Wozniesiński skrytykował projekt Pomnika Zwycięstwa, jaki ma stać na Prospeście Kutuzowa, obok znieulowanej Góry Pokonnej i wykarczowanego starego parku. Projekt tego pomnika wystawiono koło mostu Krymskiego do społecznej oceny. Andriej Wozniesiński nazwał go jednym „z najbardziej ponurych i nieudanych pomników na świecie”. On też zwrócił uwagę na poważne braki w literaturze. „Czytelnik u nas dojrzał do tego — powiedział — aby czytać wszystko. Ale nie mamy nie tylko przywołanego wydanego Awakuma — „pierwszego rosyjskiego awangardzisty”, nie mamy naukowo opracowanych dzieł wszystkich Majakowskiego i Jesienina. Czas już wydać Zamiatina, Chodasewicza, czas wydać wszystkie utwory Achmatowej, wszystkie utwory Pasternaka”.

Jewgienij Jewtuszenko przypominał, że minęło już 26 lat od śmierci Borysa Pasternaka, a „my do tej pory nie znaleźliśmy czasu, aby uczcić jego pamięć należnym domem-muzeum”. I w imieniu 40 pisarzy-delegatów na XVII Zjazd Pisarzy Radzieckich przekazał do prezydium Zjazdu oraz do nowego sekretariatu Związku Pisarzy ZSRR pismo, w którym wyrażono obawę, „że w rok 1990, kiedy to przypadnie 100 rocznica urodzin Pasternaka, możemy ku swemu wstydkowi wejść z pustymi rękami, bez domu-muzeum”.

Tematami rozważań były też

HISTORIA, KULTURA, PRZYRODA

Jurij Bondariew zarysował obraz przyszłości nie tylko ZSRR, jeśli ludzie rozumni, z wyobraźnią, nie powstrzymają ludzi gotowych wszystko narazić na szwank tylko dla spełnienia swoich czysto ambitnych, ale i szkodliwych planów.

„Jeżeli nie powstrzymamy niszczenia zabytków architektury — mówił — jeśli nie powstrzymamy gwałtu zadawanego rzekom i ziemi, jeśli nie nastąpi moralna eksplozja w nauce, w krytyce, to pewnego dnia, który będzie ostatnim i pogrzebowym, my ze swoim niewyobrażanym optymizmem okniemy się i zrozumiemy, że została strata z powierzonej, znikła na zawsze uśmiechnięta i zgnębiona kultura narodu ogromnej Rosji, jej duch, jej miłość do ojczyzny, jej piękno, jej wielka literatura, malarstwo, filozofia, a my nadzmy nędzarze siedzimy na zgłiszczach, wspominając miły naszemu sercu ojczysty alfabet i nie mogąc go sobie przypomnieć, bowiem zginęły bez śladu i myśli, i uczucie, i radość, i pamięć historii”.

Może to przesadzony, ale jakże sugestywny i przerażający obraz. Sztuka musi ostrzec. Radzieccy pisarze to robią. Wiele można się od nich i trzeba nauczyć.

LUCJAN BOGUSZ

NA WŁASNY RACHUNEK

Powstaniowy bilans

Co rok tego dnia, nie tylko w Warszawie, ale wszędzie, gdzie żyją świadkowie i uczestnicy powstania warszawskiego, obchodzą oni mniej lub bardziej oficjalnie rocznicę tego wydarzenia, a ściślej — rocznicę wybuchu powstania, dziś już czterdziestą drugą. Każdego z nich nachodzi chwila zadumy i refleksji nad minionym, ale ciekaw jestem, ilu (zapewne niewielu) ubolewa nad faktem, że do powstania w ogóle doszło, a ilu (zapewne większość) czci w tym wspomnieniu ofiarę krwi — jako wartość samą dla siebie — i żadne rozterki nie mają do nich przystępu, jedynie uczucie dumy, że oto naród wypełnił wicher — po raz któryś z rzędu — swoją powinność i okazał się godny bohaterów poprzednich powstań narodowych.

Co do mnie, to wraz z oddalaniem się w czasie od tych pamiętnych przeżyć coraz silniej utwierdzam się w przekonaniu o wojskowym bezsensie i politycznej szkodliwości tego wydarzenia, o tym zwłaszcza, że można było jednak uniknąć tyłu ofiar i zniszczeń, a także błędnie skierowanych pretencji i urążów. Ale jeszcze bardziej interesuje mnie, czy i w jakim stopniu zmieniły się postawy i odruchy społeczeństwa, czy zmniejszyła się jego podatność na emocjonalne bodźce zbiorowego działania. A o tym mogłoby coś powiedzieć analiza dzisiejszego stosunku ludzi do ówczesnej decyzji wywołania powstania. Nie wiem nawet, czy tego rodzaju sondaż był przeprowadzany...

Otóż krytycznym i rezerwowym wobec tego wydarzenia uznaję za fakt jednoznacznie dodatni, nie wyznaję bowiem obłędnego, irracjonalnego poglądu, że dobrze będzie się dziać w ojczyźnie, gdy wszyscy za nią oddamy życie. Taki nastrój panował wśród znacznej części społeczeństwa przedpowstaniowej Warszawy, zwłaszcza wśród młodzieży, a z prawdziwą niechęcią spotykał się każdy, kto pytał: „A gdzie będzie się podziwiać owa wymarzona ojczyzna i kto, jaki naród, będzie jej ziemię zamieszkiwał, gdybyśmy się dali doszczętnie wytępić?”

Przeraza mnie cierpiętnicy kult dla spraw z góry skazanych na przegranie i dla daremnych ofiar, jaki przewija się przez cały ciąg naszych narodowych powstań. W naszej bowiem, nieprzewidywanej do końca, romantyczno-mistycznej tradycji tytułem do chwały było dla wielu ludzi nie tyle osiągnięcie celów politycznych przez wojenne zwycięstwo, ile ofiara krwi — im obfitsza i bardziej bezradziejsza, tym szlachetniejsza. Na tę obślizłość polskiego patriotyzmu zwrócił uwagę Stanisław Wyspiański, wkładając w swojej „Warszawiance” w usta generała Chłopiczkiego gorzko drwiące słowa, skierowane do tych, co tylko marzą o tym, by zginąć za ojczyznę, zamiast myśleć o tym, jak dla niej zwyciężyć i przeżyć.

Znamienne, jak słabo oddziaływało na wyobraźnię ogółu rodaków jedyną narodowe powstanie dobrze przemyślane i zorganizowane, podjęte z konieczności i przy tym zwycięskie. Tym wyjątkowo wygranym powstaniem jest oczywiście powstanie wielkopolskie. Powinniśmy się nim chlubić, jak żadnym innym. Ale właśnie dlatego, że tym razem ofiara krwi nie poszła na marne, bohaterstwo Wielkopolan, nie mniejsze przecież niż uczestników innych powstań, otacza nie tak wielki nimb, jak wszystko to, co wiąże się u nas z klęską.

Nie inną jest też podłość pewnego jakby lekceważenia tych powstań zbrojnych w innych krajach, które nie tylko osiągnęły swój cel, ale w dodatku stosunkowo niewielkim kosztem, jak powstań w Pradze czy w Paryżu, gdyż właśnie romantyczna aureola otacza porażki, i to okupione hekatombą ofiar, tak jakby naprawdę mógł istnieć tylko heroizm klęski.

Ten system wartości kryje w sobie, jak mi się wydaje, pewne niebezpieczeństwo dla samych zasad politycznego myślenia obywateli, prowadzi bowiem do lekceważenia decyzji rozważnych politycznie, podejmowanych kompetentnie i w poczuciu odpowiedzialności za skutki, nie tylko dorodne i od razu zauważalne, ale i dalekosieżne. Umiejętność przewidywania praktycznych skutków podejmowanych decyzji, która np. charakteryzuje politykę zagraniczną wielu państw i stanowi już jakby ich tradycją, bywa u nas nieraz określaną pogardliwie jako „kupiecka kalkulacja”, w czym zawiera się — jakże bezzasadny — zarzut braku moralności w polityce, gdy tymczasem z zupełnym brakiem potępienia ze strony tych ludzi spotykają się także właśnie podstawowe błędy przewidywania, taka karygodna nieodpowiedzialność i takie politykierskie rachuby, jak właśnie u przywódców nieszczęsnego powstania warszawskiego, co stało się przyczyną śmierci co najmniej dwustu tysięcy mieszkańców stolicy i całokształt zagłady miasta. Sądzę, że w społeczeństwie myślącym kategoriami politycznymi ci niefortunni przywódcy zasłużyliby sobie na bezwzględną niesławę.

Mat jednak obawy, czy taki wniosek — nieodczyny dla zgodnego z rozumem i z poczuciem odpowiedzialności myślenia politycznego jest udziałem dostatecznie szerokiej kręgów polskiego społeczeństwa, a przynajmniej tyle pożytku powinniśmy wynieść z powstańczej tragedii. Uważam przysięż, że ludzie, którzy o polityce nie myślą w kategoriach zrealizowanej skuteczności, lecz naiwne chęć, powinni spokojnie ślać swoją pietruszkę i nie zabierać głosu na tematy polityczne nawet u cioci na imieninach. Oczywiście, każdy może się mylić w ocenach, ale dążenie ze względów „moralnych” do celów politycznych, których szanse urzeczywistnienia nie są nam wiadome, równa się szarlatanerii.

JERZY KWIECIŃSKI

W najbliższych numerach „Ogłosów”

- piszą między innymi: — Władysław Maria Grabski o istocie zmian, jakie dokonują się w ZSRR po XXVII Zjeździe KPZR, — Marian Podlaszewski prezentuje XVI-wieczną historię o głupich warchołach i wiąże to ze sprawami jak najbardziej aktualnymi, — Stanisław Kawczyński przypomina, że nie tylko Zygmunt Kalużyński wadził się z Kościołem, — Jacek Binkowski prezentuje klasę edukacji teatralnej w Łodzi i sukcesy takiej edukacji w Gdańsku, — Roger Vadim opowiada o swojej miłości do BB, — Dariusz Dorożyński dzieli się wrażeniami z pobytu w Bułgarii i pisze niezbyt pochlebnie o polskich turystach, — Relacja o tym, jak Zhou Enlai radził sobie z dyplomatami amerykańskimi, krytykował Nikitę Chruszczowa i załatwiał inne sprawy z dziedziny polityki zagranicznej ChRL, — Korespondenci „Ogłosów” relacjonują przebieg Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu, — Witold Werner opowiada o wyprawie kutra rybackiego z Władysławowa na łowiska bałtyckie, — Kolejny reportaż Romana Kubiaka i Pawła Tomaszewskiego o „Naszym Bełchatowie”, — poza tym felietony, proza, wiersze, listy od Czytelników.

Jednym z najbardziej osobliwych relikwów kapitalistycznej przeszłości Łodzi — unikalnym ze względu na ilość, rozmaitość i stan zachowania w skali krajowej, a nawet europejskiej — są charakterystyczne zestawy architektoniczno-urbanistyczne: fabryczka lub fabryka, tuż obok niej pałac lub pałac z mniejszym lub większym parkiem, a czasami w niewielkiej odległości zespoły mniej lub bardziej zgrzebnych domków dla robotników, niekiedy nawet przywoźców murowanych. W zależności od wielkości fabryki i powołania fabrykanta w interesach, różnej klasy są pałacyki, różny też stopień skromności i biedy prezentują domki robotnicze. Najciekawszy socjopsychologicznie jest jednak fakt, że owe pałacyki lub wręcz wystawne pałace są tak natrętnie obecne tuż przy fabryce, niemal przy wejściu do niej, tak by robotnik co dzień mógł je sobie oglądać, albo przynajmniej — gdy pałac skrywał się nieco w parku za wysokim parkanem — czuć fizycznie jego obecność.

Przyzwyczajeni do pewnych dzisiejszych wyobrażeń i socjopsychologii, gdy właściciele bogatych posiadłości starają się za bardzo nie kluczyć w oczy swoim bogactwem, również w bogatych krajach kapitału, przenosząc się chętnie dyskretnie gdzieś poza miasto, zadać sobie musimy pytanie, dlaczego w tej epoce nieoklepałego, choć w skali europejskiej zapóźnionego, kapitalizmu z tym się nie liczone, i to w sytuacji, gdy kontrasty w poziomie życia kapitalisty i robotnika były jeszcze większe niż dziś. Czy właściciel pałacu nie ryzykował, że w oglądającym na co dzień jego bogactwo i próżniactwo robotnikowi, na tle jego biedy i morderczej pracy, budzić się zaczęła nienawiść do systemu i rewolucyjne myśli, by skończyć raz na zawsze z systemem wyższości i ucisku?

Tak myślimy dzisiaj, ale spróbujmy spojrzeć okiem ówczesnego fabrykanta i robotnika rozumiejących, każdy na swój sposób, ówczesne psychosocjalne uwarunkowania kapitalistycznego boomeru w Łodzi. Właściciel fabryki miał bowiem swoje psychologiczne rozeznanie, nie uciekając ze swoim bogactwem wstydliwie, lecz prezentując je w całej okazałości pałacu i przynależnego doń parku. Wiedział bowiem, że ostatnią rzeczą jaką przyjdzie do głowy robotnikowi, szczęśliwemu, iż dostał u niego pracę, będzie myśleć o zmianie systemu ani o jego wewnętrznej niesprawiedliwości.

POCZUCIE NIESPRAWIEDLIWOŚCI

rodziło się u robotnika raczej w momentach, gdy nie otrzymał zapowiadanej zapłaty lub wręcz został zwolniony z pracy. Inne poczucie niesprawiedliwości, odnoszące się do całego systemu, zaczęło się kształtować, gdy w wyniku kryzysów zaczęła się masowa zwolnienia, warunki pracy okazały się nie do zniesienia lub płace zbyt głodowe. I gdy pojawiają się brodati wychudli agitatoży, którzy będą wyjaśniać robotnikowi, że ten, jego pracodawca, a więc ten, który mu rzekomo coś daje, wobec niego, pracobiorcy, a więc tego, który rzekomo coś z łaski dostaje, został uznany przez niejaki Karola Marksa, przyjaciela robotników, bezwzględnie wyższym wykształceniem, zabierającym sobie część efektów pracy robotnika, i że ów Marks to nawet naukowo udowodnił.

Na razie jednak, pierwotnym, „naturalnym” stanem ducha robotnika oceniającego swoją sytuację jako tego, który „dostał” pracę, w porównaniu na przykład z tymi, którzy biedowali na wsi lub w mieście — nie mając tego szczęścia, jest poczucie wdzięczności i nadziei. Wdzięczności, że pracodawca dał mu pracę i nadziei, że pracując wytrwale i przy odrobinie szczęścia uda mu się co nieco odłożyć, a potem nawet, jeżeli będzie człowiekiem „z głową”, i uśmiechnie się doń fortuna, może zostać również, właścicielem podobnej fabryki, a przy tym oczywiście i podobnego pałacu!

Bo to przecież przez nikogo nie było zabronione! Dawny feudalny system uczył chłopca, że jak świat światem pan będzie panem a chłop chłopem, i jednemu jest przeznaczony pałac, a drugiemu kurna chata. Teraz robotnik dowiadywał się, że ten bogaty i potężny fabrykant (lub jego ojciec lub dziad) też kiedyś zaczynał od zera i swoje bogactwo zawdzięcza tylko swojej mądrości i charakterowi. Zaś mądrość i charakter może mieć każdy. Tylko leń i niedoradza będą w tej sytuacji zazdrościć tego bogactwa. Trzeba się po prostu wziąć do roboty, by kiedyś mieć to samo. Szanse mają wszyscy!

Oglądany pałac fabrykanta był więc dla robotnika niby wystawiony przed zawodami sportowymi puchar i nagroda rzeczowa dla tego, kto będzie najlepszy. Mało kto uświadamia sobie wtedy, że zwycięzcą może być tylko paru, gdy startują dziesiątki tysięcy. Jak również tego, że tam, gdzie są wielcy zwycięzcy, na ogół również i wielcy przegrani. Dla tych jednak, którzy lubili wielki ryzyko, był to od początku system wielkiej gry. „Ja nie mam, ty nie masz, on nie ma, zakładamy fabrykę” — powiedziało sobie trzech energicznych młodych ludzi, w książce o wczesnokapitalistycznej Łodzi, przerobionej później na świetny film. Ale trzeba było najpierw jednak ten wstępny kapitalik gdzieś „zdobyć” nieważne czy uczciwie, by potem wejść w ekonomiczną rutynę, gdy spadek lub wzrost cen bawełny czyni z nędzarzy milionerów lub spadek cen wyrobów gotowych z milionerów nędzarzy.

W takiej sytuacji ze swoim bogactwem nie wolno było się chować. Raz, że mogło być krótkotrwałe i trzeba było się nim jak najpełniej nacieszyć, po drugie — ono stanowiło motywację działania już dysponujących jakimś kapitałem, a było cichym marzeniem i skrytą nadzieją całych rzesz tych, którzy mieli tylko swoje dwie ręce i na utrzymaniu dzieci. Dziwie jest niezmierznie pochodzenie słowa proletariat — od łacińskiego słowa „proles” — latorośl, potomstwo. Nie zapowiada jeszcze tych cech, jakie będzie musiała mieć świadoma swojego miejsca i misji klasa robotnicza.

Proces kształtowania się adekwatnej do jej rzeczywistego położenia społecznej dynamiki dziejowej tkwiącej w jej sytuacji bezpośrednich producentów, w coraz bardziej uspołeczniających się warunkach świadomości klasy robotniczej, będzie procesem niezwykle długim i skomplikowanym. Wielka była bowiem i jest siła mitu o tym systemie jako dającym sprawiedliwie każdemu jego szansę, którą może dobrze lub źle wykorzystywać.

CIĄGLE KRĄŻĄ MITY

o tych robotnikach, którzy się przed wojną dorobili, co prawda nie pałacu, ale przynajmniej jakiegoś domku, co uznaje się za oczywisty dowód, że system tamten nie był tak bardzo nie-ludzki. Owszem, prawdą jest, że byli tacy, którzy nawet dorabiali się domków, prawdą jest również, że w porównaniu z poprzednim, w którym można było np. bezkarnie zabić lub pobić chłopca, system ten był o wiele bardziej ludzki. Wydaje się jednak, że jego ideologicznie świetnie wyrobili — i ciągle prowadzą swoją kampanię w tym kierunku — pewną postawę w obrębie klasy robotniczej daleką od pełnej ludzkiej dumy i odpowiedzialności, o które to walory przede wszystkim swoją kampanię toczył zawsze marksizm.

TADEUSZ MENDELSKI

Chleb i idee

A postawę tę łatwo sprawdzić nawet empirycznie. Wystarczy dziś nawet jeszcze stanąć na ulicy Księży Młyn w Łodzi. Długa szeroka aleja wysadzana drzewami, po obu stronach rzędy niewielkich domków z czerwonej cegły i z nieproporcjonalnie wielką ilością okien i drzwi. U końca alei wielka ozdobna brama z wieżami, jak w kościele, do wielkiej fabryki z czerwonej cegły. Jeszcze dziś można sobie wyobrazić jak wysypują się o szóstej rano na dźwięk fabrycznej syreny setki robotników, z maleńkich mieszkanek, po paru minutach zabierają się do pracy, która trwa kilkanaście godzin, wracają by zjeść kolację i pójść spać. Fabrykant zbudował je, by mieć pod ręką dobrą, sprawnie pracującą, wyspaną i wdzięczną za łaskę wywyższenia w stosunku do mniej szczęśliwych, wierną kadrę. Samemu mieszkając w pałacu, w którym pomieścił się dziś wielki szpital.

Rozmawiałem z pewnym historykiem na ten temat, który wspominał między innymi o „unikalności tego układu w skali światowej — o takim stopniu zachowania i jak podziwiali ten zestaw francuscy historycy z Lyonu. Jego ideologiczna konkluzja była jednak charakterystyczna: — No jednak ci przedwojenni fabrykanci nie tylko myśleli o wywyższeniu robotników, co dla nich też robili.

Jest to charakterystyczny sposób myślenia, który blokował przez długi czas i nadal blokuje dostęp do myśli rewolucyjnej klasy robotniczej. Również i dziś w przypadku polskiej klasy robotniczej, w świadomości której ciężki bój toczą idee socjalizmu i różnych form drobnomieszczańskiej ideologii, fakt możliwości pewnego „dorobienia się”, uszczelnienia czegoś dla siebie od kapitału uznawany bywa za dowód jego „humanistycznego” charakteru. W tym momencie szczególnie dobrze widać jakie spustoszenia w świadomości czyni zaniedbywanie systematycznej nauki myśli marksistowskiej.

Ow pałacyk wystawiony robotnikowi na intensywny widok i owe domki, których szczęśliwcy (bardzo zresztą nieliczni) się dorabiali, lub im wynajmował fabrykant, miały bowiem jeszcze jedną niezwykle istotną funkcję. Ześrodkowania uwagi robotnika na przedmiotach konsumpcji i użytku, odwracania natomiast uwagi od czegoś, co może dopiero stanowić o godności człowieka, jego prawdziwie ludzkiej społecznej egzystencji. Było to więc narzucenie pewnej prymitywnej filozofii człowieka i sposobu widzenia całego życia społecznego. W tym kapitalizm jest konsekwentny po dziś dzień, co ułatwia mu względna obfitość dóbr w krajach, które zaczęły tę formę produkcji najwcześniej i zapewniły sobie podporządkowanie gospodarki i dostęp do surowców całej reszty niesocjalistycznego świata.

Główne dzieło Karola Marksa „Kapitał” jest dlatego największym humanistycznym dziełem XIX wieku, mimo iż pozornie jest to dzieło ekonomiczne, że dostrzega mechanizmy społecznego zniewolenia, w jakie popada coraz głębiej nawet otrzymujący coraz tłustsze okruszki z pańskiego stołu robotnik. W kluczowym rozdziale 23 pierwszym tomu, omawiając ogólne prawo kapitalistycznej akumulacji, Karol Marks pokazuje, iż głównym problemem wcale nie jest tylko materialne bogactwo, którego odpryski przypaść mogą również czasem robotnikowi.

„W tych najpomyślniejszych dla robotników warunkach akumulacji — pisze Karol Marks — które dotychczas przyjmowaliśmy jako założenie, ich stosunek zależności od kapitału przybiera formę znośne lub, jak powiada Eden, «dogodne i liberalne». Coraz większa część ich własnego produktu dodatkowego, rosnącego i w rosnącym stopniu obracanego w kapitał dodatkowy, powraca do robotników w postaci środków płatniczych, dzięki czemu mogą oni rozszerzać krąg swych artykułów spożywczych, lepiej zaopatrywać swój fundusz konsumpcji, złożyć z ubrania, mebli itd., a nawet stworzyć sobie niewielki fundusz oszczędności pienięż-

nych. Ale podobnie jak lepszy przyrodzivek, lepsza żywność, lepsze traktowanie i większe pekulium nie wyzwalały jeszcze niewolnika ze stosunku zależności i z wyzysku, tak też nie wyzwalały robotnika najemnego. Wzrost ceny pracy na skutek akumulacji kapitału świadczy w rzeczywistości jedynie o tym, że długość i ciężar złotej łańcucha, który robotnik najemny sam sobie już wykuł, umożliwiał rozluźnienie łańcucha”.

Widać tu szczególnie dobrze jakim pobudzeniem ambicji i klasy robotniczej jest marksizm, jakim wyrwaniem jej z „duchowej i społecznej niewoli, w którą zamyka ją system kapitalistyczny, choćby nawet kłatką była coraz bardziej wygodna i ozdobna. Klasa robotnicza zdając sobie sprawę ze swojej sytuacji i potencjalnej siły.

NIE DAĆ SIĘ OTUMANIĆ

nawet perspektywą gonienia kapitalisty w zakresie najbardziej namacalnej konsumpcji zaspokajanej materialnymi przedmiotami. Taki marginalizm i partularyzm myślenia jest tym bardziej zgubny, że pracy do zysku kapitalistycznej pobudzają ekonomiczne, polityczne, militarne si-

ły, które zaczynają się coraz bardziej wymykać spod kontroli grożącej wręcz całemu społeczeństwu. Tylko klasa robotnicza dysponuje środkami dostosowanymi do możliwości okiełznania takich sił. W tym samym rozdziale „Kapitału” Karol Marks wyjaśnia na czym polega niebezpieczeństwo powołanej do życia sytuacji, wykazując nowe, dojrzałe w pełni podejście do poruszanej jeszcze w rękopisach problemu alienacji:

„Wzrost ceny pracy — pisze Karol Marks — włożony więc jest w granice, które nie tylko nie naruszają podstaw systemu kapitalistycznego, ale zabezpieczają też jego reprodukcję w rozszerzającej się skali. Prawo akumulacji kapitalistycznej, zmistyfikowane jako prawo natury, faktycznie wyraża więc tylko to, że istota akumulacji kapitalistycznej wyklucza wszelkie takie zmniejszenie stopnia wyzysku pracy bądź taki wzrost ceny pracy, który mógłby przynieść poważniejszy uszczerbek ciągłej reprodukcji stosunku kapitałowego i jego reprodukcji we wciąż rozszerzającej się skali. I czyż może być inaczej przy sposobie produkcji, gdzie robotnik istnieje dla potrzeb pomnażania istniejących wartości a nie odwrotnie. Podobnie jak w religii nad człowiekiem panuje twór jego własnej głowy, tak w produkcji kapitalistycznej rządzi nim twór jego własnych rąk”.

Tak więc Karol Marks żąda od klasy robotniczej, by podjęła wielkie dzieło wyzwolenia człowieka z władania żywiołowych sił społecznych, co może osiągnąć tylko klasa robotnicza, gdyż ona jedna jest w stanie podjąć działanie oparte o szerokie zasady współpracy harmonijnie jednoczącej wysiłki wielu, gdyż to na co dzień jest jej udziałem. Dzieło wielkie, wymagające wielkiej teoretycznej wyobraźni, i dlatego musi mieć do pomocy teoretyków precyzyjnie pokazujących jej miejsce i zadania. Wcale zaś

Tak więc Karol Marks żąda od klasy robotniczej, by podjęła wielkie dzieło wyzwolenia człowieka z władania żywiołowych sił społecznych, co może osiągnąć tylko klasa robotnicza, gdyż ona jedna jest w stanie podjąć działanie oparte o szerokie zasady współpracy harmonijnie jednoczącej wysiłki wielu, gdyż to na co dzień jest jej udziałem. Dzieło wielkie, wymagające wielkiej teoretycznej wyobraźni, i dlatego musi mieć do pomocy teoretyków precyzyjnie pokazujących jej miejsce i zadania. Wcale zaś

NIE JEST NAJLEPSZYM DORADCA „ZDROWY ROZSADEK”

tym bardziej, gdy jest pod stałym ciśnieniem burżuazyjnej ideologii. W jej naturze jest widzenie zjawisk z perspektywy własnego interesu i korzyści. W jej naturze jest również widzenie tych korzyści głównie w kategoriach materialnych przedmiotów, które można posiadać. Pojęcia takie jak „dobro ogółu”, „interes społeczny”, „koloktywne współdziałanie”, „przyszłość ludzkości” nie mieszczą się w tym słowniku i perspektywie jednostkowej nastawionej na to, by jak najwięcej „uszczknąć” dla siebie. Nieobecne są również kategorie twórczości, kształtowania wszechstronnej i bogatej osobowości, ambicji współkształtowania życia społecznego.

I wcale na tym nie wyczerpuje się zestaw ideologii mających na celu odwołanie klasy robotniczej od spełniania jej historycznej misji. Ze swoją ideologią przychodzą jeszcze Kościół i anarchizm socjalizm nurtu proudhonowskiego.

Zdać sobie trzeba przede wszystkim sprawę jak niekorzystnie na świadomość robotnika i jego poczucie dziejowej misji wpływać musiał Kościół ze swoją postawą pokory wobec „naturalnych praw własności”. W encyklice z 1891 roku „Rerum novarum” w dwa lata po rozpoczęciu działalności przez II Międzynarodówkę, socjalizmowi zarzuca się „wzniesienie zazdrości ubogich do bogatych”, własność wspólną określa się jako „szkodliwą dla robotnika”, „sprzeciwiającą się prawu natury”, „zagrożającą rodzinie”, stwierdzając w konkluzji, że „wprowadzenie własności wspólnej grozi społecznemu rozstrojeniu”. Zmieniło się to podejście nieco po dziewięćdziesięciu latach w encyklice z 1981 r. „Laborem exercens”, robotnika jednak nadal ostrzega się i w niej przed własnością socjalistyczną:

„Jeśli więc stanowisko «sztywnego» kapitalizmu w dalszym ciągu domaga się rewizji w celu dokonania reformy pod kątem jak najszerszej rozumianych praw człowieka związanych z jego pracą, to z tego samego punktu widzenia należy stwierdzić, że owych tak pożądanymi i wielorakimi reform nie można dokonać przez aprioryczne pojęcie likwidacji własności prywatnej środków produkcji. (...) Droga do osiągnięcia takiego celu magłoby być połączenie, o ile to jest możliwe, pracy z własnością kapitału i powołanie do życia w szerokim zakresie organizmów pośrednich o celach gospodarczych, społecznych, kulturalnych, które cieszyłyby się rzeczywistą autonomią w stosunku do władz publicznych. (...)”.

To ułożenie się z kapitałem propagowane w tej encyklice niepokojąco przypomina federalistyczne pomysły „dyspersji własności” propagowane przez socjalizm proudhonowski, uznawany przez marksizm zawsze za niezmierne groźnego przeciwnika, wprowadzającego zamęt do świadomości klasy robotniczej.

Wszystkie te trzy wpływowe siły współkształtujące świadomość robotnika: czysto burżuazyjne, reformistyczno-kościelne, anarchizmo-syndykalistyczne, wykazują pewien zbieżny kierunek: wyrabiają partularyne, wąsko-jednostkowe lub wąskogrupowe podejście do zjawisk ekonomicznych i społecznych, koncentrując jedynie uwagę na procesie produkcji i konsumpcji. Usuwają natomiast z pola widzenia perspektywę ogólnospołecznego interesu i dobra. Na tym gruncie nie może zostać wzniesiony gmach prawdziwej klasowej świadomości robotnika, dostrzegającego powierzony mu przez Karola Marksa odpowiedzialność za kierunek i sens historycznego rozwoju. Dodatkowym w tej sytuacji nieszczęściem było przyjęcie w latach 70. celów sprzyjających dalszej partularyzacji interesów i zamykania się w kręgu własnych spraw.

„Żyć dostatniej” nie dlatego był to cel, który, by ktoś życzył nam życia w niedostatku, ale racji, iż był to jedyny cel, w którego realizację miała się angażować klasa robotnicza, oprócz ogólnikowo stawianej przy tym sprawy „siły Polski”. Edukacja ideologiczna została zredukowana do pseudoekonomicznej, gdyż nie jest nawet edukacją ekonomiczną popularną wtedy stwierdzenie „im więcej będziemy produkowali, tym więcej będziemy mogli dzielić”. Jest to bowiem zaledwie elementarna edukacja logiczno-matematyczna, niepotrzebna na ogół dziecku, które zazwyczaj wie, że im większy tort, to tym większy kawałek każdy z niego może dostać. Prawdziwa i oparta o marksizm edukacja ekonomiczna, to zarówno jaka ma być recepta, by tort był największy i najsmaczniejszy, jak i odpowiedź na pytanie

JAKIE MA ZASPOKAJAĆ GUSTY I JAK MA BYĆ DZIELONY.

Autentyczne kształtowanie świadomości klasowej klasy robotniczej, w tym momencie, gdy występuje ona w podwójnej roli klasy panującej i pracującej, nie może nie mieć charakteru bardzo trudnego procesu wymagającego od niej wielkiego wysiłku teoretycznego. Obie czynności — praca i panowanie niezmierznie się dziś bowiem skomplikowały. Bezpośrednia obserwacja, „intuicyjne” działanie, „instynkt klasowy”, okazują się zazwyczaj bardzo zwodnicze i zawodne. Tu są wielkie nie zrealizowane wciąż w pełni perspektywy sojuszu z pragnącą postępu w kierunku większej sprawiedliwości inteligencją. Ten właśnie odłam inteligencji w naturalny sposób skłania się ku jedynej sile będącej w stanie łamać wszelkie skośnienia — klasie robotniczej.

PROBLEM KLASY ROBOTNICZEJ — INTELIGENCJA

postawiony jest wadliwie, jeśli nie uwzględnimy, że w sytuacji ostrej walki klasowej z klasą robotniczą może to być tylko część inteligencji, druga zaś część będzie aktywnie szkodziła dalekoosiędnym interesom klasy robotniczej i ludzkości, zajmując się aktywnie kształtowaniem świadomości klasy robotniczej w jednym z wymienionych trzech niemarksistowskich kierunków. W tej sytuacji bardzo niedobre może mieć skutki rezerwa wobec tej części, która jest oddana robotniczej sprawie. Przeciwdziałać fachowemu atakowi na świadomość robotniczą może tylko fachowa obrona. Znający swój teoretyczny fach inteligenci Karol Marks, Fryderyk Engels, Włodzimierz Lenin, Lukacs więcej przyniesli sprawie robotniczej niż autentyczny samouk chłop-robotnik Proudhou czy autentyczny człowiek z ludu Péguy, nie mówiąc o setkach domorosłych „przyjaciół ludu”.

Jest to dziś szczególnie ważne w odniesieniu do nauk społecznych, bez rozwoju których nie ruszy sprawa naukowego kształtowania świadomości klasy robotniczej ani naukowych treści samej świadomości. Widoczny w tej dziedzinie zastój, brak odczuwalnej dynamiki w działaniu świeżo powstałej Akademii Nauk Społecznych, z którą wiązano tyle nadziei, marazm wydawniczy, wynikiły z uciekania wręcz przez wydawców przed książkami marksistowskimi, które chcą w sposób pryncypialny i otwarty zarazem ujmować problemy współczesności — to niedobre jak na razie prognozy i w dziele kształtowania socjalistycznej i marksistowskiej świadomości klasy robotniczej. Jeżeli chcemy, by nasz rozwój miał jakieś walory racjonalne i planowe, potrzebne są w tej dziedzinie energiczne zmiany. Przyroda również w świadomości nie znośi próżni: tam gdzie nas nie ma, tam tym dynamiczniej odbywa się kształtowanie świadomości przez innych.

Sądziły, że rzeczywiście warto namówić Alicję Zatrzybnę, aby zajęła się Lubogorą, ale my pragniemy zadać Ci pytanie dotyczące wydarzeń, które zaskoczyły opinię publiczną. Mamy na myśli IV plenarne posiedzenie Komitetu Centralnego PZPR, a ściślej — ustąpienie Stanisława Kania ze stanowiska I sekretarza i zastąpienie go Wojciechem Jaruzelskim. Chcielibyśmy posłuchać Twojego komentarza.

Dla mnie IV Plenum KC PZPR oznaczało nie tylko zmianę na stanowisku I sekretarza, lecz także to, co powiedziano na nim zarówno w referatach, w dyskusji, jak i w jednogłośnie przyjętej uchwale. Dodac trzeba, że był to okres, w którym bardzo rzadko w głosowaniu uzyskiwano jedynomyślność.

Z analizy tego co powiedziano w dyskusji, bez trudu można było dostrzec, że członkowie Komitetu Centralnego wybrani na IX Nadzwyczajnym Zjeździe PZPR, deklarujący wówczas, w lipcu 1981 roku z przekonaniem gotowość działania na rzecz ustanowienia partnerskiej współpracy z „Solidarnością”, teraz, w świetle rozwijającej się sytuacji politycznej i gospodarczej, zaczęli wątpić w taką możliwość. Widoczny wzrost agresywności Związku po IX Zjeździe, a także w trakcie trwania zjazdu w „Olivii” spowodował, że wielu występujących w dyskusji członków i zastępców członków KC nie ukrywało swego niepokoju o przyszłość kraju. W ich wystąpieniach można było dostrzec rosnącą nerwowość. Nie ulega wątpliwości, że przebieg dyskusji na IV Plenum dowodził, że w kierowniczych gremiach partii zadomowiło się już przekonanie, że akcentowanie przez partię i rząd wierności dla linii porozumienia jest przez przywódców „Solidarności” rozumiane jako objaw słabości i niemocy.

Do spraw, które usmałem za ważne na IV Plenum jeszcze powrócę, teraz pora na wypowiedzenie się w sprawie zmiany na stanowisku I sekretarza KC. Może się myśle, ale przyczyną tej zmiany tłumacząc sobie m. in. „zmęczeniem materiału”. Nielatwo być I sekretarzem w tak trudnych czasach. Godzi się przypomnieć, że mimo IX Zjazdu i przyjętego na nim ofensywnego programu, baza partyjna nadal nie była zadowolona ze swego kierownictwa. W gruncie rzeczy stale kierowano pod adresem Biura Politycznego i I sekretarza krytyczne uwagi oraz uzasadnione i nieuzasadnione pretensje. Sądzę, że Stanisław Kania wyczuwał te nastroje, ale chciałbym dodać, że wniosek o rezygnację, który zgłosił, został przyjęty 104 głosami, przy 79 przeciwnych. Nie było więc w Komitecie Centralnym jednolitego stanowiska w tej sprawie. Co się tyczy Wojciecha Jaruzelskiego to 189 osób było za powierzeniem mu funkcji I sekretarza, a 4 osoby były przeciwnie. Głosowanie było oczywiście tajne. Co do mnie, to poznałem już na tyle premiera, że mogłem z góry założyć, iż łącząc obie funkcje skoncentruje się on na zespole niu wszystkich towarzyszy zarówno w rządzie, jak i w KC, gotowych do energicznego i skutecznego przeciwstawienia się narastającej groźbie całkowitego rozpadu socjalistycznego państwa polskiego. Wyjaśnia — jak sądziłem — dokonana zmianę także fragment uchwały IV Plenum, który brzmiał: „Metody realizacji generalnej linii politycznej stosowane dotychczas przez Biuro Polityczne i Sekretariat KC okazały się mało skuteczne”.

W swym pierwszym przemówieniu Jaruzelski, już jako I sekretarz KC wypowiedział m. in. kilka zdań, które godzi się przypomnieć. „Nigdy nie szukaliśmy, stwierdził, co więcej — zawsze unikaliśmy konfrontacji. Dziś też nie dążymy do niej. Jedno jest jednak pewne, że możliwości odrotu zostały już wyczerpane. Słowa uchwały tę rubież nakreśliły i formy koniecznej odpowiedzi zastrzegły”. Jaki fragment uchwały miał na myśli I sekretarz KC PZPR? Chyba ten, który brzmiał: „W sytuacji istniejącego zagrożenia bytu narodu i bezpieczeństwa państwa, Komitet Centralny uważa za niezbędne sięgnięcie przez najwyższe władze PRL w razie wyższej konieczności do konstytucyjnych uprawnień w celu obrony najżywniejszych interesów narodu i państwa”.

Dramatyzm ówczesnej szybko pogarszającej się sytuacji polegał m. in. na tym, że kierownictwo „Solidarności” zbagatelizowało to nader poważne ostrzeżenie, które po raz pierwszy pojawiło się w uchwale Komitetu Centralnego PZPR, chociaż nowością było to, że w ogóle zajęło stanowisko wobec tej uchwały, o czym za chwilę. W uchwale IV Plenum stwierdzono, że kierownictwo „Solidarności” zmałało porozumienia społeczne usurpując sobie rolę siły nadrzędnej wobec wszystkich, dyktującej swą wolę społeczeństwu, Sejmowi i rządowi, organizatorom społecznym i instytucjom. Nie padł zażenot o totalitaryzm, ale w gruncie rzeczy mógł paść, ponieważ jesienią 1981 roku było już widoczne jak na dłoni, że takie właśnie a nie inne oblicze nadaje Związkowi jego kierownictwo. Wielu — niestety — bardzo wielu działaczy „Solidarności” różnych szczebli działało po dyktatorsku. Byli bezwzględni, wobec każdego, kto był od nich słabszy. Uderzali mocno i szli do przodu jak taran. Ale wróćmy do uchwały plenum. Uchwala domagała się od „Solidarności” poszanowania Konstytucji PRL i obowiązującego porządku prawnego, odcieczcia się od poczynań wrogów socjalizmu, natychmiastowego wstrzymania akcji strajkowych, konstruktywnego podejścia do rządowego programu przeciwdziałania kryzysu gospodarczego, podjęcia współpracy w ramach komisji mieszanej przedstawicieli rządu i wszystkich związków zawodowych, uznania w praktycznym działaniu sojuszu z krajami socjalistycznymi i przeciwstawienia się kampanii antyradykalnej oraz respektowania wymogów bezpieczeństwa państwa. Na IV Plenum szereg członków KC zakomunikowało o swoim wystąpieniu z NSZZ „Solidarności”.

19 października pojawiły się dwa komunikaty kierownictwa „Solidarności” dotyczące zakończonego dzień wcześniej IV Plenum KC. Ich treść jest prawie identyczna. Kiedy wówczas je czytałem, różne myśli chodziły mi po

głowie. Uważałem, że w gdańskiej centrali wiadomość o wyborze W. Jaruzelskiego na I sekretarza KC oraz jasny, ale i twardy język uchwały spowodowały pewne zamieszanie. Być może się myliłem, ale wydawało mi się, że była to jedna z rzadkich chwil, kiedy przywódcy „Solidarności” zatrzymali zdyszany bieg i zaczęli się zastanawiać, co to wszystko znaczy.

Pierwszy komunikat, podpisany przez wiceprzewodniczącego Komisji Krajowej Mirosława Krupińskiego, zawierał stanowisko Prezydium KK. Była to raczej barwna postać w zespole przywódczym „Solidarności”. Inżynier urządzeń sanitarnych, swą karierę w Związku rozpoczął od funkcji rzecznika prasowego MKZ w Olsztynie, następnie został przewodniczącym Zarządu Regionu, a po zjeździe „S” wyładował na stanowisku wiceprzewodniczącego. Dynamiczny, pewny siebie, posiadający dar wywierania dużego wpływu na otoczenie, starał się być osobą popularną, znaną i dlatego też często udzielał wywiadów w regionalnych środkach masowego przekazu i chętnie angażował się w spr-

tał nam do ucha o sprawach, które jeszcze dziś należy traktować jako poufne, zgłaszali różne pomysły, bywało, że obgadywali swoich kolegów, ale przecież nie te szeptły mogły określać naszą ocenę polityki realizowanej przez zespoły przywódcze Związku.

— Powiedziałeś, że wezwanie skierowane przez IV Plenum KC do „Solidarności” o wzięcie udziału w komisji mieszanej zostało przez Prezydium KK uznane za niedopuszczalny „tryb nakazowy”. Kiedy pojawiła się koncepcja utworzenia komisji i jaki był jej cel?

Tuż po zakończeniu zjazdu „Solidarności”. Jej autorem był premier. 12 października nasz Komitet przekazał dalekopisem wszystkim centralom związkowym propozycję powołania komisji mieszanej. Stoimy przed wyborem, pisaliśmy, różnych szczegółowych metod stabilizowania sytuacji gospodarczej; w trybie pilnym określić musimy te rozwiązania, które służą

Czasy nadziei i rozezarów

(11)

Szli do przodu jak taran

MIECZYŚLAW F. RAKOWSKI

wy o szerokim wydzwieku społecznym i politycznym. Ci, którzy go znali twierdzili, że był bezpartońwym graczem politycznym.

Zmiany personalne w partii oraz wewnętrzne dokumenty, stwierdzające Prezydium, „nie są i nie powinny być przedmiotem naszych ocen”, ale ze względu „jednak na niektóre zawarte w uchwale programowej treści, Prezydium KK czuje się zobowiązane do wstępnego zajęcia stanowiska”. Wezwanie „Solidarności” do udziału w komisji mieszanej Prezydium uznało za niedopuszczalny „tryb nakazowy”. Uznając potrzebę działań antykrizysowych Prezydium oświadczało, że ich formę „będziemy ustalać sami”. Wezwanie do położenia kresu strajkom określiło jako „zapowiedź” przejęciowej delegacji akcji protestacyjnych w kraju... Ale: podzielał poglądy, że są one zjawiskiem ekonomicznym niekorzystnym, Prezydium stwierdziło, iż należy usuwać ich obiektywne przyczyny”. A zatem kiedy „Solidarności” organizowała strajki przeciwko pogarszającemu się zaopatrzeniu w żywność, to należało po prostu „rzucić” na rynek więcej mięsa i innych produktów. Tylko skąd można było je wziąć. Ale to już nie było dla Prezydium żadne zmartwienie. Odbierając „pozytywnie wiele propozycji zawartych w równoległym wydanym apelu” KC do ludzi pracy miast i wsi, Prezydium ostrzegło „równocześnie przed podejmowaniem decyzji zastraszających sytuację i mogących stanowić powód społecznego konfliktu”.

Tego samego dnia pojawił się drugi komunikat, oświadczający rzecznika prasowego KK NSZZ „Solidarności”, Marka Brunne. Rzecznik komunikował, że ta część uchwały plenum, która była adresowana do członków i władz „Solidarności”, zawierała elementy „zdradzające głębokie niezrozumienie celów, zakresu zainteresowania i metod działania naszego Związku itd.”. „Solidarności”, oświadczał rzecznik, nigdy nie zmałała w żadnych swych działaniach, zamierzeniach i uchwalach porozumienia społecznego z Gdańska, Szczecina i Jastrzębia. „Głosownie stwierdzenie o przeciwnej treści, kontynuował, możemy odebrać wyłącznie jako kolejną próbę ich jednostronnego wyprzedzenia”. Brunne stwierdził, że Związek przystępuje do zawartych w Konstytucji, respektuje „w teorii i praktyce sojusze międzynarodowe wiążące PRL” i nie tylko popiera, lecz „czynnie współdziała w opracowaniu programu wychodzenia z kryzysu i programu reformy gospodarczej”. To już zakrawało na ironię. Za najbardziej przewrotny fragment oświadczenia uznałem następujące stwierdzenie rzecznika: „Związek nasz zdecydowanie stwierdza, że od ponad roku czynnie zwalcza wszelkiego typu działalność kontrewolucyjną wymierzoną przeciwko interesom ludzi pracy, przeciwko naszym wspólnym prawom ludzkim i obywatelskim”. Brunne zdawał się mówić: „Oskarżacie nas o sprzyjanie kontrewolucji? To wy, jesteście kontrewolucjonistami, bo przecież prowadzicie politykę, o której wiele razy mówiliśmy, że wymierzona jest w interesy ludzi pracy”. W gruncie rzeczy; pojednawcze tony rozbrzmiewające w jednym i drugim komunikacie w świetle powyższej cytowanego fragmentu oświadczenia należało uznać za posunięcie taktyczne obliczone na wywołanie w opinii publicznej wrażenia, że kierownictwo „Solidarności” rozumie sytuację i gotowe jest pod pewnymi warunkami do konstruktywnej współpracy.

— Może taka wola rzeczywiście istniała wśród przywódców „Solidarności”?

— Zarówno to, co było już za nami, jak i to, co miało nadejść w listopadzie i grudniu, o istnieniu takiej woli nie świadczyło. Nigdy nie traktowałem zespołów przywódczych „S” jako jednolitej, zwartej masy i na pewno był wśród nich ludzie, którzy takiej współpracy pragnęli, ale dla nas decydująca była linia polityczna, którą wytyczało Prezydium oraz Komisja Krajowa. Zarówno do Ciołka, jego współpracowników, jak i do mnie przez cały rok 1981 przechodził różni panowie z „Solidarności” i szep-

będą lepsze zapatrzeniu ludzi w artykuły pierwszej potrzeby. Dla wypracowania wspólnego stanowiska w tych sprawach oraz dla bieżącego czuwania nad wprowadzeniem go w życie — tak pisaliśmy — uznaliśmy za celowe wyjście z inicjatywą powołania mieszanej komisji bądź też zespołu roboczego, w skład którego wejść winni przedstawiciele rządu oraz centrali działających w Polsce związków zawodowych. Komitet wyraził przekonanie, że w podstawowych sprawach bytu społeczeństwa niezbędna jest wspólna polityka władz i ruchu zawodowego. Oczekujemy na zajęcie stanowiska, tak brzmiało ostatnie zdanie pisma.

Nie była to propozycja natury taktycznej. Nie chodziło o przyparcie „Solidarności” do muru. Chodziło o ratowanie kraju poprzez zespolenie wysiłków wszystkich, którym na tym zależało. Nazajutrz 13 października do Komitetu nadeszła telex z Prezydium „Solidarności”, które proponowało podjęcie rozmów z grupą rządową 15 października o godz. 16.00 na temat zaopatrzenia w żywność, podwyżek cen i rekompensat, społecznej kontroli nad produkcją, dystrybucją i eksportem żywności oraz niezbędnych działań antykrizysowych. Tak więc, powtórzone starań się. Słyszeliśmy ją już co najmniej dziesięć razy. O naszej propozycji, w telexie Prezydium nie wspomniano ani jednym słowem. (...)

— Nam się wydaje, że spór wokół uczestnictwa w komisji mieszanej stracił na znaczeniu, gdy 15 października grupa negocjacyjna Krajowej Komisji wspólnie z zespołem roboczym Komitetu Rady Ministrów ds. Związków Zawodowych zasiada przy jednym stole.

Jest rzeczą zrozumiałą, że dziś, z perspektywy kilkuletniego już oddalenia, spór ten, podobnie jak wiele innych w owym czasie rzeczywiście nie ma poważniejszego znaczenia. Odnawiamy go w celach dokumentacyjnych, można powiedzieć, że dla historii. Jednakże wówczas gdy trwał, posiadał określone znaczenie polityczne. Odmowa udziału w pracach komisji nie była niczym innym jak przejawem pogardliwego stosunku Komisji Krajowej do pozostałych central związkowych. Tak to odbierali zarówno branżowcy, jak i autonomiści. Ot, monopolista dyktował warunki.

— Rozmowy zakończyły się podpisaniem wspólnych ustaleń. Znałe są nam Twoje publiczne wypowiedzi, w których oceniałeś te ustalenia w tonie ostrożnego optymizmu. Był może, że będzie to pytanie kłopotliwe, ale konsekwentnie starsz się udowodnić, że przywódcy „Solidarności” nie chcieli porozumienia, a tu nagie dochodzicie do wspólnych ustaleń.

Jeśli miałbym odpowiedzieć na to pytanie w sposób formalny, to powiedziałbym, że wprawdzie ustalenia dotyczyły spraw ważnych, ale nie najważniejszych. Co więcej, były uisane następującymi sformułowaniami: „grupa negocjacyjna KK poinformowała przedstawicieli rządu...”, „zespół roboczy Komitetu RM stwierdził, że...”, co oznaczało, że każda ze stron pozostawała przy swoim stanowisku. Nieprzypadkowo tytuł końcowego dokumentu brzmi „Ustalenia”, a nie „Wspólne ustalenia”. To oczywiście nie oznacza, że niczego nie osiągnięto. Tak np. ustalono, że grupa negocjacyjna Związku spowoduje zastrzeżenie selektywnej blokady eksportu żywności w portach; uzgodniono, że ceny detaliczne ulegają zamrożeniu do czasu uzgodnienia ze Związkiem programu i terminarza zmian cen oraz systemu rekompensat w powiązaniu z reformą gospodarczą. I wreszcie ustalono powołanie kolejnej grupy roboczej.

Mówiliśmy o rezultatach rozmów w tonie bardzo ostrożnego optymizmu, ponieważ nie nie zapowiadała zmiany zasadniczej linii politycznej przywódców „Solidarności”. Można natomiast zastanowić się nad pytaniem, co skłoniło

Prezydium Związku do wysłania Grzegorza Pałki na rozmowy. Po pierwsze, skoro odrzuceno naszą propozycję w sprawie udziału w komisji mieszanej, to trzeba było jednak dowiedzieć, że w ogóle to „Solidarności” nie jest przeciwna rozmowom; po drugie, wśród członków krajowego kierownictwa byli i tacy, którzy dobrze wiedzieli, że w masach członkowskich bynajmniej nie ma już pełnego poparcia dla praktyki polegającej na odrzucaniu każdej propozycji wychodzącej od rządu; i po trzecie, przypomnijmy, że negocjatorzy rozmawiali z naszą grupą roboczą w dniach, w których obradowało IV Plenum Komitetu Centralnego. Jestem przekonany, że niektórzy członkowie działające Związku zaczęli już dostrzegać, że również wśród ludzi gotowych do końca szukać porozumienia „Solidarnością” wyczerpuje się nie tylko cierpliwość, ale i wiara w dobre intencje kierownictwa Związku. Na IV Plenum Zofia Grzyb powiedziała m. in. „Jak wszyscy wiedzą jestem członkiem „Solidarności” w swoim zakładzie, w „Radokorze”. Sądzę, że zjazd „Solidarności” krytycznie ustosunkuje się do popełnionych błędów, skieruje tę masową organizację do właściwej związkowej działalności. Stało się inaczej. Po tym Zjeździe przekonałam się, że należą do opozycyjnej organizacji politycznej, walczącej z władzą ludową. Dlatego też podjęłam decyzję o wystąpieniu z „Solidarności”. Józef Mitak, członek KC, ślusarz, brigadzista ze stoczni im. A. Warskiego stwierdził: „Ja o sobiście nie dostrzegam żadnych przesłanek do społecznego porozumienia ze strony „Solidarności”. Przecież członkowie partii są sztykani, są pod ciągłą presją ze strony aparatu i działaczy „Solidarności”. Z dniem dzisiejszym i ja przestaję być członkiem „Solidarności” — powiedział Marek Morzyśzek, członek KC, mistrz brigadzista w pabianickiej „Polfie”. Roman Goliński, członek KC, kierownik PKS w Inowrocławiu, oświadczył: „Solidarności” jest partią o wyraźnie antysocjalistycznym charakterze...”. Takie głosy rozlegały się nie tylko na plenarnym posiedzeniu Komitetu Centralnego. Słychać je było w każdym ogniwie partii.

— Już kilkakrotnie w naszej rozmowie nawiązywałeś do różnicujących poglądów i postaw wśród masy członkowskiej „Solidarności”. Twoim zdaniem, w ostatnich kilku miesiącach 1981 roku rosła liczba szeregowych członków Związku nieufnie spoglądających na poczynań przywódców. Były to — jak się domyślamy — nie tylko Twoje odczucia, lecz rządu. Przyjmujemy, że były one trafne, ale ktoś może powiedzieć, że rządowo było wygodnie tak twierdzić...

W świetle dokumentacji, jaką dysponujemy, mogę dziś powiedzieć, że nasze opinie były trafne. Dla uzasadnienia tego, co powiedziałem, posłuży się materiałami „Solidarności”.

Związek, do którego zapisało się sporo socjologów, posiadał — jak wiadomo — Ośrodki Badań Społecznych (Region Mazowski) lub Ośrodki Badań Społeczno-Zawodowych (np. Region Ziemia Łódzka), które systematycznie ankietały swoich członków na różne tematy. Mam przed sobą komunikat wstępny z dnia 25 października OBS Regionu Mazowski pt. „Socjologiczne badania poglądów delegatów na I zjazd „Solidarności”. Na pytanie, jak delegaci najtrafniej określiliby charakter „Solidarności”, 59 proc. użyło określenia „ruch społeczny”. Autor raportu stwierdził, że „już tylko” 18,2 proc. delegatów umieściło określenie „związek zawodowy” na czołowym miejscu. Ale nieco wcześniej OBS prowadził badania ogólnopolskie na ten sam temat. Wyniki były zasadniczo odmienne od tych, jakie uzyskano przy badaniu delegatów. 47,7 proc. szeregowych członków „Solidarności” wysunęło na plan pierwszy określenie „związek zawodowy”. Tylko 19,5 proc. „zwykłych członków” — czytamy w raporcie — wysunęło określenie „ruch społeczny” na pierwszym miejscu. „Nie należy” — przeczytać fakt — pisać autor raportu — że gdy idzie o owe „masy”, to widzą one w „Solidarności” przede wszystkim związek zawodowy, nie zaś cokolwiek innego”.

Interesujące były także odpowiedzi na pytanie o motyw przynależności do Związku. Pierwszy motyw to pogląd, że „dzięk „Solidarności” będzie w Polsce lepiej” (38,5 proc. delegatów); „zwykli członkowie” motyw ten wskazywali częściej, ogółem 81,1 proc.

Przytoczone powyżej dane skłaniają — jak mi się wydaje — do interesujących wniosków. Przede wszystkim potwierdzają znany fakt, że ruch był bardzo zróżnicowany; pomiędzy oczekiwaniami i celami, jakie ożywiły bazę „Solidarności”, a jej przywódcami istniały spore rozbieżności. Z grubszą biorąc, połowa członków Związku nie zgadzała się z koncepcją „ruchu społecznego”, czytaj: politycznego. Oznacza to, że mieliśmy rację wskazując na instrumentalne traktowanie „masy członkowskiej” przez przywódców, doradców i wrosły w krótkim okresie bojowy, dodajmy antykomunistyczny, ożywiony nacjonalistycznymi i antyradykalnymi ideami, aktywny.

Mieliśmy także rację, gdy jesienią 1981 roku mówiliśmy, że w szeregach „Solidarności” narasta sprzeżenie wobec polityki przywódców Związku. Odwołam się do kolejnego dokumentu, który nosi tytuł „Solidarności a władza”. Pytanie to zostało postawione w tym samym badaniu, które przeprowadzono w okresie, gdy zaczęły się mnożyć konflikty pomiędzy „Solidarnością” i władzą. Była to druga połowa października. „Telewizja, niektóre gazety codzienne, niekiedy radio, pisał autor opracowania, winią za ten stan rzeczy wyłącznie „Solidarności”. Co myślimy na ten temat członkowie Związku? Wydać by się mogło, czytamy, że w tej sytuacji przypiszą winę wyłącznie władzy. Tymczasem przekonanie takie wyraża tylko co trzeci członek Związku”. To niezwykle cenna informacja, w pełni uzasadniająca naszą ocenę o zmianach, jakie zachodziły w świadomości społecznej na progu tej dramatycznej jesieni.

C.D.N.

Rok temu Zygmunt Kalużyński opublikował w „Kulturze” (nr 6 z 1983 r.) bardzo osobisty artykuł pt. „Sporządzenie z drogi”. Oskarżył w nim Kościół rzymskokatolicki o podejmowanie działalności sprzecznej z nauką Jezusa Chrystusa. Autor pisał, że ilekroć czyta Ewangelię, to czuje się zafascynowany religią chrześcijańską. Kiedy zaś słucha kazań, czyta oświadczenia naszego Episkopatu lub artykuły z prasy katolickiej, wtedy tak go odrzuca od chrześcijaństwa, że wolałby już się obrzezać bądź zostać fanatycznym muzułmaninem. Treść i forma tekstu wskazywały, że panu Zygmunto „nerwy puściły” i postanowił wygarnąć Kościołowi, co o nim myśli.

Już sam tytuł artykułu sugerował, że Kościół rzymskokatolicki sprawdza za wiernych z drogi Chrystusowej. A motto stanowiły słowa Jezusa ostrzegające uczniów przed zwodzicielami i fałszywymi przewodnikami. Zygmunt Kalużyński postawił zaskakującą hipotezę, że Kościół „popadł w bluźnierstwo”, że udział w życiu politycznym doprowadził go do „degeneracji” i spowodował, że „Polacy stali się narodem najbardziej bezbożnym w Europie”.

Zdaniem krytyka Kościół nie ma prawa (religijnego) wykorzystywać aurytety Boga w celach politycznych — tym bardziej, że w swej historii popełniał często fatalne błędy. Na przykład popierał faszystowskie reżimy Mussoliniego, Franco i Hitlera. Kalużyński cytuje m. in. oświadczenie papieża Piusa XII, który z okazji agresji Niemiec hitlerowskich na Związek Radziecki uznał, że jest to „wzniosły heroizm w obronie kultury chrześcijańskiej, wyprawa krzyżowa, która pozwoli Europie swobodnie oddychać i obiecuje narodom nową przyszłość”. (Nawiasem mówiąc: ksiądz prof. Mieczysław Żywczyński uważał zbrodnie faszystowskie za największe z popełnionych przez „chrześcijan” i zwrócił uwagę, że główni winowajcy, jak Hitler, Himmler, Goebbels, byli „katolikami”).

Zygmunt Kalużyński ostro zaatakował redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego”, Jerzego Turowicza, za głoszenie przez prawa Kościoła do zabierania głosu w sprawach politycznych. W istocie bowiem — czytamy — chodzi o prawo do „politycznej wściekłości” i uprawiania jednej tylko polityki, antykomunistycznej. Autor wyznał ponadto, że uczestnicząc na Stadionie X-lecia w spotkaniu Papieża z wiernymi odniósł wrażenie, iż byli tam wszyscy (nawet komuniści) z wyjątkiem Chrystusa, który najbardziej był potrzebny.

Pod koniec omawianego szkicu pisał: „Dali-bóg, zastanawiam się, jak wypadła skończyć tę moją wypowiedź, bardziej bezczelnie osobistą niż na to wygląda. Posunąłem się tak daleko, że myślę sobie, wezmę i pójdę w arogancji do samego końca. Wystąpię wobec moich konwersantów jako chrześcijanin, zaś mam prawo, ponieważ nie zostałem jak dotychczas ekskomunikowany, mimo że biskup Jeż z Koszalina już mi groził w liście pasterskim wykluczeniem z Kościoła (autentyczne). A więc postąpię według tradycji, zakonnej, która nakazuje by zwrócić uwagę drugiemu, gdy widzi go się w błędzie”.

Na artykule Kalużyńskiego zareagował dwa tygodnie później Jerzy Turowicz. Na łamach „Tygodnika Powszechnego” (nr 30) z wyraźnym lekceważeniem potraktował swego adwersarza. Zaczął od tego, że choć Kalużyński zdążył już przyzwyczaić czytelników do „tupetu i arogancji”, to jednak w roli „teologa i egzegety przedświadczył sam siebie”. A dalej stwierdził, że szczegółowa polemika z nim nie jest potrzebna i możliwa, ponieważ należałoby powtórzyć rzeczy ogólnie znane, których adwersarz nie rozumie lub tylko udaje, że nie rozumie.

Jerzy Turowicz uznał za całkowicie naturalne angażowanie się Kościoła po stronie narodu, wśród którego działa. „Tylko trzeba pamiętać — podkreślił — że Kościół wykonując swoją misję służy prawdziwym interesom człowieka i prawdziwym interesom narodu, że zaś interesy nie są sprzeczne czy antagonistyczne, są bowiem objęte powszechnym powołaniem ludzkości do braterstwa”.

W sprawie zarzutu, że zabrakło Jezusa podczas uroczystości na stadionie z udziałem Papieża, Turowicz ograniczył się do uwagi, że uczestniczyli „wszyscy” i widzieli jak było naprawdę. Nie ma więc sensu odpowiadać na „absurdalne” twierdzenie. Krótką swą replikę nazwał rejestrem „ignorancji p. Kalużyńskiego”.

Zanim Zygmunt Kalużyński zdążył odpowiedzieć redaktorowi naczelnemu „Tygodnika Powszechnego”, tydzień wcześniej „Kultura” zamieściła 6 listów do redakcji dotyczących artykułu „Sporządzenie z drogi”. Jeden z oburzonych czytelników zapytał Autora, ile otrzymał złotych polskich i czy stanowią one równowartość trzydziestu srebrników. Napisał też, że Kalużyński nie powinien grozić obrzezaniem się, bo chirurgia nie zna takiego przypadku, żeby „tego samego mężczyźnę dwukrotnie obrzezano”. List ów kończył się powiedzeniem — „ubrał się diabeł w ornat i ogonem na mszę dzwoni”, oraz radą, aby Kalużyński nie zabierał głosu w sprawach, na których się całkowicie nie zna. Pozostałe listy miały charakter popierający dziennikarza lub korygowały jego wywody.

W następnym, tj. jedenastym, numerze „Kultury” ukazała się replika Zygmunta Kalużyńskiego. W związku z twierdzeniem Jerzego Turowicza, że nie ma sensu z nim dyskutować, krytyk odparł: „Co prawda Jezus odpowiadał każdemu kto pytał, zadawał się z hoiotą podobną do mnie, i jeszcze na krzyżu rozmawiał z strychami, ale oczywiście, Turowicz to nie Jezus”. Zdaniem Kalużyńskiego redaktor naczelnego „Tygodnika Powszechnego” sfalszował wszystkie tematy, które podjął w swej polemice. I dopuścił się fałszerstwa Ewangelii, encykliki i religii. „Wzywam więc Turowicza jeszcze raz — czytamy w zakończeniu — by wycofał się ze swojego programu zdradzieckiego wobec chrześcijaństwa, bo będzie musiał się z niego kiedyś tłumaczyć, i pomimo że się powołuje na Jezusa — czy raczej, właśnie dlatego — grozi mu, że będzie odprawiony: «Odejdźcie, nie znam was» (Mat. 7, 23). Wątpliwie jednak, czy to zrobi,

bo nie będzie chciał utracić swojej pozycji w polskim faryzejskim, a ma ją tam wysoką, i to pomimo b. silnej konkurencji”.

Wydawało się, że na tym już sprawa się zakończy. Kalużyński musiał jednak dotknąć niezwykle ważnej struny, skoro do dyskusji włączył się zupełnie nieoczekiwanie sam prymas Polski, kardynał Józef Glemp. W kazaniu wygłoszonym 26 sierpnia 1985 r. podczas uroczystości na Jasnej Górze powiedział między innymi:

„W jednym z lipcowych numerów „Kultury”, ale nie tej paryskiej, jeno krajowej, jeden ze znanych polemistów zaatakował Kościół w sposób dość zaskakujący. Przyznaje mianowicie, że w młodości szukał wartości w chrześcijaństwie, ale teraz jest poza wiarą. Obserwował pobyt Ojca św. w Polsce. Był na Stadionie X-lecia, widział dużo, ale nie zauważył w tym spotkaniu Chrystusa, widział przeważnie polity-

STANISŁAW KAWCZYŃSKI

Jak Zygmunt Kalużyński rzucił wyzwanie Kościołowi i co z tego wynikło?



tykę, a to — cytuję — «doprowadziło Kościół polski do degradacji, zaś Polacy stali się narodem najbardziej bezbożnym w Europie». I dalej podaje — pełnię dla pokrępczenia ateistycznych serc — następujące stwierdzenie: «Moim zdaniem, obecne zachowanie się Kościoła polskiego nie jest na dłuższy dystans groźne dla nikogo, prócz jednej tylko instytucji: dla niego samego».

Pragniemy rodzimego Proroka zapewnić, że pogrzebu Kościoła w Polsce nie dotrze i że Kościół w Polsce nie chce być groźny dla żadnej instytucji, chce natomiast wyzwać dobro w człowieku. Należy więc spojrzeć na wiarę całego Kościoła, na całe bogactwo ukrytej ofiary, pracy, cierpienia i modlitwy w Ludzie Bożym, a nie tylko na jednego czy drugiego księdza, o którym dowiśle się z zagranicznego radia. A dalej: jakże mógł nasz Polemista dostrzec na Stadionie X-lecia Chrystusa, skoro Go nie zna?

W tym samym kazaniu Prymas wypowiedział się krytycznie na temat dominacji marksizmu i sztywnego przestrzegania zasad ideologicznych. Za przykład respektowania „bezdusznych principów” uznał zakaz domagania się emblematów religijnych w instytucjach państwowych nawet w tych przypadkach, gdy wszyscy są katolikami. W ten sposób, jego zdaniem, przedmiotem tolerancji nie jest człowiek, lecz „principium świeckości, abstrakt, tabu — widmo”. Wiadze lepiej by już zrobiły, gdyby przestały tolerować nielegalny ruch naturystów. A tymczasem telewizja pokazuje „ordynarne sceny”, które nie mają nic wspólnego z pięknem ciała i ochroną przyrody.

Miesiąc później odnotowano kolejne zaskakujące wydarzenie. Oto ksiądz proboszcz parafii Bolmin w województwie kieleckim zamieścił w „Polityce” (nr 38) artykuł zatytułowany „Czy warto być pobożniejszym od papieża”. W liście przewodnim podał, że druk tego tekstu odmówiono w „Tygodniku Powszechnym”. Ksiądz Stanisław Kudelski zaznaczył, że pisał z „głębokości szczerego serca” i przedstawił rezultaty swoich „czterdziestoletnich zmagani i przemysleń”. Przed przejściem na emeryturę postanowił publicznie otworzyć serce „pełne miłości do Kościoła i do Obecnej Ojczyzny”. Zawsze ubolewał z powodu narastających konfliktów, lecz nigdy dotąd nie potrafił i nie miał okazji sprycyzować własnego stanowiska.

Podobnie jak Zygmunt Kalużyński, ksiądz Kudelski wyraził przekonanie, że w Piśmie Świętym nie ma żadnych podstaw do wypowiedziania się Kościoła w sprawach politycznych, bo misja Kościoła ma zupełnie inny charakter: kapłański, nauczycielski i pasterski. „Bardzo łatwo — czytamy — jest krytykować i korygować, gdy się samemu nie ponosi odpowiedzialności za wynik działania. Nikt nie neguje, że

Kościół ma ogromny wpływ na rozwój społeczeństwa, ale nie przez krytyczną postawę wobec rządzących, ale jedynie wtedy, gdy Kościółowi się uda wychować w duchu Ewangelii poszczególnego obywatela”.

Proboszcz z Bolmina przypomniał, że Kościół miał przecież kiedyś władzę świecką i nie dawał wówczas zbyt dobrych przykładów troski o poddanych i sprawiedliwy podział dóbr. Przypomniał też ponure czasy inkwizycji oraz nawracania na katolicyzm ogniem i mieczem. Fakty historyczne pozwalały więc również, o-bok Pisma Świętego, zanegować tezę o misji krytycznej Kościoła. Nie ma uzasadnienia dla tej tezy także w encyklikach papieskich oraz kazaniach prymasów Wyszyńskiego i Glempa. Poza tym krytykowanie władzy przez wielu niedoświadczonych księży sprzyja szkodliwej dla każdego społeczeństwa anarchii i powoduje spychanie na drugi plan właściwej misji Kościoła.

Obserwatorzy nie zdolali jeszcze w pełni ochłonąć po lekturze księdza Kudelskiego, kiedy w tygodniku „Kultura” (nr 18) opublikowano drugą część korespondencji spowodowanej artykułem Kalużyńskiego. Znalazły się tu m. in. listy dwóch kapłanów: ks. J. D. (nazwisko i adres znane redakcji) oraz, znanego już z „Polityki”, ks. Stanisława Kudelskiego. Pierwszy z nich w zasadzie zgodził się z Kalużyńskim, ale zarazem wytknął mu pewne błędy i niekonsekwencje w argumentacji. „Pisze pan — czytamy — że Polacy stali się narodem bezbożnym, i choć jest to słowo zbyt ostre, można pojąć o co chodzi. Przeciwny wierny korzysta mechanicznie z obrzędów, lecz po wyjściu ze świątyni jego kontakt z religią się kończy”.

Ksiądz J. D. stanął w obronie rytuału kościelnego. Jego zdaniem obrzędy i sztuka religijna są piękne i potrzebne ludziom. Przynał natomiast rację dziennikarzowi, że propaganda w Kościele jest nadużyciem i przynosi negatywne skutki. Niechęć Kościoła do rządu dezorientuje bowiem oddanych systemowi katolików.

Z kolei ks. Kudelski z parafii Bolmin zaznaczył na wstępie, że jego przemyslenia całkowicie pokrywają się z treścią replik Zygmunta Kalużyńskiego. A dalej stwierdził nawet, że artykuł „Sporządzenie z drogi” ma dla niego — uważa! — „posmak wizjonerski i niemal proroczy”. Proboszcz z Kieleckiego już w latach pięćdziesiątych wyraził w obliczu władzy przekonanie, że kiedyś uda się „ochrzcić” socjalizm. Wyobraża on sobie, że marksści mogliby uznać przydatność w ustroju socjalistycznym misji Kościoła wolnej od polityki.

Interesujący list nadesłał J. Szwarzenzer z Warszawy. Spór między Kalużyńskim a Turowiczem określił jako „groteskowy”, ponieważ zachowują się oni jakby mówili o tej samej religii, a w rzeczywistości chodzi o dwie różne religie. „Kalużyński trzyma się Ewangelii, tymczasem wyznanie Turowicza jest kościelne, i ma wspólne z Ewangelią tylko dalekie pochodzenie, reszta jest wypracowana przez Kościół po swojemu”. Korespondent podkreśla, że Kościół wymyślił sakramenty i liczne nabożeństwa, których próżno szukać w nauczaniu i postępowaniu Jezusa Chrystusa. Ewangelia zakazuje polityki, a Kościół był i nadal jest polityczny. Toż Kalużyński, powiada autor, przeździe być może dogadaby się z ajatollahem Chomeinim.

W podobnym duchu zabrała głos Alicja Kokot z Wałbrzycha. Będąc katoliczką dostrzegła ona, że Kościół już tak daleko odszedł od Pisma Świętego, iż faktycznie jest „instytucją samowładczą”. Podczas nabożeństw ludzie stykają się z agitacją polityczną, a udają się przeciw do „świątyni modlitwy”. Na podstawie własnych doświadczeń czytelniczka uznała artykuł Kalużyńskiego za zbyt delikatny.

Inna wierzacha osoba (M. G. z Krakowa — nazwisko i adres znane redakcji) napisała, że z głębokim smutkiem obserwuje, jak „daleko Kościół Polski odszedł od Chrystusa i Ewangelii. To już nie Kościół niestety, a opozycyjna partia polityczna. I to partia nie uznająca fair play, nie cofająca się przed oszczerstwem czy prowokacją”. Jakaś rolę w tym wszystkim odgrywa papież — Polak. Taki model Kościoła prawdopodobnie nie byłby możliwy za pontyfikatu Jana XXIII czy Pawła VI.

Jeszcze bardziej krytyczny list przysłał Stanisław Tumilowicz z Białej Podlaskiej. Czytamy w nim: „Wiadomo, że większość naszej nacji jest od dziada pradziada omotana przez Kościół. Jest to coś analogicznego do imperializmu, z tym że imperializm Watykanu jest szczególnie zaborczy i skuteczny, bowiem już od dzieciństwa trafia w najczulsze sfery psychiki, w słabość człowieka, które określa się mianem «najgłębszych potrzeb duchowych». W tym sensie nie pomoże nawet kilkadziesiąt najlepszych artykułów obnażających fałsz w doktrynie Kościoła, by przeprowadzić prawdę oczywistą, że wychodzi na jaw kryzys ideologii Kościoła”.

Po opublikowaniu tych listów można było przypuszczać, że wypowie się jeszcze ich adresat; i to już ostatecznie zakończy dyskusję na temat artykułu „Sporządzenie z drogi”. Tak się jednak nie stało. Najdziwniejsze chyba wydarzenie miało dopiero nastąpić.

Na łamach „Polityki” (nr 41 z 1985 r.), czyli macierzystego pisma Zygmunta Kalużyńskiego,

redaktor naczelny Jan Bijak napisał, że nie lubi, kiedy Kalużyński poucza katolików w sprawie prawdziwej nauki Jezusa Chrystusa. Jest to bowiem tak, jakby biskup Tokarczuk wyrokował, czy on, Bijak, postępując zgodnie z Marksem. Katolicy więc są najbardziej powołani do rozstrzygnięcia zgodności praktyki Kościoła z doktryną ewangeliczną.

W następstwie dwóch zdań „zaczepki” Bijaka dwa tygodnie później ukazał się w „Polityce” list do redakcji Zygmunta Kalużyńskiego. Podkreślił on, że jest oburzony wypowiedzią Jana Bijaka, która składa się z „samych fałszerstw”; i stanowczo odrzucił sugestie, że nie jest katolikiem, skoro posiada przedwojenną metrykę chrztu z lubelskiej parafii św. Pawła. „Jakkolwiek prymas Glemp oraz biskup Jeż z Koszalina — wyjaśnia Kalużyński — odnieśli się do mnie krytycznie, jeden w homilii na Jasnej Górze, drugi w liście pasterskim, to jednak wciąż jeszcze nie zostałem ekskomunikowany i należę do Kościoła”.

Nie zgodził się Kalużyński również z sugestią, że jest marksista. W tekstach swoich powoływał się wprawdzie na Marksa, ale tylko dlatego, że uważał jego opinie za słuszne. Naprawdę zaś nie jest „ani tym, ani tamtym, ani o-wym”, lecz jest — po prostu — Zygmuntem Kalużyńskim.

W liście do redakcji „Polityki” ujawnił Kalużyński, że kierownictwo tygodnika odrzuciło jego artykuł i stąd zdecydował się wydrukować w „Kulturze”. Macierzysta redakcja odrzuciła ponadto dwa inne jego artykuły na podobny temat.

Spośród bohaterów relacjonowanej dyskusji nie tylko dziennikarz „Polityki” został skarcony przez swego szefa. Reprimendę otrzymał również ksiądz Stanisław Kudelski. W komunikacie kieleckiej Kurii Diecezjalnej wikariusze generalni, biskup Jan Gurda i Mieczysław Jaworski poinformowali wiernych, że proboszcz z Bolmina napisał i opublikował artykuł bez ich wiedzy i zgody. Kanon 831 prawa kościelnego stanowi, że duchowni mogą jedynie za zgodą biskupa publikować w pismach wyrażnie atakujących religię lub obyczaje. Na zarzut ten ks. Kudelski odpowiedział publicznie w wywiadzie udzielonym współpracownikowi „Polityki” (nr 51/52 z 1985 r.). Stwierdził mianowicie, że czuje się niewinny, ponieważ nie zna żadnego oficjalnego wykazu pism, które wyrażnie atakują religię. A co do „Polityki”, to jej redaktorzy zapewnił go, że ich pismo ma charakter religijny, a nie antyreligijny...

Z rozmowy z księdzem Kudelskim na uwagę zasługuje następujący fragment jego wypowiedzi: „Wiemy dobrze, że wszystkie pisma katolickie mają odgórnie narzucony program myślenia, aby w ten sposób udokumentować jedynomyślność bloku kościelnego. Czy to jest zjawisko pozytywne? Czy tak jest na Zachodzie? Czy to nie hamuje zdrowego postępu myślenia? Czy to nie budzi wątpliwości w wiarygodność u ludzi o szerokiej umysłowości? Gdzie mają pisać artykuly ludzie zgodnie z Ewangelią myślenia, ale nieco inaczej niż narzucony styl myślenia totalitarnego? My katolicy, wola-jący bardzo głośno o swobodzie w wypowiedzianiu swych myśli, powinniśmy dać przykład tolerancji we własnym środowisku”.

Sędziwy proboszcz małej wiejskiej parafii marzy o tym, żeby w Polsce na wzór francuski powstały kluby, w których mogliby się spotykać i dyskutować intelektualni katolicy i marksistami. Uważa, że ożywiłoby to bardzo nasze życie kulturalne. A drugim jego marzeniem jest, aby podobne artykuły jak „Czy warto być pobożniejszym od papieża” mogły ukazywać się w pismach katolickich.

Na zakończenie winien jestem Czytelnikom „Odgłosów” wyjaśnienie, dlaczego napisałem ten artykuł? Otóż myślę, że omówiona tu w miarę bezstronnie polemika, dotyczy zagadnienia o kapitalnym znaczeniu dla naszego kraju. Chodzi o kształt polskiego katolicyzmu i miejsce Kościoła w życiu społecznym.

Kto ma rację w przedstawionym sporze? Na to pytanie każdy z Czytelników sam musi sobie odpowiedzieć. Nie zamierzam tutaj nikogo pouczać. Pragnę tylko jeszcze podkreślić, że w długich dziejach chrześcijaństwa wielu różnych myślicieli zarzucało Kościołowi odejście od zasad ewangelicznych. Należy do nich także popularny pisarz rosyjski Lew Tołstoj, ale o tej sprawie — jak sądzę mało znanej i ciekawej — napiszę w następnym szkicu.



Z Brwinowa do Warszawy jest tylko kilka kolejowych stacji. Czerdzięści minut, które traci się na pokonanie tej trasy, przenosimy się w inny świat: w Warszawie — wielkomiejski sznyt, w Brwinowie — zapyziała Polska gminna. Słowem — ogromny przeskok nie tylko w czasie, ale i w świadomości, mentalności i światopoglądzie.

Od kilku dni w miasteczku huczy jak w ulu:

— Telewizja była, moja pani! Pokazywali tę małą dziewczynkę... No tę, sparaliżowaną, co to ją rodzice trzymają w komorce... ze też taktico, moja pani, matka — ziemia jeszcze nosi! Narzecie ktoś im się do dupy dobra!

PERYFERYJNA ULICZKA

Szutrowa nawierzchnia wiedzie wprost w uprawne pole. Między nowymi, jednorodzinnymi domami — pudełkami, takimi samymi, jak te, w Suwałkach, Łasku czy Bukowinie, dwa relikty przeszłości. Dwie drewniane chatki na „kurzej stopce”, stojące bardziej w przyzwyczajeniu, niż na skutek wytrzymałości materiałów. W jednej z nich mieszka wraz ze swymi rodzicami i rodzeństwem sześciolatnia Marta. Przyszła na świat jako drugie z kolei dziecko państwa Grodków. Pomimo swoich sześciu lat,

— Skończonych, panie, skończonych. Na Jana skończyła. Nie chodzi. Ma także kłopoty z wymową: jąka się i bardzo jenerwuje przy mówieniu — szczególnie, gdy jej rozmówcą jest ktoś obcy. Prócz tego ma bardzo dużego zęza. Wszystko to za sprawą urodzonego porażenia centralnego układu nerwowego.

Ewa Gryzik — pracownik socjalny Zespołu Opieki Zdrowotnej w Brwinowie, od razu się zastrzeżę:

— Ja pracuję w tym ośrodku dopiero od kwietnia, więc niewiele mogę powiedzieć. Te osoby, które tu pracowały poprzednio, to albo już pracują gdzieś indziej, albo są na urlopiach wychowawczych. Ja miałam tylko jeden kontakt z dzieckiem, gdy pewnego dnia — a było to dokładnie 11 czerwca — zadzwonił ktoś i powiedział, że pod takim to i takim adresem słychać płacz dziewczynki. Rodziców podobno nie było w domu a dziadek — inwalida, który się miał nią zajmować, leży pijany. Pojechalaliśmy tam karetką z lekarzem pediatrą i pielęgniarką. Chcieliśmy, żeby z nami pojechał także ktoś z milicji — bo rodzina jest podobno nie tego... No, nieciekawo. Ale nie pojechali. Więc jak przyjechaliliśmy na miejsce, to lekarz zbadał małą. Stwierdziła, że brzuszek boli. Pita: „Śniadanko jadłaś?” — „Jadłam” — odpowiadała mała. Śladów pobicia czy znęcania się nad dzieckiem nie zauważyliśmy. Lekarz zostawił skierowanie do psychologa i wrócićśmy do ośrodka.

Wiem, że matka była 20 czerwca w poradni zdrowia psychicznego dla dzieci i młodzieży. Podobno mała ma mieć zabieg, który być może usunie przykurcz nóg, podobno ma zostać umieszczona w internacie w Zagórzcu i tam będzie się uczyć najpierw w „zerówce”, a potem w szkole.

Ja mam tu tyle roboty, że nie wiem, w co najpierw ręce mam włożyć. Powinno nas być pięć, a jestem sama jedna... Sama na cały Brwinów!

Czy przez minione sześć lat pracownicy Zespołu Opieki Zdrowotnej nic nie wiedzieli o dziecku? Czy nikt z personelu medycznego nie potrafił przekonać matki, że z dzieckiem należy uczęszczać na zajęcia rehabilitacyjne? Ze zęz jest wyleczalny? Ze wady wymowy należy leczyć w poradni logopedycznej, a nieprawidłowy zgrzyt u ortodonta? Czy do chorego, płaczącego dziecka należy jeździć „silną grupą”, prosząc w dodatku o pomoc milicję, która — na dobrą sprawę — nie do takich zadań została powołana?

MATKA MARTY PRACUJE NA DWIE ZMIANY

Podczas jej nieobecności w domu dzieckiem miał się zajmować dziadek. Dziadek jest inwalida: kiedyś pociąg obciął mu nogę. Chodzi co prawda o kulach, ale niezbyt sprawnie, większą część dnia spędzając jednak na swoim inwalidzkim wózeczku. Przy tym za kolarz nie wylewa.

— Panie, on tu często na rynek przyjeżdża, to tam go pan może spotkać. Chyba że będzie pijany spał na tym swoim wózku, to sobie nie pogadacie...

Dziadek Marty siedział pod krzakiem porzeczki i zrywał dorodne grona do koblaki. Nie, nie ze swojego krzaka; jak głosił napis stojący przy porzeczkowym polu, można tu było „nająć” się do rwania owoców.

— Nie będę mówił, bo potem wszystko będzie na mnie. I tak już wszyscy jeżdżą na mnie, jak na starym osle, że to ja ten telewizor sprawdziłem. Albo powiem, bo to cała prawda. Cała, szczerza prawda.

Jak Martusia przyszła na świat, to mnie nie było w domu. A trzeba panu wiedzieć, że ona nie jest dziewięćmiesięczna, tylko siedmiomiesięczna. No więc, mnie nie było w domu. Pracowałam wtedy po Mińsku i do domu przyjeżdżałam raz na miesiąc. Córka była na urlopie wychowawczym, no i opiekowała się dzieckiem do tej pory. Później zwoziłam się spod tego Mińska i tutaj postarałam się o robotę. Całą zimę byłem w domu i na wiosnę poszedłem do swego zawodu — bo ja jestem garbarz.

Panie, dziecko wcale nie mieszka w komórce, jak podali w telewizji. Tylko teraz przyjeżdżały dzieci i zięcia — te z pierwszego małżeństwa — i trzeba było je gdzieś położyć spać. A że nie chciały spać ze mną w jednym pokoju — czy ja zbrojeniec jaki jestem, czy co? — to małą położyli spać w sionce. Jest taka sionka przed kuchnią, to tam wymieśli jej rozkładany fotel z pokoju i tam mała śpi. A one — te dzieci z Ursusa znaczą się zięcia dzieci — śpią w kuchni.

Czy dziecko jest bite? Szkoda gadać panie. Często dostaje lanie... Za co? A za byle co. A to źle siedzi, a to źle je... Doszło nawet do tego, że nalał zięć gorącej herbaty, prosto z czajnika i mówi: „Pij prędko! Chciałaś pić, to teraz pij!” Jak Boga kocham! Jak dziecko miało pić takie gorące?... Mnie się nawet mówić nie chce, tylko płakać...

A ostatnio, 24 czerwca, w Jana jak zięć wrócił pijany, to też pobł dzieciaka. Przyszł i zaczął się awanturować z córką — znaczą się ze

WITOLD WERNER

Stan bezsilności

swój żoną. Ja byłem wtedy w pokoju. Naraz krzyk się zrobił, to ja chciałem po milicję dzwonić. Ale że tam rano wykopal, to ja nie mogłem przejść i tylko narobiłem krzyku...

Mnie też parę razy dał w mordę. Wie, że ja nie mogę uciec... Nie można z nim wytrzymał! Tak jak pierwsza żona z nim nie wytrzymała, tak ja też nie mogłem! On u mnie nawet nie jest zameldowany!

A wczoraj to mi powiedział, że mnie tylko gote ściany zostawi jak się wyprowadzi, moje rzeczy, które ja miałem, kuchnię, szafę, tapczan i tak dalej to on wziął i porozbił, porozwał, bo to po żonie nieboszczce, że niby na tapczanie umarła. A ja przecież mogłem spać na tym tapczanie, na którym jej się zmarło. Mnie to nie przeszkadzało. Więc jak mnie nie było w domu, to wziął i porozwał. Wstawił mi do pokoju stary, poszczany, pospany tapczan, żebym chociaż miał na czym spać. A wczoraj powiedział, że mnie się należą tylko gote ściany. Przecież to jest mój dom!

Dom... Magiczne słowo. Ileż w nim ciepła, ile uczucia, ile radości... Wigilie pachnące choinką, prezenty, „dobranoc” mówione przed zaśnięciem po przeczytanej bajce, matka troskliwie otulająca koderką, ojciec budujący latawca...

CZY TAKI JEST DOM MARTY?

Czy otrzymuje ona tyle ciepła, ile tego pragnie ta mała istotka?...

Dom... Dwurodzinny drewniak pochodzący jeszcze zapewne z ubiegłego wieku. Na podwórku studnia, sławojka, kilka klatek z nutriami, buda, w której śpi leniwy, żółty pies. Nędza i ubóstwo wyciera z każdego kąta. Do domu wchodzi się przez sień zbitą z nie heblowanych desek; między deskami szpary, przez które do środka zagląda słońce. Tu właśnie stoi rozkładany fotel Marty. Wprost z sieni wchodzi się do kuchni — pomieszczenia o powierzchni co najwyżej kilkunastu metrów kwadratowych. Stara kozetka, stół i piec stanowią jego podstawowe wyposażenie. Jedynym względnie nowym meblem jest półkotapczan, na którym Jacek — siedmiolatek brat Marty — poukladał kolekcję samochodów.

W kuchni matka Marty oraz czwórka dzieci: dwoje jej własnych i dwoje dzieci męża. Wszy-

stkie w doskonałej komitywie oglądają album z fotografiami. Sama Marta siedzi na foteliku specjalnie dla niej zrobionym ze starego krzesła. Bawi się nowiutką lalką. Pomiedzy nóżkami dziecka wystaje kilkunastocentymetrowej szerokości deska, skutecznie uniemożliwiająca zwanie nóg. Siedzisko tego dziwnego sprzętu stanowi styropianowa płytka, przykryta kilkoma warstwami starej, wyświechtanej tkaniny.

— Wszyscy są przeciwko mnie. Za co? Co ja zrobiłam? Przecież ja muszę pracować! Z jednej pensji domu się nie utrzyma... Mąż płaci alimenty na dwójkę dzieci, jemu co miesiąc potrącają, tak więc zostaje nam praktycznie półtorę pensji. A ojciec zgodził się być z małą. Przecież ja o nią dbam. Dziecko było na Ozarowskiej. W Zagórzcu było pół roku, w sanatorium... Teraz była u psychologa i u ortopedy. Ma załatwioną zerówkę... Ja nie wiem, co oni chcą ode mnie... I na szczenięcia chodzi, i na kontrole różne też chodzi... Co oni chcą ode mnie?...

Wie pan, żeby dziecko trzymać w komórce?... To normalny obłęd! Ja bym nie miała sumienia! Wie pan, wszystkim przeszkadza Marta. Nawet do tego stopnia, że w ubiegłym roku, zanim z wisienki były poobcinane gałęzie, przeszkadzało im to, że dziecko siedziało pod wisienką. Przecież dziecko musi być na dworze! No, trudno, żebym ja trzymała dziecko w domu. Wie pan co, taki dam panu przykład. W zeszłą niedzielę przyjechała do nas teściowa, teść przyjechał, męża siostra no i ta Kasia, no to my wzięliśmy te wszystkie dzieci na glinianki. Tak ciepłutko było, to dlaczego Marta ma się nie wykopać? Przecież też jej coś się od życia należy... A że dziecko kalekie, to co, nie ma mieć przyjemności? Żeśmy z mężem złożyli dziecku tu, pod piersiki, koło ratunkowe i mała pływała sobie trochę. No, żeby jej się nóżki rozruszały, rączki... A wczoraj przyjechała do mnie koleżanka z Sochaczewa i mówi: „Anka, ludziom to nawet przeszkadzało, żeś ty z dzieckiem była na gliniankach! Jak można wziąć kalekie dziecko w publiczne miejsce?” O nie, ja z dzieckiem będę wszędzie chodziła! I nikt mi tego nie zabroni!

A co pokazali w telewizji, to Boże, postawili mnie w takiej sytuacji, że tu w ogóle jest jakaś melina, że tu w ogóle jakiś taki burdel się dzieje. Powiedzieli, że ja się dzieckiem w ogóle nie zajmuję. Jak się ta ich redaktor zapytała Martę, czy jest opiekowana, więc Marta powiedziała to, co myślała. Jeżeli dziecko by miało źle, to na pewno by powiedziało, że mama mi jeść nie daje czy co innego... A dziecko powiedziało, że mama się opiekuje, że jak ona chce z fotelika na tapczan, to mama ją przeniesie. Tak było!

Ja nie jestem zła matka. O proszę, tu są książeczki oszczędnościowe dla dzieci... Jakbym była zła, to przecież nie złożyłabym im książeczek, prawda? A w ubiegłym roku kupiłam dzieckiem lornetkę, za całe dziewięć tysięcy złotych!

LORNETKA ZA DZIEWIĘC TYSIĘCY.

Książeczki systematycznego oszczędzania, na które miesięcznie wpłacane jest po sto złotych. Czy tylko to może świadczyć o tym, że matka jest zła albo dobra? Czy są to jedyne atrybuty matczynej miłości?

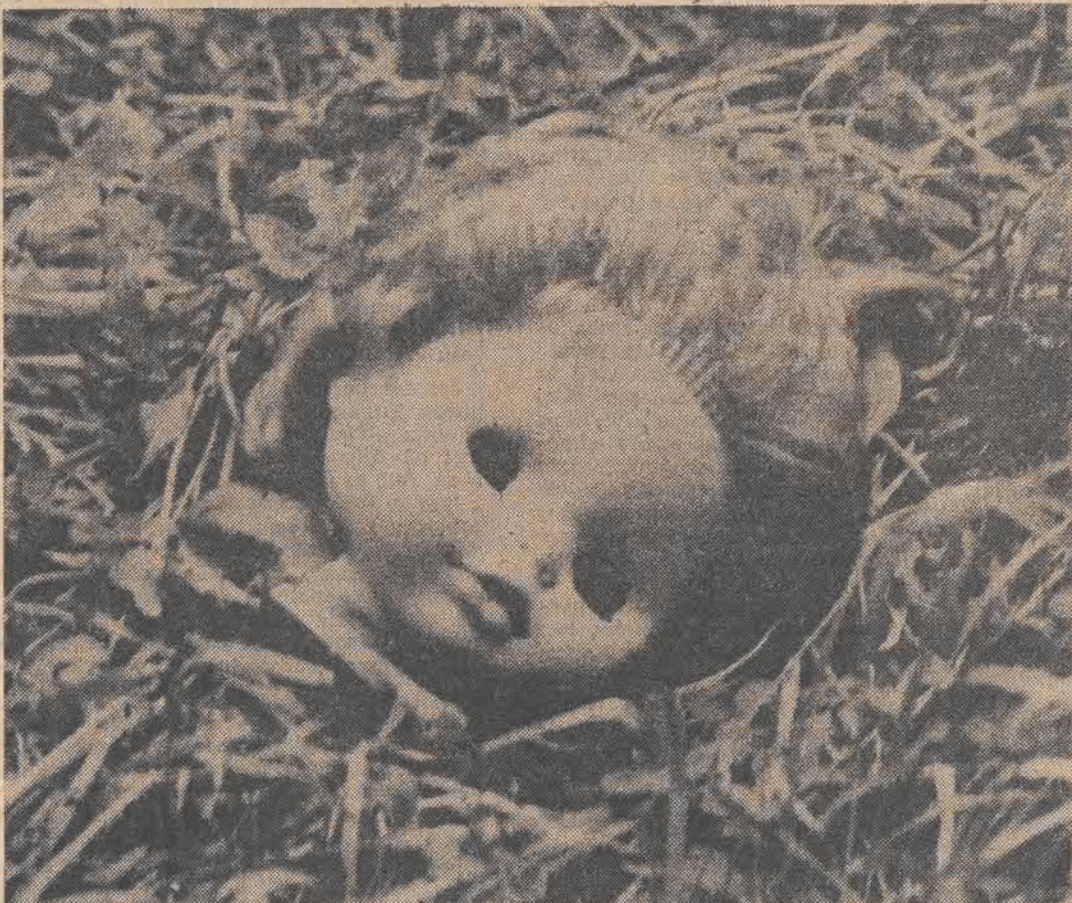


Foto: autor

— A wszystkim, to przez ziemię. Moja ciotka chce nam tę ziemię siłą odebrać. Bo ja ją dostalam po matce. Jej siostra spłaciła dwóch spadkobierców, a my nie chcieliśmy pieniędzy, to teraz nas chce inaczej wykończyć. To przecież ona ściągnęła telewizję...

Starsza, energiczna kobieta oburza się:

— Też mi coś! O taki kawałek ziemi mam jej ściągać telewizję? A cała sprawa już przecież przeszła przez sąd. Niech ona oczu nie mydli!

Chce pan wiedzieć jak jest naprawdę? To panu powiem. Przecież to dziecko jest zanedbane! I bite jest. W zeszłym roku ojciec przyszedł pijany, to położył dziecko na podłodze i deptał po nim kolanami! Dziecko wyło nieludzkim głosem! A raz, jak mój syn tam poszedł, to dziecko miało garnek założony na głowę, żeby nie było słychać jak krzyczy! To jak złapał matkę, jak ją popchnął, to mówił, że by ją zabił! Bija ją za byle co. Jak kupę chciało, albo jeść, albo pić — to baty. Kiedyś mój syn też widział, jak nalała gorącej zupy prosto z garnka i mówi do dziecka; „zryj!”. To mój syn mówi: „Anka, kurwa, jaka ty jesteś matka, że dziecku takie gorące każesz jeść?”. Tylko woda i woda...

Przecież przed Janem, zanim ją tak mocno pobili, to dziecko też miało całe pół buzi sine. Bo dechą dostała! A w zeszłym roku, w sierpniu, to ja byłam przez to pobita, bo w obronie dziecka stanęłam. Ja byłam o włos od śmierci! Dwa tygodnie w szpitalu leżałam, na laryngologii! Sprawa była. Ona dostała za to pół roku w zawieszaniu na dwa lata! A było to tak: robliliśmy coś w ogrodzie, a to małe drze się i drze. No to syn mówi: idź mama, zobacz co tam się dzieje. To ja poszłam, razem z bratową. A ta zaczęła mnie wyzywać od kurwów i takich tam... No to ja mówię: „Anka, zamknij mordę, bo ci dam w rzyja”. No bo co taki szczer! Będzie mnie ubliżał! Ja mam przecież dzieci bardziej od niej! No i żeśmy się — nie powiem — zlapały za rzy. Ona mnie, a ja ją i żeśmy się wyciągnęły na dwór. Byłam w takich domowych kapiach i jeden mi spał. Chciałam go sobie złożyć, a wtedy ona kopła mnie tu, w krtani i w szyję. Dwa tygodnie potem leżałam na laryngologii... Lekarz w szpitalu powiedział mi wtedy: „O włos od śmierci, kobieto, o włos od śmierci!”

A jak ją wczoraj prowadzili! Ja zawsze mówiłam: „Ania, ty kap to dziecku!” Ono tak chciało się kapać! A ona na to: nie ma wody w domu. No to mówię: przychodź do mnie. U mnie jest woda, jest wanna, to ją wyląpię. Nigdy nie przyszła. Jakie ta mała miała rany na pośladkach! Bo jak siedzi, to poogniatła sobie, poodparzała sobie.

A ile razy było tak, że stawiła radio na oknie, odkręcała je na pełny regulator, żeby nie było słychać, jak ją biją! Mało jeść dać, żeby nie srała, mało pić, żeby nie szczęła. Jak można?

Raz, przed nocą, to siedziała na dworze w samej sukience i prosiła, żeby ją do domu zabrać, bo ją komary gryzą! To dziecko ma taki mores, że przedtem to mówiło, że ją biją. Teraz nie nie powie, bo się boi, że dostanie. Spojrzenie ojca albo matki wystarczy.

Moja córka jest jej chrześną. Ile razy Marta do mnie mówiła: „Babcu, jak ja bym chciała do cioci Lidzi iść... Mnie się tutaj tak przykrzy... Oni mnie tak tu biją... jeść mi nie dają...” To przecież dziecko jest... To serce samo człowiekowi płacze nad tym dzieckiem...

Najbardziej za tym dzieckiem to jeszcze jest dziadek. Żeby nie on, to dziecko już by dawno z głodu umarło. On najbardziej o nie dba i najbardziej przeżywa, jak on je biją. On też pije bardzo, ale jest inny. Dziadek jej nie uderzył! Dziadek jest dobry...

Co to dziecko jest winne... No co to dziecko jest winne? W ubiegłym roku, jak miałam pomidory, to zaniosłam jej kilka. Sześć na raz zjadła! I mówi: „Jakie to dobre! Mnie mama tego nie kupuje”...

Raz, jak ten dzieciak miał ze trzy latka, to zostawił dziadkowi jedzenie kwaśne, z muchami. Dziecko chce jeść — a tu nie ma czym nakarmić! Ugotowałam, bo co było robić! Później, jak ją spytałam, czemu zrobiła dziecku z kwaśnego mleka kaszę, to powiedziała: „A co miałam zrobić, jak mi skisło? Miałam wylać?”. Mój pies nawet nie chciał jeść tej kaszy...

Dziecko było przez pół roku w Zagórzcu. Jak wróciło, to było zupełnie inne! Babcu — do mnie mówi — zobacz, ja już umiem troszkę chodzić! Lekarze kazali chodzić na rehabilitację, ale gdzie tam... Jak mieli jechać na kontrolę, to dziecku na siłę kolana rozciągnęli!

Jak ja się cieszę, że wreszcie ktoś się tym zajął, jak ja się cieszę... Żeby ten „Kurier” z Warszawy był dzień wcześniej, to zastąpił tam libację! Oj, to by, było dobre! Jak ja się cieszę...

Sześciolatnia, niepełnosprawna dziewczynka zajmuje się dziadkiem — inwalida. Dziecko często jest bite, upokarzane. Czy nikt nie jest w stanie jej pomóc? Jak długo ma trwać ten stan bezsilności? Bezsilności władz, opieki społecznej, służby zdrowia? Jak długo mała, bezbronna istota ma przebywać w takich warunkach? Czy tak długo, aż zostanie zaszczuta, aż stanie się to najgorsze? Stan bezsilności nadal trwa...

roku zrzucić chore, zatrute liście. Dotykamy gałązek umierającej sosny. Trupioszare igielki opadają na ziemię. Naukowo nazywa się to uszkodzeniem aparatu asymilacyjnego. Bez płuc nie można żyć. Sosna wymienia igliwie co trzy, cztery lata. Te drzewa nie doczekają.

Nowa droga biegnie teraz przez obszar byłych torfowisk. Dziesięć lat temu nie istniała. Przed dziesięcioma laty, kiedy zaczęto kopać dół do bierając się do węgla, pompy osuszyły torfowiska, a powiększający się lej depresyjny dopełnił reszty. Wilgotny teren pokryty rzadkimi gatunkami roślin zamienił się w step. Czasem płoną tutaj torfowiska zapalone od wyrzuconego z samochodu papierosa.

Po lewej stronie drogi było torfowisko Biały Ług szczerze pokryte welniakami. Została po nim fotografia.

BIAŁY ŁUG TO DZIŚ WYBETONOWANY ZBIORNIK

wodny do chłodzenia elektrowni albo nazwa stacji kolejowej. W dawnym powiecie bełchatowskim nie było ani kilometra żelaznej drogi.

Nieco na północ jest zbiornik rezerwowy Słok ze sztucznie uszczelnioną czaszą. Gdyby nie beton i sztuczne tworzywo, woda zniknęłaby stąd tak szybko, jak zniknęła z setek studni, z koryt rzek i strumyków, które zarosły już pokrzywami.

Zbaczamy z nowej drogi u stóp gigantycznej inwestycji, by znaleźć się w... ośrodku wypoczynkowym. Ośrodek nazywa się Wawrzokowizna i jest miejscem sobotnio-niedzielnego wypoczynku górniczych rodzin. Drewniane domki campingowe w sosnowym rachietycznym lasku, stadion sportowy, korty tenisowe, konie. Sztuczna plaża nad sztucznym zalewem, sztuczne kwiaty w wazonach. I wspaniały widok na dymiące komin elektrowni. Dużo pieniędzy włożonych w tę rekreację, duża wygoda. Wczasy między pracą a domem. Jeśli chcesz odpocząć — zajrzyj do Wawrzokowizny. Tylko pośpiesz się. Jest tu las, ładne powietrze, nawet ryby w wodzie. To nie Karkonosze, gdzie gołym okiem widać już ekologiczną klęskę. To nie Góry Izerskie, gdzie też było kiedyś świeżo, czysto i bezpiecznie.

Wygląda to niesamowicie. Asfaltowe drogi przeskakują przez małe i większe mosty, które niczemu już nie służą. Pod nimi nie szumi woda, tylko smagane wiatrem kępy bujnych chwastów triumfalnie wrastających w dawne koryta rzek. Zatrzymujemy się na niewielkim betonowym mostku, by pospacerować piaszczystym dnem — suchą stopą. Tu była prosta, drewniana tama i kanał, którym woda płynęła wprost do chłopskich gospodarstw. Tam, w korzeniach wierzb gołymi rękami łowiło się ryby. Doktor Kurowski rozkłada mapę i długo wodzą po niej palcem.

— To była rzeka Kamionka — oznajmia.

Była i nigdy już rzeką nie będzie. Niewielu pamięta jej nazwę i niewielu pamięta, że była. Ci, którzy nad Kamionką mieszkali i codziennie pili jej kryształową wodę, musieli ustąpić miejsca wielkiej budowie. Odeszli razem z rzeką.

Pod Bełchatowem rzeki płyną tak, jak każe im człowiek. Widawka płynęła akurat nad ziołem, więc zepchnięto ją bardziej na wschód. Między Ruszczyńcem — wsią z osiemdziesięcioma gospodarstwami, których już nie ma, a Stefanowizną Widawkę przelożono do nowego koryta. Teraz od Kmiecin do Słoka rzeka płynie betonowym kanałem. Kanał wygląda jak rynsztok uszczelniony płytami folii, żeby woda nie uciekała do spragnionej ziemi. To, na co patrzymy, jest protezą Widawki. Do betonowego kanału zrzuca się zimne wody wypompowywane ze złoża. W zimnych wodach i ściekach, na betonowym dnie nie chce tętnić biologiczne życie.

Jeszcze w 1973 roku Widawka była najczystsza rzeką w środkowej Polsce.

Tutaj, gdzie stoi kompleks elektrowni, był las i maleńka wieś Rogowiec. Wioska Piaski — czterdzieści zagrod, to początek wkopu. Tam pracuje gigantyczna koparka firmy Krupp zdejmująca stumetrowy nadkład ziemi, pod którą jest brunatny węgiel. Dół będzie miał ponad dwanaście kilometrów długości i dwa i pół kilometra szerokości. Przed koparkami „uciekają” następne wsie i lasy.

Pod siekiery i pily poszło już dwa tysiące czterysta hektarów lasów — obszar jednego dużego leśnictwa.

DRZEWAM USTĄPIŁY MIEJSCA KOMINOM,

taśmociągów, koparkom, liniom energetycznym i zwałowisku. Zwałowisko skały pionnej ma ponad sto pięćdziesiąt metrów wysokości i jest najwyższą sztuczną górą w regionie. Haldy stałe pęcznieją i niebawem zajmie półtora tysiąca hektarów gruntów. Pelzające zwałowisko zasypuje asfaltowe drogi i zagajniki, bo nie ma czasu na właściwe przygotowanie terenu.

W 1983 roku wojewoda piotrkowski, zgodnie z ustawą o ochronie i kształtowaniu środowiska, nakazał kopalni zapłacić blisko dziewięćset milionów złotych za ekologiczne konsekwencje usypywania góry odpadów. Ale kopalnia powiedziała: „Nie!” I postawiła na swoim. Rachunek wydobywa węgla nie bierze tu pod uwagę kosztów degradacji środowiska.

Uroczysko Piaski Kompleks Łekawa II. Jesteśmy dwa kilometry od centrum leja depresyjnego. Inny słowy, stąpamy po ziemi od lat systematycznie osuszanej, z której woda jest wy-



pompowywana po to, by koparki mogły dobrać się do złóż węgla brunatnego zalegających na znacznych głębokościach. Stąpamy po ziemi i roślinach, które mogą już tylko liczyć na deszcz. W tym rejonie botanicy obserwują „śmierć na żywo”, czyli są bezsilnymi świadkami umierania przyrody. Jest kilka takich powierzchni ekologicznych założonych wokół inwestycji, aby prowadzić na nich badania glebowe i pomiary drzewostanu.

Oglądamy fotografię wykonaną w 1977 roku. Tu był bór bagienny, rosły czterometrowe sosny i brzozy z samosiewu. Białe punkciki, to chroniona roślina zwana bągnem zwyczajnym. Minęło dziewięć lat. Lej depresyjny ogarnął korzenie roślin.

Brzozy i olchy umarły niemal wszystkie, leżą pokryte grzybem.

ROMAN KUBIAK
PAWEŁ TOMASZEWSKI

Świat, który musi zagać

PIEŃ MARTWEJ BRZOZY ROZPADA SIĘ

przy dotknięciu ręką. Nieliczne sosny dzielnie trwają jeszcze, lecz ich korzenie bezskutecznie szukają wilgoci. A powinny żyć jeszcze co najmniej pół wieku!

— Tutaj nastąpił silny stres wodny — objaśnia naukowiec. — W krótkim okresie naturalne środowisko tych roślin zostało im zabrane. Zmiany są kolosalnie szybkie. Z braku wody wyginęło bagno zwyczajne i inne gatunki torfowiskowe. W nadkładzie nie ma tu próchnicy, która zatrzymuje wilgoć.

Już w 1976 roku, kiedy ruszyła gigantyczna budowa kopalni, w pobliskiej Łekawie zniknęły stawy rybne. W ciągu kilku zaledwie tygodni sześćdziesiąt hektarów zbiorników wodnych

zamieniło się w suche niecki. Pompy działały sprawnie.

Rośliny torfowiskowe konaly nieco dłużej. W ciągu następnych kilku lat botanicy dostrzegli czterdziestoprocentowy ubytek biomasy tych roślin. Wilgoć z byłego torfowiska jeszcze jako tako podtrzymuje życie odporniejszych gatunków. Właśnie dogorywają kępy pięknych turzyc. Za rok nie będzie po nich śladu. Za rok będą tu jedynie chwasty i niskie rośliny borowe, które w procesie sukcesji zajmą miejsca ustępujących gatunków.

— Bardzo zmienia się tutejszy krajobraz — kontynuuje doktor Kurowski. — Degradacja gleby poważnie zmniejsza szanse lasu. Ocalała roślinność potrzebuje wody i ręki leśnika, która jeszcze może uchronić ją przed zupełnym wyniszczeniem.

— Coraz częściej to widok — mówi doktor Kurowski i na dowód pokazuje kilka fotografii.

Fotografia wykonana w lipcu 1982 roku: duża polana otoczona gęstym zarośnięciem, całą powierzchnię polany wypełnia klebowisko roboczych ciuchów, ubabranych gliną gumowców, barwnych plastikowych kasków ochronnych. Komuś nie kalkulovalo się odwieźć tego ładunku na wysypisko, wolał zepchnąć do lasu, a zaszczerzone paliwo opylić na lewo.

W Nadleśnictwie Bełchatów powiedzą nam, że są bezsilni. Góry śmieci rosną w tych lasach szybciej niż grzyby po deszczu. Leśnicy znajdują

BETON WYLANY DO ROWÓW,

ropę i smary spuszczone w korzenie drzew. Raz znalezione zwaly dokumentów rozchodowych z pieczęciami kopalni. Tylko w takim przypadku można skutecznie interweniować.

Leśnicy od dawna walczą o budowę gminnych wysypisk śmieci. Bezskutecznie. Na razie śmieci wywozi się pod zwałowisko od strony północnej, albo... do lasu. Granice wielkiej budowy znaczy pas porzuconych w lesie butelek.

Za Łuszczanowicami po prawej stronie drogi rozciąga się czterdziestojednohektarowy rezerwat leśny. Tutejsi nazywają go czarnym lasem, gdyż jest mroczny, dziki, wilgotny. Zmęczeni ułamem, pyłem trzeszczącym w zębach i halasem z prawdziwą ulgą wchodzimy w jego cień. Bogata w próchnicę gleba, gęste posycie, sosny, dęby i wspaniałe wysmukłe jodły. To jedno z najcenniejszych stanowisk białej jodły w środkowej Polsce. — Wyjaśnia doktor Józef K. Kurowski. Doskonałe miejsce do prowadzenia badań i obserwacji. Unikalny zakątek.

Na razie nie widać tu jeszcze większych ujemnych zmian w środowisku, jest tak, jak przed laty.

— Ale los rezerwatu został już definitywnie przesądzony — orzeka botanik. — Jesteśmy w prostej linii cztery kilometry od krawędzi odkrywkowej, osiem kilometrów od kominów elektrowni. Nie ma szans na to, by jodła przeżyła w tak bliskim sąsiedztwie.

Jodła jest najwrażliwszym drzewem iglastym, gdyż najrzadziej zrzuci igły — co około sześć lat. Rozszerzający się lej depresyjny, coraz większe zapylenie i zaszczepienie atmosfery muszą w końcu dokonać dzieła zniszczenia. Pozostaje już tylko jedna niewiadoma: kiedy to nastąpi? Za pięć, dziesięć, piętnaście lat? Bo, że nastąpić musi, prowadzący tu od wielu lat prace badawcze ekolodzy z UL nie mają wątpliwości.

Jodła wyginie zupełnie, inne gatunki drzew będą chorować, wolniej rosnąć, zubożeje runo leśne, dojdzie do degradacji gleby, a to, co zostanie, nie będzie już z pewnością tym pięknym, naturalnym lasem, jakim jeszcze jesteśmy otoczeni.

Prognozy przewidują, że po uzyskaniu pełnej mocy przez elektrownię w Rogowcu i po wybudowaniu drugiej — w Osinach, utworzony w latach siedemdziesiątych z inicjatywy profesora Romualda Olaczka z UL rezerwat jodły „Łuszczanowice” znajdzie się w trzeciej strefie zagrożenia przemysłowego, podobnie jak wiele innych uroczysk godnych zachowania w niezmiennym stanie, jak tysiące hektarów lasów, które nie są wcale tak ubogie, jak się nieraz twierdzi. A trzecia strefa, to już prawie śmierć — stan przedagonalny. Druga strefa zagrożenia obejmuje Puszcze Piłkicą wraz ze zbiornikiem sulejowskim, liczne kompleksy leśne na Wysockim, Wzniesieniach Łódzkich i Wzgórzach Radomszczańskich. Pierwsza strefa pokryje całą Polskę Środkową, być może nawet Góry Świętokrzyskie.

W Biurze Urządzenia Lasu i Geodezji Leśnej usłyszymy później, że już dziś ponad siedem tysięcy hektarów lasów państwowych w Nadleśnictwie Bełchatów znalazło się w pierwszej strefie zagrożenia przemysłowego, w wyniku działania rogowieckiej elektrowni. Potwierdzają to jednocześnie ekspertyzy. Lecz do tej liczby dodać trzeba jeszcze mniej więcej drugie tyle lasów prywatnych i uwzględnić fakt, że przepisy odnoszą się tylko do zanieczyszczenia atmosfery. Dotychczas nie bardzo wiadomo, jak oszacować straty powstałe oddziaływaniem leja depresyjnego. Prawodawcom zabrakło wyobraźni. A przecież i te straty są faktem widocznym. Oczywiście elektrownia zapłaci nadleśnictwu odszkodowanie — kilkadziesiąt milionów złotych. Taka suma może robić wrażenie. Umierające lasy jeszcze większe.

Między Pytovicami a Łękińskiem, tuż przy nowej drodze rośnie okazały dwustuletni dąb — jeden z najstarszych i najpiękniejszych w okolicy. Zabytek przyrody. Swego czasu budowniczoście drogi skazali go na śmierć przez ścięcie i wyrok zostałby zapewne wykonany, gdyby nie doktor Józef K. Kurowski. Tak długo jeździł, prosił i tłumaczył, aż w końcu wymusił przesunięcie drogi o kilka metrów w prawo. Asfaltowa nitka zatacza w tym miejscu lekki, prawie niezauważalny łuk, a dąb został nietknięty. Jest ocalałym symbolem, reliktem pradawnej nieskazzonej przyrody. Właściciel nazywał go żartobliwie „Dębem Kurowskiego”. Tym razem rozsądek ekologa wziął górę nad beztróską i bezmyślnością projektantów oraz budowlanych. Można było bowiem od razu tak wytyczyć szlak, by omijał drzewo. Nic prostszego. Ale jest to tylko wyjątek potwierdzający regułę, w myśl której drzewa i ekolodzy głosu nie mają. Jeden dąb mniej, jeden więcej — co za różnica, skoro wycięto już tyle setek hektarów lasu...

Tutaj na każdym kroku widać, że tak właśnie się powszechnie myśli. I o ten skrzywiony sposób myślenia chodzi. Czyny są przecież jego następstwem. Ech...

Jedziemy dalej.

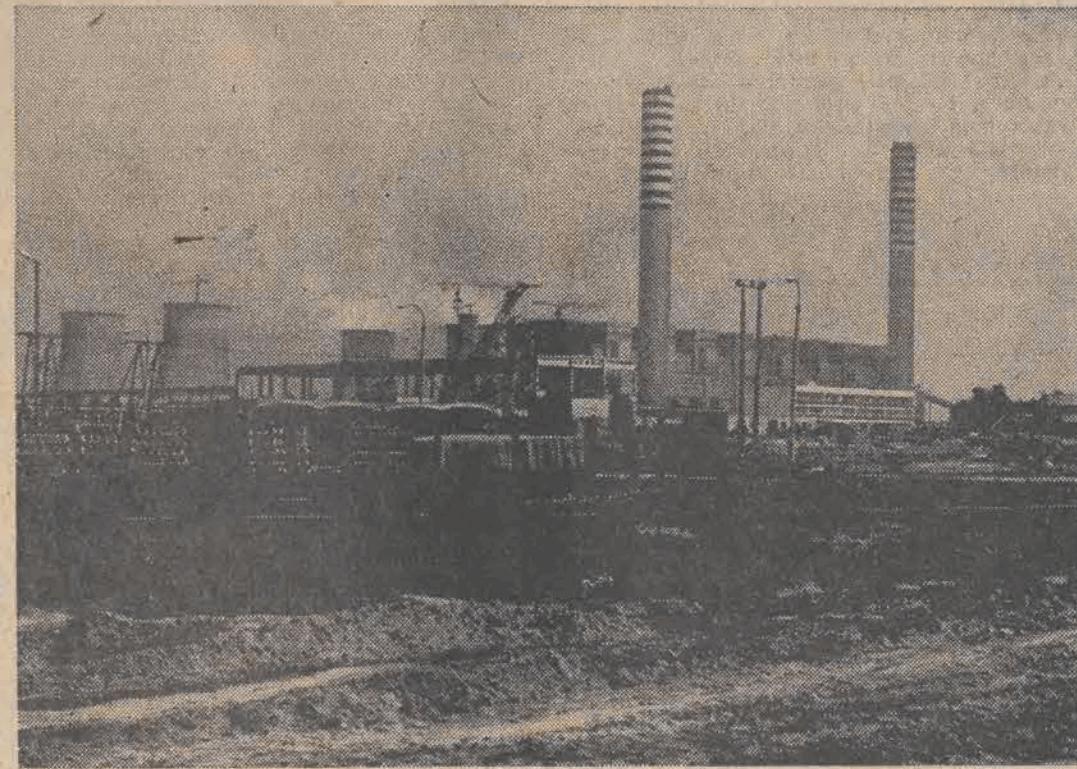


Foto: Grzegorz Galasiński



Twoja gra na flecie przypomina bicie w cynowe dzwony. Z klasztorów wybiegają ogorzali, siwi mnisi. Ich twarze — wypieczone bochny chleba kontrastują z czarnymi habitami. Klękają u bram słońca wyblagać niebo o deszcz, hebanowe sandały trzeszczą. Wśród spalonej trawy. Zbiegają wolno po drewnianych schodach kaplicy, w splecionych do modlitwy dłoniach ukrywają wiare, ciszę i nadzieję. Nikt nie potrafi tak opowiadać jak twoja gra na flecie.

Sławomir Fijałkowski

Z galerii przy ul. Wschodniej

z pustki odległej smugi
nici świętojańskich robaków
kto ras je widział — zapamięta
jak wysnute alkoholowe wizje

ktoś uzasadniał że smugi te to rzecz naturalna a przecież „to mistyfikacja prawdy” prawdy III stopnia
że blask — uderzenie w oczy do potęgi to światło które istnieje bezboleśnie obrobione przez nas a priori zamknięte w pamięci kadru powiększone do rozmiarów obrazu bez ram

to z odległej pustki jak nici świętojańskich robaków ciągnące się smugi

Andrzej Kordela



Osmego dnia Bóg postanowił wprowadzić reformę zgodnie z powszechnym postulatem o grzech

był zły bo przegrał zakład o Raj naszczuli się że zostanie w nim sam

pe czym odłożył termin potopu

zbawienie rysowało się w dalekiej perspektywie planów



Jestem sobie z drobnymi kłopotami z drobnymi myślami drobną drobną

Mam drobne kości drobne marzenia drobne porachunki drobne i tylko drobne

Nie mam drobnych wydatków drobnego zapalu drobinę więcej

Drobnostka.

8 ODGŁOSY

Faktem jest, że wydarzenia z grudnia 1970 r. zapoczątkowały koniec pewnej epoki w naszej powojennej historii. Epoki, którą w październiku 1956 r. przyjęto entuzjastycznie, by czterdzieście lat później pożegnać ją demonstracjami, strajkami, samosądami i salwami karabinowymi. Faktem jest także, że dotąd owe wydarzenia nie doczekały się pełnego opracowania historycznego ani nie stały się inspiracją dla twórczości literackiej, choć pamięć o nich, mimo upływu czasu, ciągle pozostaje świeża i żywa.

Napisałem, że w salwach odchodziła pewna epoka ustępując miejsca innej, nowej, nieznannej, a przede pozwalająca mieć nadzieję, że będzie lepsza od swej poprzedniczki. Dziś wiemy, że tak się nie stało. Ale treścią niniejszej publikacji jest ów przełom i wstrząs z grudnia 1970 r. kiedy to w oficjalnych informacjach mówiono się, że bandy rozwydrzonych elementów apolitycznych wywołały zamieszki w Szczecinie, Gdańsku i Gdyni. A jak było naprawdę? Nie tak dawno ukazała się powieść Wiesława Rogowskiego pod tytułem „Biały punkt”, bo-

Koniec pewnej epoki

padają sklepy, a rabunek staje się jakby czymś oczywistym, cechą demonstrujących, którzy wyszli na ulicę z hasłami protestacyjnymi, a wrócili do domów z futrami, cukrem, biżuterią. Tak więc z jednej strony słuszny gniew ludzi pracy, z drugiej — okazja dla szumowin, lumpów, złodziejasków i kryminalistów. Mogą zarzykować stwierdzenie, że powieść „Biały punkt” jest książką bardzo rzetelną i prawdziwą w swojej wymowie kronikarskiej. Jest także wiarygodna w warstwie politycznej. Jednocześnie, czy tego się chce czy nie, przywołuje analogie z wydarzeń początku lat osiemdziesiątych, kiedy to ci sami robotnicy ponownie wystąpili przeciwko ekipie rządzącej, którą w 1970 r. obdarzył zaufaniem. Książka kończy się optymistycznie: oto główny bohater artysta plastyk maluje wreszcie obraz, którego nie udawało mu się ukończyć od tak dawna: jest to ów biały punkt na tle czerni. Czerni — to śmierć, biel — nadzieja. Biały punkt jest tej nadziei symbolem.

metu zakładowego partii w stoczni, Szwedów pozostających na usługach obcego wywiadu, wreszcie dziwki Heleny sprzedającej własne ciało i ojczyznę za korony i dolary. Losy tych ludzi w większości sobie obcych zostają nagłe ze sobą splątane, dotychczasowe racje tracą sens i znaczenie, a na plan pierwszy wysuwają się sprawy, o których jeszcze kilka dni wstecz było niebezpiecznie wspominać.

Bohater powieści Jan Malak przybywa do Szczecina w najmniej właściwej chwili: atmosfera jest pełna grozy, w stoczni narasta bunt, miasto jest niczym mina i wystarczy, by ktoś dotknął detonatora. Wreszcie staje się to przeżywane: wielotysięczny tłum wylewa się na ulice, maszeruje w kierunku komitetu partii, przed który właśnie zajeżdża czołgi. Tu, na placu, rozgrywa się scena dramatyczna i krwawa. Jednocześnie pojawiają się „obserwatorzy”, w powieści są to szwedzcy „turyści”, którzy utrwalają na kliszach przebieg wydarzeń. Wburzony, rozpięty tłum prze następnie w stronę siedziby milicji, pod więzienie, gdzie „siedzą patrioci”. Po drodze łupem

padają sklepy, a rabunek staje się jakby czymś oczywistym, cechą demonstrujących, którzy wyszli na ulicę z hasłami protestacyjnymi, a wrócili do domów z futrami, cukrem, biżuterią. Tak więc z jednej strony słuszny gniew ludzi pracy, z drugiej — okazja dla szumowin, lumpów, złodziejasków i kryminalistów. Mogą zarzykować stwierdzenie, że powieść „Biały punkt” jest książką bardzo rzetelną i prawdziwą w swojej wymowie kronikarskiej. Jest także wiarygodna w warstwie politycznej. Jednocześnie, czy tego się chce czy nie, przywołuje analogie z wydarzeń początku lat osiemdziesiątych, kiedy to ci sami robotnicy ponownie wystąpili przeciwko ekipie rządzącej, którą w 1970 r. obdarzył zaufaniem. Książka kończy się optymistycznie: oto główny bohater artysta plastyk maluje wreszcie obraz, którego nie udawało mu się ukończyć od tak dawna: jest to ów biały punkt na tle czerni. Czerni — to śmierć, biel — nadzieja. Biały punkt jest tej nadziei symbolem.

EUGENIUSZ IWANICKI

Wiesław Rogowski: Biały punkt. KAW 1986. Str. 404. Cena 220 zł.

Najnowszy spektakl „Nadkolonia karna” wg scenariusza opartego na opowiadaniu Franza Kafki i w reżyserii Marcela Szytenhelma, zaprezentowany w przedostatnim tygodniu maja, zdaje się być najdojrzalszą i najciekawszą propozycją tego młodego, ambitnego reżysera teatralnego i aktora filmowego (w jednej osobie). Studio Teatralne „Słup” jest od kilku lat czołowym łódzkim teatrem młodzieżowym, o którego walorach mówi się i pisze często i dobrze, ale zupełnie nie interesuje nikogo w jakich warunkach przychodził mu egzystować. Dziś więc nie tylko recenzja nowej premiery, ale i wejście za kulisy tego co tam powstaje. „Słup”, choć działa przy placówce upowszechniania kultury, nie ma obecnie sali, własnej sali, w której mógłby pracować (próbować i

Franz Kafka napisał opowiadanie „Kolonia karna” ok. 70 lat temu i było ono monologiem wewnętrznym pewnego oficera, który za wszelką cenę chciał utrzymać w pełnej sprawności maszynę do zabijania ludzi i którą był obłąkaczko zafascynowany, do tego stopnia, że oddałby za nią życie. Autor scenariusza Marcel Szytenhelm podzielił Oficera na dwie postaci (Officer Pierwszy i Officer Drugi), aby ukazać dwoistość jego osobowości, zaakcentować dwie przeciwstawne wartości: dobra i zła, z analogią do człowieka, który przeważnie ma dwie twarze, dwa charaktery. Zabójca może być przecież każdy. Pojedyncze wprowadzanie widzów i anonowanie ich przybycia (przy użyciu zabawnych pseudonimów) to rodzaj uświadomienia, że lu-

„Nadkolonia karna” w „Słupie”

wystawiać). Poszukiwania sali zajęły 1,5 miesiąca i kiedy już jako jedyna pozostała jadalnia Zespołu Szkół Ogólnokształcących im. Tekli Borowiak na Widzewie, pojawił się pomysł na wynajęcie sali w małym, zakładowym klubie „Wilany” przy ul. Sobolowej 1. Tam mogli jeden raz w tygodniu próbować w sali dużej (dyskotekowej, bez sceny, zaplecza) i w pokoju dla szachistów.

Wkrótce pojawiły się kłopoty ze wszystkim co niezbędne, aby stworzyć przedstawienie teatralne. Szczególnie z kostiumami (wypożyczonymi z WFF), rekwizytami (wypożyczonymi od straży pożarnej, drwa, kupionymi na rynku). Główny element scenograficzny — maszynę-gilotynę — zbudowali aktorzy przy pomocy emerytowanego stolarza. Wszystkie te elementy zgromadzono i ustawiono na 5 ostatnich prób przed premierą.

Dekoracje miały być o wiele bogatsze i bardziej rozbudowane. Ktoś z urzędników wpadł na pomysł, że zamiast budować skomplikowaną maszynę, można ją przecieć namalować. Tylko, że wtedy nie byłoby po co robić tego specyficznego spektaklu. Po wielu trudach i zmaganiach o wszystko i ze wszystkim, w klubie „Wilany” zaistniał teatr i o dziwo prawdziwy teatr, bo już wchodząc do klubu wyzwalana była jakaś niezwykła i charakterystyczna (dziś już zanikająca) atmosfera zdarzenia teatralnego, które miało tu mieć miejsce.

dzie przekraczający zasięki i budkę strażnika, wchodzący na teren kolonii karnej mogą stać się np. jednym z jej oficerów, może samym komendantem?

Przed nami korowód zabawnych, przerysowanych postaci (pielegniarka, sędzia, państwo młodzi, rzeźnik, zakonnik), krążących wokół maszyny-gilotyny, raz wyciętych wprost z czasów okupacji, a raz z naszej współczesnej ulicy. Widzimy też tych, którzy nami sterują i dbają o to, żeby maszyna przetrwała, bo w każdej chwili może się przydać. Tak, tak, wszyscy mniej lub bardziej świadomie budujemy tę straszną niszącą ludzką maszynę zagłady. Marcel Szytenhelm swoim autorskim spektaklem ostrzega przed groźnym niebezpieczeństwem, opowiadanie Kafki jest tylko pretekstem, pomysłem na zrobienie sztuki o określonym charakterze i swoistej wymowie. Na piętrze, za balustradą gra ciekawy, łódzki zespół rockowy „Kaspar Hauser”, którego muzyka świetnie koresponduje z tym co dzieje się na dole, a dzieje się sporo, obrazy zmieniają się jak w kalejdoskopie.

Grają znani już z poprzednich premier „Słupa”: Ewa Drajtkiewicz, Ryszard Peplowski (ogromny krok do przodu, szczególnie w elastyczności dysponowania środkami wyrazu), Beata Kazimierska, Małgorzata Szum, Anna Zgid i nowi, pozyskani do współpracy, świetni bracia Kuzdakowie: Jacek i Tomasz. Centralną postacią jest sam twórca spektaklu Marcel Szytenhelm, grający Oficera Pierwszego i dający popis swego wciąż poszerzanego warsztatu i umiejętności bycia niby tą samą a jakże różną osobą.

„Nadkolonia karna” wyreżyserowana jest niezwykle sprawnie, z dbałością o każdy detal, który jest głęboko przemyślany i uzasadniony. Pozadrodzić można pomysłów i odwagi na często bardzo awangardowe ich przedstawianie w teatralną rzeczywistość, a ta jest tu ciekawa, miejscami wręcz frapująca. „Pora pomyśleć o sobie. Jeśli chcesz przyjąć — zrób krok w tył. Cofnij się o 70 lat. Nas nie wsadzą na fotel elektryczny. Nie będzie śmieci we dwoje: człowieka i prądu. Proch nie stanie się moczem... a wokół słychać będzie dźwięk naszej wewnętrznej niepewności: jestem tylko posłusznym robotem. Tik tak, tik tak, tik tak?!”

Jaka szkoda, że „Nadkolonia karna” zdomowała się w Łodzi tylko na 4 dni i że obejrzano ją tak niewiele osób. Wciąż nie doceniamy, nie dostrzegamy cennych propozycji amatorskiego ruchu artystycznego, ewenement jakim od 4 lat jest Studio Teatralne „Słup” jest tego — niestety — smutnym przykładem.

BOHDAN GADOMSKI



Na zdjęciu: Marcel Szytenhelm i Ewa Drajtkiewicz w scenie „Nadkolonii karnej”
Foto: Jarosław Chojnacki

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko — obyczajowa

DLA MIŁOŚCI CESARZOWEJ — RWIJ DWAJ

Po zagarnięciu w wyniku rozbiorów przez cesarową Katarzynę południowo-wschodnich ziem dawnej Rzeczypospolitej władcy zalecieli dowódcy stacjonujących tam wojsk najdalej posuniętą życzliwość dla obywateli kraju. Pewnego razu zamożny obywatel podolski Szaszkiewicz dostał nieznosnego bólu zębów, posłał więc po cyrulika z żądaniem, by mu wyrwał bólowy ząb. Cyrulik zabiera się do operacji, gdy wtem dają znać, że wjeżdża na dziedziniec generał rosyjski. Szaszkiewicz zdołał tylko wskazać cyrulikowi bólowy ząb i nakazać mu wyrwanie go w stosownej chwili, po czym pospieszył na spotkanie gościa. Opowiada Zygmunt Szczepny Feliński, późniejszy arcybiskup warszawski:

Przy sutym śniadaniu, zakroplonym co najstarszym węgrynem, gospodarz wszczął rozmowę o przywiązaniu do tronu, a ożywiając się coraz więcej, zawołał z zapałem do podchmieleonego już nieco generała: — Wy utrzymujecie, że Rosjanie więcej kochają cesarową od Polaków, o toż ja zaprzeczam temu stanowczo, przynajmniej co do mojej osoby, gdyż pewny jestem, że niepodobna, aby ktokolwiek kochał ją więcej ode mnie.

— Wierzę, wierzę — odparł generał — że jak na cudzoziemca miłujesz ją bardzo, ale my, rodowici jej poddani, więcej mamy powodów do wielbienia naszej matki i carycy.

— O toż ja przekonam pana generała — odparł, zrywając się od stołu Szaszkiewicz — że goręcej od was kocham cesarową, bo dla jej miłości zrobię to, czego z pewnością żaden z was nie zrobi.

To powiedziawszy, kazał wołać cyrulika, a gdy ten przybył, usiadł na krześle, wołając: — Dla miłości cesarowej daję sobie wyrwać ząb trzonowy. Rwij mi zaraz, Żydzie, choćby szczyka pękając miał!

Na próżno cyrulik, a następnie generał odmawiali go od tej heroicznej ofiary, z której cesarowa żadnej korzyści nie odnieśli, uparł się przy swoim, twierdząc, iż honor Polaków poświęcenia tego wymaga. Po dokonanej operacji, widząc krew lejącą się obficie z ust polskiego szlachcika ku czci cesarowej, generał nie mógł znieść takiego upokorzenia, a krew tak gwałtownie w żyłach mu zakipiła, iż rzucił się na opróżnienie przez Szaszkiewicza krzesła, wołając na cyrulika: „Rwij dwa! — co też bez oporu uskutecznił zostało z większą poctechą polskich niż rosyjskich patriotów.

ANTYNIKOTYNOWE RYMY

Wydobywam te dystychy z książeczki Ignacego Piotra Legatowicza (1796—1867) pt. „Apo-tegmata to jest prawdy, prawida życia, maksymy, zdania, przestrogi, upomnienia, przysięgła” (Wilno 1854). Są to dwuwiersze oznaczone numerami 603-608:

1. Chcę ci radzić tym to rymem, Byś nie puszczal groza z dymem.
2. Marnie ci swój żywot pedza, Co się w dymie fajki wędza.
3. Co masz spalić z kosztem drogim, Oddaj to raczej ubogim.
4. Nie słyszy na cześć swą głosów wielbicielek papierosów.
5. Ta co smak w tytuniu czuje, Rychło w wódce zasmakuje.
6. Ciężko na ród ludzki ciosy: Cygary i papierosy!

ZAGADKA

W jednym towarzystwie siedzi Lolo Kindermith i w trakcie rozmowy powiada: — Zadam wam teraz zagadkę, ale kto jej nie rozwiąże, ten wrzuci koronę do mojej kamizelki, dobrze?

— Dobrze — zawołali wszyscy chórem. — Co to jest? Jak to można zrobić, aby dwa jajka gotować w trzech garnuszkach i to tak, aby w każdym garnuszku było równo?

Nikt nie odgadł i kilkanaście koron wpadło do kamizelki Kindermitha. — A teraz mów pan, sam, jak to się robi! — odezwał się wszyscy chórem. — Ja także nie wiem — rzekł pan Kindermith — i ja także wrzucę do kamizelki koronę.

„Encyklopedia humoru” (Orłowskiego). W-wa 1914

O CENZURZE RAZ JESZCZE

Ogłosiłem już w „Bigosie” (1984 nr 48) tekst anegdoty o tym jak „zakazano w Szwajcarii w jednym czasie dwie książki: jedną pod tytułem „Rozum”, a drugą „Dziewica orleańska” Woltera. Urzędnik w jednym z kantonów po uczynionej rewizji, napisał do senatu w następujący sposób: „Była w naszym kantonie ścisła rewizja, lecz ani Rozumu, ani Dziewicy nie znaleźliśmy”. Poetycką adaptację znalazłem też w 6 tomie „Różnych dzieł” Walentego Gurskiego (Łwów 1817), zawierającym „epigrammata, komedia i różne wiersze”:

Ścisłe podług rozkazów od rządu wydanych, Wyszukując urzędnik dwóch ksiąg zakazanych, Z których pierwszej był tytuł „Rozum”, a zaś wtórej „Orleańska dziewczica”, doniósł do cenzury, Że w całym pewnym kraju, bez stanów różnicy, Nie wynalazł rozumu, ani też dziewicy,

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

— Czy może mi pani sprzedać 7 kilogramów ziemniaków? — zapytałem.

— Mogę nie tylko 7, ale i 8 — brzmiała odpowiedź.

— To proszę o 9 — odparłem.

W ten sposób upewniliśmy się nawzajem, że obie strony są właściwymi osobami. Wkrótce nadszedł Staly. Był to młody człowiek szczupły, średniego wzrostu, o twardym policie. Miał lat około dwudziestu, małe wąski dodawały mu jednak powagi.

Kryśka podała mi na powitanie dłoń, którą z pewną adoracją ucałowałem, następnie dopełniła obowiązków ucałowania, następnie dopełniła obowiązków poznania przybłętego ze mną (używała pseudonimów Chryzki).

Pogawędziliśmy chwilę we troje o sprawach obojętnych, po czym Kryśka zostawiła nas samych. Od tej pory zaczął się mój kontakt ze Stalym. Pod mieszkaniem na Kozinach przy ul. Letniej 23. Pod wymienianym numerem mieszkała się jednopiętrowa willa zamieszkała w czasie okupacji przez Niemców. Staly formalnie pełnił w tym domu funkcję dozorcę i zajmował dwie izby na poddaszu.

TADEUSZ GIGGIER

Kamień mądrości

Wybuch wojny. Niemcy zajmują Łódź i wzywają pana Czesława do stawienia się w miejscu jego dotychczasowego zatrudnienia, czyli w zgierskim „Borucie”. Cayni do niechętnie, pod przymusem i szczerze okazali, aby pozostać się z tą pracą i nawiązać kontakt z jakąś organizacją konspiracyjną. W sukurs przychodzi mi słaby stan zdrowia, a także ryzykowne dla polskiego lekarza z Ubezpieczalni Społecznej i jego pacjenta częste i długotrwałe zwolnienia chorobowe. Niemieckiemu zarządcy „Boruty” sprzykrzyło się wreszcie ciągle chorowanie inż. Gardy i został z pracy zwolniony.

Następuje teraz okres jego działalności konspiracyjnej. W obszernym opowiadaniu „Przeciwnicy swastyce”, opartym na autopsji, Czesław Garda pisze:

„Właściwego nazwiska Jerzego nie znam, toteż uważam za wskazane podać jego zewnętrzną charakterystykę. Był wzrostu raczej niskiego, dość dobrze zbudowany, blondyn z małymi, przyszyronymi, jasnymi wąsikami. Pochodził z Małopolski Wschodniej i charakterystycznie zaczął mówić, mówiąc z żoną tak podobnie, żeśmy go między sobą nazwali „Dziękuj”.

Z rozmów z nim i z półwierszeń wywnioskowałem, że przed wojną był czynnym oficerem saperem w randze kapitana. W okresie konspiracji, mniej więcej od jesieni 1941 roku zmienił swoją powierzchowność, chcąc zmylić gestapo, które go poszukiwało. Wówczas to zgolił włosy i użył przygotowanego przez mnie barwnika do włosów, przebarwiając się z blondyna na bruneta.

Z chwałką, kiedy nastąpiło z Jerzym ściśle współpracować, a zaczęło to w pierwszym miesiącu 1941 roku, były już projekty stosowania chemicznych środków sabotażowych. Nie wiem skąd Jerzy się dowiedział, żeby do oleju samochodowego dodawać chlorokwarcu, którego obecność powoduje pracą silnika stosunkowo szybko zniszczenie tłoków i cylindrów.

„Zrobiłem u siebie w domu dwa doświadczenia w obiekcie Jerzego. Ze względu na ciemny kolor stężonego roztworu chloru żelazowego, który np. w butelce mógł imitować mocną herbatę lub czarną kawę i ponadto dość dobrze emulgował się z olejem silnikowym, postanowiłem zastosować w sabotażu ten właśnie związek.

„Stężone roztwory chloru żelazowego nasiłakonspirowani ludzie, którzy pracowali oficjalnie w warsztatach, gdzie reperowano samochody z frontu i inne, mieli za zadanie dotawać w odpowiednich momentach do oleju silnikowego.

Powoli też dojrzała sprawa zorganizowania chociaż prymitywnego laboratorium, które zajęłoby się wytwórczością materiałów wybuchowych i środków sabotażu.

„Jerzy zakomunikował mi, że pewien młody człowiek otrzymał na drodze syntezy próbki kwasu pikrynowego (kwas pikrynowy przed przelaniem do butelki zaczął stosować jako żółty barwnik na watę, później od roku 1885 zaczęto go przede wszystkim używać jako materiału wybuchowego).

„Od Jerzego dowiedziałem się również, że młody człowiek posiada trochę sprzętu chemicznego. Otrzymałem też polecenie syntezować wiodomocni tlenek chemika i ewentualnie wykorzystania jego mieszkanka na urządzenie laboratorium. Co do produkcji materiałów wybuchowych szef mój pozostawił mi wolną rękę, po czym wyjechał, wyznaczając jeszcze uprzednio termin i miejsce mojego spotkania z nieznającym mi konspiratorem, którego pseudonim brzmiał „Staly”.

Pośredniczyła przy tym spotkaniu Kryśka, która miała polecenie ściągnięcia Stalego na punkt kontaktowy w oznaczonym terminie. Kryśki do tej pory osobie nie znam, więc przy okazji miałem ją poznać. Wzajemna identyfikacja miała nastąpić na podstawie wymienionych, wplecanych w rozmowę hasła, opartych na liczbach 7, 8, 9.

Miejsce spotkania było w murowanym domku przy ul. Sulkowskiego (niemieckiej nazwy nie pamiętam) nr 65, na przedmieściu Zdrówie. Ulica ta, a właściwie uliczka, była jedną z krótkich przedmieścia i graniczyła z polem. Wydawało mi się, że położenie domku nadaje się doskonale dla celów konspiracji, a jednak — jak się okazało w niedalekiej przyszłości — postrajfili i tutaj dotrzeć gestapo. Ale nie uprzedziłyśmy faktów.

Zapadł już zmierzch, kiedy o oznaczonej godzinie zapukano do zamkniętej furtki, nad którą widniał numer 65. Po paru minutach otworzyła mi nieznajoma kobieta, którą zapytałem:

— Czy tutaj mieszka szef?

— Tak — odparła.

— A czy zastałem pannę Kryśkę?

— Jest, jest — odpowiedziała z intonacją świadcząca, że oczekiwano mnie tutaj.

Zaprowadzono mnie do skąpo umeblowanego pokoju, w którym światło zmierzającego dnia zaciemniało już kontury sprzętów. Zostałem sam, po chwili weszła młoda, pełnokształtna kobieta, ubrana z pewną elegancją, w kapeluszu z krótką woalką, jakie wówczas noszono.

Jerzy zartobliwie mi doradzał, żebym zaczął 7 kalusów, ja jednak zachowałem się o wiele skromniej i prozaicznie:

szef Jerzy nazywał się Franciszek Hadziewicz i zginął w czasie jednej z akcji sabotażowych na terenie Generalnej Guberni. Szefem nosił nazwisko Władysław Miślewicz, po aresztowaniu został osadzony w Oświęcimiu i tam wkrótce zmarł. Natomiast Kryśka została skazana na śmierć w Łodzi, następnie wywieziona do Poznania i stracona przez ścięcie. Rodowe nazwisko Kryśki brzmiało Gallas, a jej właścicielka imiona to Halina Helena. Była córką działacza Stronnictwa Demokratycznego, który po wojnie został wiceprezydentem Łodzi.

W roku 1945, na prośbę dyrekcji Zakładów Przemysłu Chemicznego „Boruta” w Zgierz, inż. Garda odtwarza technologię dwóch barwników, produkowanych przed wojną na oddziale, który w okresie okupacji Niemcy zdemontowali. Jednak na stałe w „Borucie” zatrudnić się już nie chce.

Pamięta, że w czasie wojny był przecież pedagogiem. A właśnie w okolicach Głowna, w wydzielonej części byłego majątku hrabiów Rzewuskich w Bratoszewicach ma powstać koedukacyjne Liceum Hodowlane z rocznym studium pedagogicznym dla nauczycieli szkół rolniczych. Zgłasza się do pracy w tym liceum. Zostaje mu powierzona funkcja organizatora, a potem dyrektora nowej szkoły.

(2)

wsią bratoszewicką. Dla wsi tej stara się ona na swój sposób już pracować. Organizuje odczyty, świetlice, przedstawienia. Brat-szewice — wieś nie kwitnie tych wysiłków obojętnością, garnie się do każdej akcji kulturalnej podjętej przez Liceum.

Duszą tej młodzieży jest dyrektor Liceum — ob. Czesław Garda, Człowiekowi temu należą się na tym miejscu najwyższe uznanie. Oto prawdziwy działacz kulturalny, kocha on młodzież, którą kieruje, umie wydobyc z niej maksimum wysiłku i dobrej woli. Nic jej nie narzuca, ale ją inspiruje, jest dobrym doradcą.

„Na ostatnim imprezie, którą miałem przyjeżdżać oglądać (szkoła, wystawiła drugą część „Dziadów”) było około dwustu osób, a więc prawie czwarta część całej Bratoszewicz”.

Natomiast w pół roku później, w tym samym tygodniku Piotr Greniuk donosi:

„Dnia 1 lutego br. odbył się w Bratoszewicach, w Liceum Hodowlanym wieczór literacki, zorganizowany przez Oddział Wiejski Związku Zawodowego Literatów Polskich. Poana przez kol. Cz. Gardę myśl takiego wieczoru, w którym wzięliby udział również autorzy, została należycie zrozumiana i doceniona zarówno przez członków OWZw. ZLP, jak też dyrekcję i młodzież Liceum oraz miejscowe społeczeństwo. Organizację imprezy podjęto z dużym zapalem.

Redaktor Stefan Lichański objął sześcioletwo e-kipty i podjął się jednocześnie wygłoszenia referatu oraz skompletowania utworów do odczytania. Zbiórka o godz. 15 w Redakcji „Wsi”, wyjazd samochodem Liceum do Bratoszewicz.

W pięknej sali Liceum zgromadziło się blisko dwieście osób — nauczycielstwo, starsza młodzież szkolna i nieszkolna, pracownicy majątku szkolnego i gospodarze, gospodzie wsi. Ze strony literatów w wieczorze wzięli udział: Stefan Lichański, Anna Kamieńska, Teodor Goździkiewicz, Zygmunt Sierp, Tadeusz Papier i Czesław Szabowski, którzy odczytali własne prace; utwory Józefa Andrzeja Fraska, Stanisława Nędzy-Kubińca, Pawła Kubisa, Edwarda Marca, Józefa Ozgi-Michalskiego, Jana Bolesława Ojca, Stanisława Piętko, Stanisława Skonecznego, Piotra Ziarnika czytali: Zygmunt Rajski i nitej podpisany.

Program był tak pomyślany, że zaczął częściowo o przedwojenną twórczość wymienionych pisarzy, przechodząc poprzez wojenne wypowiedzi, w których brzmiał bunt i walka z okrutnym najeźdźcą, by potem wsluchać się w rytm pracy już w wyzwolonej ojczyźnie. Nie sposób przytoczyć tu wszystkich prezentowanych utworów. Wiele spośród nich było drukowanych w tygodniku „Wies” względnie w tych zbiorach, jakie wydał Oddział Wiejski ZW ZLP.

Czesław Garda nie przeszedł też własnej twórczości literackiej. Pisze m.in. opowiadanie „Sprawa Kobleryńskiego”, które drukuje „Kurier Cobyński” w kwietniu 1948 r. i znów przedmiotem opowiadania są doświadczenia własne, tym razem związane z bratoszewickim Liceum, a ściślej — z konfliktem między dwoma uczniami, wyróżnionymi dryblasami, na których psychice wycisnął swoje piętno czas wojny.

— Zanosilo się na to — wspomina inż. Garda — że szkołę w Bratoszewicz przenoszą gdzieś głębiej na prowincję. Nie bardzo to mi odpowiadało, kłóciło się też z moimi powiazaniami z Łodzią, nie mówiąc już o tym, że w Łodzi miałem rodzinę, żonę, która była nauczycielką i dzieci — wszystko to sprowadzało, że wróciłem do Łodzi jeszcze przed likwidacją szkoły.

Przez kilka lat pracowałem w Centrali Zao-patrzenia Przemysłu Papierniczego na stanowisku naczelnika wydziału chemicznego. Następnie przeniesiono mnie służbowo do Instytutu Przemysłu Organicznego. I tak coraz bardziej zacząłem się wciągać do pracy naukowo-badawczej, posługując naszwłoz dziełami (jestem współpracownikiem w dziedzinie wynalazków) i publikując szereg prac w pismach specjalistycznych.

Moim „lądowym spławem” jest współdziałanie w Śląskich Zakładach Mechaniczno-Optycznych „Opta” w Katowicach. Przedmiotem tego wynalazku jest sposób otrzymywania i stosowania filtrów chroniących wzrok ludzki przed działaniem promieniowania laserowego.

*

— Byłem zmęczony, a nawet schorowany, chciałem trochę odetchnąć i mimo namów dyrekcji nie kwapiłem się do pracy w zakładach, których wyziewy działały fatalnie na moje zdrowie. Poza tym nowe zajęcie wiązało mnie z pewnym okresem mego życia w czasie wojny, kiedy to w chwilach grozy musiałem uciekać z Łodzi, przeczekiwać wyspy, oczekiwać jakichś „cynków”, co się stało z tym czy z tamtym kolegą z konspiracji i ukrywałem się u znajomych we wsi. Człozym w sąsiedztwie Kazimierza nad Nerem. Nabrałem wtedy wielkiego sentymentu do wsi, wracałem więc na wieś, aby zregenerować siły po ciężkich przeżyciach.

Powoliśmy tzw. kursa serowy i z nowym rokiem szkolnym przystąpiliśmy do nauczania. Moje wcześniejsze związki ze sztuką i literaturą sprawiły, że postanowiłem w oparciu o szkołę rozwinąć działalność kulturalno-oświatową, zorganizowałem kolę w rodzaju uniwersytetu niedzielnego dla obojętnych chłopów z odczytami na najrozmaitsze tematy — od rolniczych począwszy, a skończywszy na humanistycznych. Początkowo chłopie mieli opory, nie byli pewni, czy można tak sobie przychodzić do pałacu hrabiów, nie bardzo też garneli się do wykładów, ale że wśród personelu szkoły było kilku zdolnych wykładowców, a ponadto pozyskałem parę osób z Łodzi, wśród nich znanego historyka, Romana Kaczmarę, z którym białym zaprzyjaźniony — więc i on przyjechał raz i drugi do Bratoszewicz, „na łebka”, bo nie było jeszcze regularnej komunikacji z Łodzią. I tak te wykłady ruszyły.

W raporcie „Odwiedzamy Bratoszewice”, zamieszczonym w tygodniku „Wies” w połowie września 1946, Leonard Sobierski napisze:

„Przy autostradzie Łódź — Warszawa, na 22 kilometrze od miasta czarnych dymów, leżała rezydencja hr. Rzewuskich — Bratoszewice. Dawniej zakęty zakątek, niedostępny oku przechodnia, wyspa izolowana; nie przeniknie tam człowiek obcy, nie należą do klanu, ciekawość jego rozbiła się o woski, murowany parkan, przez wspaniałą sieć bujnych drzew prześwieca tylko białymi plamami w głębi leżący pałac. Niedostępność, zamkniętość, odcięcie się całkowicie od środowiska — artystyczna izolacja — oto wrażenie przechodnia. — Dawniej.

Przeszła wojna, wojna, która przyspiesza niejednokrotnie procesy przemian społecznych — w polu widzenia bratoszewickiego człowieka dokonany jest odwracający utarty porządek świata zmiany. Bramy pałacu otworzyły się na oświecenie. W rezydencji zasiadli nowi gospodarze — to Państwowy Instytut Praktyk Rolniczych i Państwowe Liceum Hodowlane.

Jest to coś, co powstało, otrzymało konkretny kształt, dzięki wysiłkowi niewielkiego zespołu nauczycielskiego i uczniowskiej gromady. Oni to własną pracą uctworzyli w zamieszonym pałacu, oni to własnym przemysłem zrobili ławy i stoły szkolne, własnym staraniem zdobywają pomoce naukowe. Nieliczni na razie g.upa wiejskiej młodzieży (około 25 osób) ściągają tu z różnych stron kraju, by zdobyć rzetelną, solidną wiedzę, która doprowadzi im do podniesienia w swoich środowiskach po powrocie ze szkół stanu naszej gospodarki rolnej. Uczniowie wsi to przyszli instruktorzy rolni i przyszli nauczyciele szkół rolniczych. Z ich nastawienia, z ich entuzjazmu do pracy widac, że będą to przyszli działacze wiejscy, dobrze znający pole swojej przyszłej pracy. Specjalny duch ożywia tę młodzież... Silne są więzadła łączące ją ze

— Są jeszcze ludzie, którzy twierdzą, że rewolucja ludowa przyjechała do Polski na rękach czołgach.

— To nieprawda. Rewolucję w Polsce robili Polacy, ale obecność milionowej armii radzieckiej odnieśliśmy reakcję, która by nas zniszczyła gdybyśmy byli sami. Dla dokonania naszej rewolucji mieliśmy sprzyjające warunki. Reakcja choć była silniejsza od lewicy bała się na większą skalę ruszyć. Na peryferiach kraju przeszkadzali nam kontrrewolucjonści. Tu i ówdzie wysadzili w powietrze mostki i przejeżdżającymi samochodami milicji. Zabijali funkcjonariuszy przeprowadzających reformę rolną. Mordowali pojedynczych czerwonarmistów. Większość społeczeństwa nie chciała jednak brać udziału w bratobójczych walkach, ale też nie chciała początkowo z nami współpracować.

Trudno było o urzędników państwowych. Tylko nauczyciele od razu zabrali się do odbudowywania szkół i sądownicy do pracy w sądach, ale nie w administracji sądowej. Część urzędników ocieplała się zwłaszcza że mało płacili. Dyrektor departamentu gospodarczego przy Urzędzie Rady Ministrów uciekł na referenta do spółdzielni owocarskiej, bo tam mógł lepiej zarobić. Gdy chciałem jednego osobnika mianować na stanowisko dyrektora Banku Gospodarstwa Krajowego, to on wolał być księgowym Ceptrali w Rybnem. Niektórzy zwlekali z podjęciem pracy, bo nie wierzyli, że nasz reżim się utrzyma. Różne myśli ludźmi kierowały.

Bywało tak, że zgłaszały się do nas osoby związane z londyńską konspiracją same z siebie, z radością, że mogą wreszcie współpracować z polską władzą. Najczęściej jednak pod naciskiem „swoich” wycofywali się. Tak było z pułkownikiem Armii Krajowej „Andrzejem”, który zgłosił się do nas w Warszawie-Pragi, lecz po kilku dniach zrezygnował. Natomiast pewnego majora AK, który został szefem Rejonowej Komendy Uzupelnienia w Zamościu i nie chciał się wycofać, zamordowali za dezercję. Uważali, że przyjdzie do nas — to dezercja.

Początki były bardzo trudne. Proszę sobie wyobrazić — przez tyle lat istniejącemu rząd w Londynie, który ma zmontowany aparat administracyjny, wybranych wójtów, starostów, a nawet sędziów. Ma zorganizowaną służbę bezpieczeństwa, szkolnictwo, sądownictwo. Na to poszły kolosalne pieniądze. PKWN powstał w ostatniej chwili, kiedy Armia Czerwona forsowała Bug. Społeczeństwo nie mogło tak szybko przestawić się z jednej orientacji na drugą, ale my mieliśmy słuszny program i byliśmy tu, a nie w Londynie, więc powoli przelanymy niechęci.

— Jakie były wasze wpływy w pierwszym okresie walki o władzę?

— Przeciwnicy polityczni oceniali wpływy PKWN na 10 proc. Ja byłem większym pesymistą. Działalność na terenie Lubelszczyzny była szczególnie trudna, gdyż brakowało tam wielkiego przemysłu, a więc i klasy robotniczej, głównej naszej bazy społecznej. Do tego partia socjalistyczna była rozbita na WRN — Wolność Równości Niepodległość współpracująca z rządem londyńskim — oraz lewicową RPPS — Robotniczą Partię Polskich Socjalistów. Ludowcy byli względnie jednolici, ale tam przeważały wpływy Stanisława Mikołajczyka. Armia Krajowa jako konspiracyjna siła zbrojna dominowała na całym terytorium Polski. Jak się ma jednak słuszny program, to życie pomoże go zrealizować. Mimo przeszkód.

— Mówiliśmy już o tym, że londyńczycy chcieli zasiać nieufność w społeczeństwie do możliwości przetrwania PKWN, lansując tezę o rychłym wybuchu wojny anglosasko-radzieckiej. Chcieli również podważyć z takim trudem budowany autorytet między innymi poprzez skierowanie odpowiedzialności na was za upadek Powstania Warszawskiego.

— Wybuch powstania zarówno nas jak i Rosjan zaskoczył. Przez parę dni nie chcieliśmy wierzyć w informacje napływające ze stolicy. Powstanie nie

było uzgodnione nawet z mocarstwami zachodnimi. Rząd w Londynie wiedział, że anglosasi nie kwapią się z udzieleniem pomocy powstańcom, tłumacząc to między innymi względami technicznymi. Anglicy namawiali wręcz do skoordynowania planów z Armią Czerwoną. Było dość czasu, aby powiadomić o tym generała Tadeusza Bora-Komorowskiego. Liczono jednak, że ofensywa radziecka nie zatrzyma się i że powstanie trwać będzie krótko, a wkraczającą do miasta armię powita w roli gospodarzy ministrowie rządu londyńskiego.

W Warszawie przebywało już kilku ministrów rządu londyńskiego, co świadczy o przygotowaniu do utworzenia władzy politycznej. Chciałbym tu przypomnieć rozmowę ze Stanisła-

wem Mikołajczykiem w Moskwie z początku sierpnia 1944 r. Kiedy stawaliśmy kwestię jego przyjazdu do Warszawy, to Mikołajczyk powiedział: „Co byście zrobili, gdyby ja się zjawił w Warszawie”. Odpowiedziałem mu — jeżeli przyjedzie pan jako przyjaciel, to będziecie razem pracować. Jeżeli zaś przyjazd pański nastąpi bez porozumienia z nami, to pana zaareztujemy.

Po kilku dniach walk okazało się, że powstanie nie ma szans na zwycięstwo, że powstańcy idą na stracenie. My, Polacy potrafimy popieścić polityczne szaleństwa. Potem powstają piękne pieśni. Inne narody podchodzą rozsądnie do polityki i nie tak łatwo szafują swoją krwią. Straciliśmy w powstaniu kwiat naszej młodzieży. Ogromne dobra materialne i kulturalne zostały zniszczone. I

„Po południu trzeba było uchwalić parę dekretów..”

Rozmowa z EDWARDEM OSÓBKĄ-MORAWSKIM

skrzydło naszego ugrupowania nie przesunęło się naprzód. Położenie takie nie pozwalało na operację Pierwszej Armii, bo gdyby ona zaczęła bitwę, to Niemcy mogliby wejść czołgami na Pragę. Większe operacje możemy zacząć wówczas, jeżeli odrzucimy Niemców w oznaczonych miejscach na 10 km. Jeśli zmuszeni jesteśmy brać Niemców tutaj frontalnym atakiem, to tylko dlatego, że uwzględniamy położenie powstańców. Zmusza nas do tego wzgląd na aprowizację powstańców i niedopuszczenie do ich likwidacji. Usiłowania nasze w powstaniach dotychczas nie odniosły skutku, ponieważ Niemcy mają tam silne barykady.”

Po kilku dniach zaczęły walki Polacy zostali odepchnięci z powrotem za Wisłę. Generał Zygmunt Berling rzucił swoje dywizje za szybko, bez należytego przygotowania, ale czy w takiej sytuacji był czas na przysposobienie wojska. Brakowało też współdziałania operacyjnego i Armii WP i powstańców na skutek negatywnego stanowiska Komendy Głównej Armii Krajowej.

— Co najbardziej przeszkadzało w pracy powstaniu rządowi?

— Najbardziej przeszkadzało rozbić narodu, to, że każdy koń ciągnął ten skrzyplący jeździec wóz w inną stronę. Bardzo wypalony koń, londyński był jednak trochę w strachu, bo dookoła stały dywizje radzieckie. A jedność narodu była bardzo potrzebna. Działy się przecież najważniejsze dla kraju sprawy: reforma rolna, unarodowienie przemysłu, repatriacja, zaludnienie Ziemi Zachodnich, sady przysięgłych, walka z analfabetyzmem, odbudowa Warszawy, Gdańska, całego kraju. Jedną ustawą dzisiaj przygotowywana jest latornia. My musieliśmy kilka dekretów w parę godzin uchwalić.

W Lublinie wstawałem o siódmej rano i pracowałem do drugiej w nocy. Jak wychodziłem to u Jakuba Bermana i Hilarego Minca jeszcze się paliło światło, bo oni na wzór radziecki pracowali w nocy a spali w dzień. Ile razy nie było czasu zjeść tej stołkówkowej zupki. W ciągu dnia stałe przychodził interesant. Po południu trzeba było parę dekretów uchwalić, a dopiero w nocy był czas na studiowanie raportów, korespondencje itp. W kszące pt. „Takie były początki” Petruszewicz pisał, że jeżeli o północy dzwonił od Minca do jakiegoś resortu i nikt nie odpowiadał, to się dziwił: „Już wyszli?”

— Jak była zorganizowana praca rządu?

— Przed wszystkim było mniej resortów niż teraz, słabo zorganizowanych, brakowało administracji w terenie, więc siłą rzeczy większość problemów trafiała do premiera. Oprócz spraw wagi państwowej załat-

Pierwszy gmach Rady Ministrów w Warszawie przy ulicy Śnieżnej liczył siedem pokoi. Wieczorem zmienił się w hotel dla interesantów, którzy spali na biurkach, bo gdzieś musieli.

— Kiedy przeniesiono stolicę z Lublina do Warszawy?

— Stanisław Mikołajczyk uznał przeniesienie stolicy do Warszawy za największy błąd. „Jak można rządzić na gruzach” — mówił, ale myśmy po mickiewiczowsku mierzyli siły na zamiary. W Lublinie, nie widząc jeszcze gruzów Warszawy wszyscy byliśmy za przeniesieniem tam stolicy. 19 stycznia 1945 roku po wylądowaniu przesyłki do miasta i zobaczeniu tylko ruiny i zgliszca. Wtedy większość była za przeniesieniem stolicy do Łodzi. Tylko ja i minister prasy i opieki społecznej Trojanowski byliśmy za Warszawą.

W podjęciu ostatecznej decyzji pomógł pewnym towarzyszom Józef Stalin, którego poinformowałem o rozbieżnościach w sprawie stolicy. Tak, że kiedy 25 stycznia przyszło w Lublinie do głosowania, to większością głosów uchwaliliśmy dekret o przeniesieniu stolicy do Warszawy. Na Śnieżną przybyliśmy 1 lutego 1945 roku.

W czasie rozmów w Moskwie omawialiśmy również kwestię odbudowy miasta. Józef Stalin odniósł się do tej sprawy bardzo życzliwie. W wyniku tego Rada Komisarzy Ludowych postanowiła przysłać komisję radzieckich ekspertów do oceny i szacowania potrzeb. Rząd radziecki miał też wziąć na siebie połowę kosztów związanych z odbudową. Później Józef Stalin określił udział radziecki w odbudowie Warszawy na „kwartał”, czyli na odbudowę jednej dziesiątej Decyzja o wzniesieniu Pałacu Kultury i Nauki zapadła później.

— W okresie okupacji kilka milionów Polaków znalazło się poza granicami kraju. Jak przebiegał ich powrót?

— Zależało nam bardzo na powrocie Polaków rozsiadanych po świecie do kraju. Duża liczba emigrantów świadczyłaby o opozycji do naszego lewicowego rządu i to byłby powód polityczny, który chcieliśmy rozwiązać. Potrzebni byli fachowcy do odbudowy zniszczonego kraju. Repatrianci przywozili ze sobą oświeconości, które miały pewien wpływ na ożywienie życia gospodarczego. Tak więc zależało nam na powrocie jak największej liczby ludzi.

Warunki życia na Zachodzie naszych emigrantów i uciekinierów można podzielić na dwa okresy. Pierwszy, lepszy, dotyczący czasu wojny, gdy Polacy byli potrzebni jako „mięso armatnie” i gdy istniał rząd londyński, który dysponował zasobami wywiezionymi z kraju w 1939 roku oraz zaciągał pożyczki na wydatki związane z opieką społeczną. Drugi, gorszy,

gdy Polacy byli już zbledni, a w skutek niestabilizowanych stosunków politycznych niektórzy nie chcieli czy nie mogli wracać do kraju.

Najliczniejszą grupę stanowili Polacy przebywający na terenie Związku Radzieckiego w wyniku zmiany granic. Los ich był dość ciężki, tak jakiegoś doświadczeń w okresie wojny i później w zniszczonym kraju wszyscy obywateli Związku Radzieckiego.

Repatriacja z zachodu przebiegała z oporami ponieważ rząd londyński agitował za pozostaniem na emigracji, stwarzając tym samym alibi dla siebie. 15 maja 1945 roku „Lettres Francais” pisała: „Ostatnie szaleństwa rządu londyńskiego

przekraczają wszelkie dotychczasowe. Rząd ten mobilizuje jeńców polskich powracających z Niemiec do utworzenia armii polskiej w... Anglii!”

Zachęcano Polaków wywiezionych na roboty w głąb Rzeczy, aby nadal tam pozostali i przyczynili się do odbudowy pobitych, ale nie dobitych Niemiec. „Skoro nie dało się stworzyć z Polski kordonu sanitarnego i bariery antysowieckiej odgradzającej ZSRR od „Zachodu”, to rolę tę powinny przejąć Niemcy” — wyjaśniał sposób myślenia londyńczyków — Bolesław Bierut.

Tymczasem większość Polaków chciała wracać. Spotykaliśmy się ze wzruszającymi dowodami poparcia. 31 marca 1946 roku żołnierze obozów repatriacyjnych w Anglii w oczekiwaniu na upragniony powrót do kraju zakupili z dobrowoli składki oraz z dochołów zebranych z imprez teatralnych i kantyn: 14 mikroskopów, epi-lodiskop, aparat kinematograficzny oraz sprzęt i materiały lekarskie. To wszystko wysłali do kraju. W przesyłce znajdowały się także maszyny do pisania, instrumenty muzyczne, materiały kancelaryjne, sprzęt sportowy, czekolada, owoce suszone, cukierki i 60 funtów szterlingów. Do przesyłki dołączony został dar żołnierzy polskich z Lubeki. Były to artykuły żywnościowe oraz dar kapelana Edmunda Góreckiego w postaci pięciu radiodobrych.

Warunki życia w obozach dla Polaków były bardzo ciężkie. W maju 1945 roku BEC podała, że w obozie w Belsen od dnia wyzwolenia zmarło już 1000 osób.

Tymczasem na terenie Wielkiej Brytanii tworzone ze zdemobilizowanych żołnierzy Polskiej Siły Zbrojnych tak zwany Polski Korpus Przysposobienia, który faktycznie miał charakter organizacji militarnej. Był on zależny od War Office, zachował dowództwo wojskowe, zachowano dawne formacje i kadry, obowiązywało prawo-dawstwo i dyscyplina wojskowa, zachowano stopnie wojskowe i umundurowanie, płacono według stopni wojskowych a nie według wykonywanych prac. Podporządkowanie PKP antydemokratycznemu korpusowi oficerskiemu sprzyjało utrwalaniu hamulców powstrzymujących żołnierzy od powrotu do kraju.

Protestowaliśmy w sierpniu 1946 r. przeciw tworzeniu PKP grożąc tym wszystkim, którzy podpiszą kontrakt pozbawieniem obywatelstwa polskiego. Również Anglicy nie chcieli już Polaków u siebie. W czasie kongresu Związku Zawodowego Brytyjskich Urzędników Państwowych uchwalono rezolucję wywołującą Polaków do powrotu do kraju. Ogółem w latach 1945-1948 wróciło do Polski z Zachodu prawie półtora miliona osób.

Repatriację Polaków ze Związku Radzieckiego przeprowadzano w oparciu o umowy zawarte między Polską a Litwą, U-

krainą i Białorusią. Początkowo wyznaczone terminy zakończenia przesiedlenia ludności (do Białorusi do 1 lutego 1945 r.) były nierealne, więc wielokrotnie je przedłużano. W rezultacie sprawę zakończono dopiero w 1959 roku.

Układy przewidywały rozmaite ulgi dla ewakuowanych. Anulowano im wszystkie niedobory z dostaw w naturze, pieniężnych podatków i opłat ubezpieczeniowych. Zwalniano od podatków państwowych i opłat ubezpieczeniowych na 2 lata. Na miejscu osiedlenia wydawano zasiłek w wysokości pięciu tysięcy złotych z umorzeniem tej pożyczki w ciągu 5 lat. Można było przywieźć przedmioty o łącznej wadze do 2 ton oraz bydło i ptactwo domowe, itd. Takie same ulgi przysługiwały osobom wyjeżdżającym z Polski do ZSRR.

Nie obyło się bez znacznych trudności. W pierwszym okresie nie przyjmowano ludności miejskiej ze względu na zupełny brak pomieszczeń. Pamiętajmy, był początek 1945 roku, a więc Ziemi Zachodnie znajdowały się jeszcze w rękach Niemców. Wyjątek stanowiły osoby przydatne w administracji państwowej lub ci, którzy potrafili udowodnić, że mają w Polsce bliskich zapewniających im mieszkania.

Państwowemu Urzędowi Repatriacyjnemu brakowało środków transportu, w związku z tym punkty etapowe były przepelnione. Przesiedleńcy czekali na stacjach w mroz po kilka dni. Wsiadali do wagonów przebieżeni. Jazda do celu trwała od jednego do trzech tygodni, w związku z czym w pierwszym okresie do 15 stycznia 1945 r. zanotowano prawie 30 wypadków śmiertelnych i kilkadziesiąt poważnych zachorowań.

Były kłopoty z umieszczeniem ludności wiejskiej. Przesiedlana z Polski ludność ukraińska przy udziale ludności miejscowej w znacznym stopniu dewastowała pozostawione gospodarstwa przez zabieranie okien, płyt kuchennych, często drzwi i futryn.

Przeludnienie punktów etapowych, złe warunki sanitarne powodowały powstawanie chorób. 16 marca 1945 roku pełnomocnik Państwowego Urzędu Repatriacyjnego informował nas o przypadkach zachorowań w Krasnymstawie i Zamościu na tyfus plamisty i brzuszy. Stosunek państwowej służby zdrowia był do tych przypadków tak niewłaściwy, że PUR, aby nie dopuścić do epidemii, został zmuszony zorganizować własną opiekę medyczną.

Do 16 marca 1945 roku przyjechało do Polski około 90 tys. osób a zarejestrowało się prawie 600 tysięcy. Pragnących wyjechać do kraju było jednak znacznie więcej, ale trudności z przesiedlaniem hamowały również akcję rejestracyjną.

Wraz z nadejściem wiosny akcja ożywiła się. Jeżeli dotąd największą liczbą przybyłych repatriantów w ciągu jednego miesiąca było 30 tysięcy, to teraz miało być ponad 100 tysięcy. Bez środków transportu kierowanie taką masą ludzi było problematyczne. Placówki Państwowego Urzędu Repatriacyjnego na terenie ZSRR zaczęły być oblegane przez chętnych. W związku z tym kwitło łapownictwo. Za miejsce w transporcie z Lwowa płacono 12 tys. zł.

Oficjalnie akcję repatriacyjną zakończono 1 sierpnia 1945 roku. W tym czasie przyjechało do kraju ponad 1,5 mln osób.

Powrócono do problemu po październiku 1956 roku. Podpisano nową umowę. „Trybuna Ludu” komentowała: „Rolnictwo województwa olsztyńskiego potrzebuje tysięcy ludzi. W samych PGR brak jest około 15 tys. robotników”. 2 sierpnia 1957 roku podano informację, że w ciągu pierwszych 6 miesięcy roku do kraju powróciło ponad 47 tysięcy osób z ZSRR. W tym czasie opuściło Polskę na stałe ponad 84 tys. ludzi. W większości byli to wyjeżdżający do RFN i NRD w ramach łączenia rodzin oraz emigranci żydowscy udający się do Izraela. Ogólnie w czasie drugiej akcji repatriacyjnej do kraju powróciło 224 tysiące osób.

Rozmawiał: MAREK MAMOS

Polemiki • Listy • Opinie

TURNIEJ POETYCKI I MALARSKI O „ZŁOTĄ LAMPKĘ GÓRNICZĄ”

Konkurs organizuje Wałbrzyskie Towarzystwo Kultury, Dolnośląskie Gwarectwo Węglowe przy współudziale Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego, Górnictwa i Sztuki Kultury Kopalni „Wałbrzych” oraz redakcji „Trybuny Wałbrzyskiej”.

REGULAMIN

1. Turniej Poetycki o „Złotą Lampkę Górnica” ma charakter otwarty i mogą w nim wziąć udział zarówno pisarze profesjonalni, jak i amatorzy.
2. Warunkiem uczestnictwa w konkursie jest nadesłanie maszynopisów dwóch niszczących nie publikowanych, podpisanych godłem utworów literackich w sześciu egzemplarzach każdy. Do tekstów należy dołączyć zalakowaną kopertę podpisaną tym samym godłem, zawierającą następujące dane: imię, nazwisko, dokładny adres, wiek i wykształcenie autora oraz informacje o aktualnym dorobku twórczym.
3. Konkurs dojdzie do skutku i zostanie rozstrzygnięty pod warunkiem, że wpłynęło nań co najmniej 30 prac.
4. Organizatorzy nie narzucają tematyki, ale pożądane byłoby utwory oparte na motywach górniczych.
5. Prace należy nadsyłać w terminie do 30 września 1986 r. pod adresem: Górnictwo i Sztuka Kultury Kopalni „Wałbrzych”, 59-300 Wałbrzych, al. Wyzwolenia 21/23. Termin nadsyłania prac jest terminem ostatecznym.
6. Prace, które nie odpowiadają powyższym warunkom, nie będą rozpatrywane przez sąd konkursowy.
7. Skład jury, w którym uczestniczyć będą wybitni poeci i krytycy literacy, zostanie podany do wiadomości w terminie późniejszym. Decyzje sądu konkursowego są ostateczne i niepodważalne.
8. Rozstrzygnięcie konkursu i uroczysty finał połączone z prezentacją nagrodzonych utworów odbędzie się 29 listopada 1986 r. Miejsce uroczystości zostanie podane laureatom w terminie późniejszym.
9. Dla laureatów Turnieju Poetyckiego przewidziano następujące nagrody: I nagroda — 15.000 zł i Złota Lampka Górnica, II nagroda — 10.000 zł i Srebrna Lampka Górnica, III nagroda — 8.000 zł i Brązowa Lampka Górnica, nagroda specjalna — w wysokości 8.000 zł za wiersz o tematyce górniczej, 3 wyróżnienia honorowe.
10. Jury zastrzeże sobie prawo innego podziału nagród, ale ich ogólna suma nie może ulec zmianie.
11. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do publikacji i wyrażenia opinii o pracach w „Trybunie Wałbrzyskiej” oraz do publikacji w wydawnictwach Wałbrzyskiego Towarzystwa Kultury — bez wynagrodzenia autorów.
12. Nadesłanych maszynopisów organizatorzy nie zwracają.
13. Wyniki Turnieju opublikowane będą za pośrednictwem prasy, radia i telewizji oraz podane do wiadomości Wydziałem Kultury i Sztuki.
14. Obok nagród przewidzianych w regulaminie, ufundowana może być również nagroda specjalna Prezydenta Miasta Wałbrzyskiego za pracę związaną tematycznie z Wałbrzyskim Górnictwem. Jest to nagroda rzeczowa, przyznawana poza konkursem.
15. Wszelkich informacji na temat Turnieju udziela sekretariat GDK Kopalni „Wałbrzych” (tel. 241-01) w godzinach od 8.00 do 16.00.

REGULAMIN TURNIEJU MALARSKIEGO

1. Turniej Malarski o „Złotą Lampkę Górnica” ma na celu uzyskanie dzieł sztuki o wysokiej randze artystycznej.
2. W Turnieju mogą wziąć udział wyłącznie malarze profesjonalni. Organizatorzy pozostawiają w całości swobodę wypowiedzi artystycznej oraz wyboru techniki i tematu.
3. Warunkiem udziału w konkursie jest nadesłanie dowolnej ilości niszczących nie eksponowanych prac, z których każda powinna być podpisana innym godłem. Do każdej pracy należy dołączyć zalakowaną kopertę podpisaną tym samym godłem, zawierającą następujące dane: imię, nazwisko i dokładny adres autora, numer dyplomu, tytuł pracy i jej cenę oraz zgodę na ewentualny zakup pracy.
4. Konkurs dojdzie do skutku i zostanie rozstrzygnięty pod warunkiem, że wpłynęło nań co najmniej 25 prac.
5. Prace należy nadsyłać w terminie do 25 października 1986 r. pod adresem: Górnictwo i Sztuka Kultury Kopalni „Wałbrzych”, al. Wyzwolenia 21/23, 58-300 Wałbrzych. Na przesyłce jako nadawcę należy podać imię, nazwisko i adres osoby zaufanej, w żadnym zaś przypadku nie mogą to być dane osobiste autora prac. Prace przekazane można również za pośrednictwem Pracowni Sztuk Plastycznych bądź Biura Wystaw Artystycznych. Termin nadsyłania prac jest terminem ostatecznym.
6. Jury Turnieju powołane zostanie przez Zarząd Wałbrzyskiego Towarzystwa Kultury. Uczestniczyć w nim będą plastycy, krytycy sztuki oraz przedstawiciele organizatorów. Decyzje sądu konkursowego są ostateczne i niepodważalne.
7. Rozstrzygnięcie konkursu i uroczysty finał połączone z imprezami muzycznymi i poetyckimi odbędzie się 29 listopada 1986 r. Miejsce uroczystości zostanie podane laureatom w terminie późniejszym.
8. Dla laureatów Turnieju Malarskiego przewidziano następujące nagrody: I nagroda — 40.000 zł i Złota Lampka Górnica, II nagroda — 30.000 zł i Srebrna Lampka Górnica, III nagroda — 20.000 zł i Brązowa Lampka Górnica, nagroda specjalna — w wysokości 20.000 zł za pracę o tematyce górniczej, 3 wyróżnienia honorowe.
9. Prace nagrodzone pozostają własnością autorów. Organizatorzy przewidują możliwość zakupu pewnej ilości nadesłanych prac.
10. Jury ma prawo do innego podziału nagród, ale ich ogólna suma nie może ulec zmianie.
11. Prace muszą odpowiadać warunkom określonym w punktach 3 i 5 i tylko takie mogą być brane pod uwagę.
12. O zakwalifikowaniu pracy na wystawę autorzy zostaną powiadomieni odrębnie. Prace nadesłane na Turniej, a nie zakwalifikowane na wystawę, powinny być odebrane w ciągu 14 dni od daty rozstrzygnięcia konkursu. Prace nie odebrane w terminie do 31.01.1987 r. przechodzą na własność organizatorów.
13. Wyniki Turnieju zostaną opublikowane za pośrednictwem prasy, radia i telewizji oraz podane do wiadomości Wydziałem Kultury i Sztuki.
14. Obok nagród przewidzianych w regulaminie, ufundowane mogą być również nagrody specjalne Dyrektora Dolnośląskiego Gwarectwa Węglowego i Dyrektora Kopalni. Są to nagrody rzeczowe, przyznawane poza konkursem za prace związane tematycznie z Wałbrzyskiem lub górnictwem.

REGULAMIN TURNIEJU MALARSKIEGO DLA AMATORÓW

1. W konkursie mogą wziąć udział wyłącznie amatorzy. Wyłącznie są artyści profesjonalni, tzn. uprawiający twórczość artystyczną zawodowo.

2. Warunkiem udziału w Turnieju jest nadesłanie dwóch niszczących nie eksponowanych prac malarskich, z których każda powinna być podpisana innym godłem. Do każdej pracy należy dołączyć zalakowaną kopertę podpisaną tym samym godłem, zawierającą następujące dane: imię, nazwisko i dokładny adres autora oraz tytuł pracy.
3. Konkurs dojdzie do skutku i zostanie rozstrzygnięty pod warunkiem, że wpłynęło nań co najmniej 30 prac.
4. Prace należy nadsyłać w terminie do 25 października 1986 r. pod adresem: Górnictwo i Sztuka Kultury Kopalni „Wałbrzych”, al. Wyzwolenia 21/23, 58-300 Wałbrzych. Na przesyłce jako nadawcę należy podać imię, nazwisko i adres osoby zaufanej, w żadnym zaś wypadku nie mogą to być dane autora prac, uczestniczącego w konkursie. Termin nadsyłania prac jest terminem ostatecznym.
5. Jury Turnieju powołane zostanie przez Zarząd Wałbrzyskiego Towarzystwa Kultury. Uczestniczyć w nim będą plastycy, krytycy sztuki i przedstawiciele organizatorów.
6. Rozstrzygnięcie konkursu i uroczysty finał odbędzie się 29 listopada 1986 r. Miejsce uroczystości zostanie podane laureatom w terminie późniejszym.
7. Dla laureatów Turnieju Malarskiego dla Amatorów przewidziano następujące nagrody: I nagroda — 20.000 zł i Złota Lampka Górnica, II nagroda — 15.000 zł i Srebrna Lampka Górnica, III nagroda — 10.000 zł i Brązowa Lampka Górnica, nagroda specjalna — w wysokości 10.000 zł za pracę o tematyce górniczej, 3 wyróżnienia honorowe.
8. Jury ma prawo do innego podziału nagród, ale ich ogólna suma nie może ulec zmianie.
9. Prace muszą odpowiadać warunkom określonym w punktach 3 i 5 i tylko te mogą być brane pod uwagę.
10. Prace nagrodzone pozostają własnością autorów. Organizatorzy przewidują możliwość zakupu pewnej liczby prac.
11. O zakwalifikowaniu pracy na wystawę autorzy zostaną powiadomieni odrębnie. Prace nadesłane na konkurs, a nie zakwalifikowane na wystawę, powinny być odebrane w ciągu 14 dni od daty rozstrzygnięcia konkursu. Prace nie odebrane w terminie do 31.01.1987 r. przechodzą na własność organizatorów.
12. Prace zakwalifikowane na wystawę powinny być odebrane w ciągu 14 dni od jej zakończenia. Prace nie odebrane w terminie do 31 stycznia 1987 r. przechodzą na własność organizatorów.

NIEMA ŻYJĄ NOWOŚCI

Lubię podróżować i uważam to za jedną z najprzyjemniejszych rzeczy. I dlatego cieszę się, gdy kolej wprowadza od czasu do czasu różne nowości umiające i rozwesalające podróż. Niedawno spotkałem się z aż trzema nowościami — i to jednego dnia, ba, w ciągu zaledwie dwóch godzin!

Najpierw, w kasie na Dworcu Centralnym, spostrzegłem komputer! Tego jeszcze nie było! Czyżbyśmy równali do Zaczodu? Stanąłem więc przed ową kasą, chociaż — słowo daję — kolejka była najdłuższa. Gdy wreszcie przysiała moja kolej kupienia biletu i podałem stację, do której chciałem jechać, pani wzięła duży zeszyt ze skorowidzem, pośladła palec, odszukała literkę „L”, zamruwała coś pod nosem i, z przerażeniem wystukiwała, lecz wprowadzać dane — bo tak się ta czynność nazywa w żargonie programistów. Przypominało to trochę polowanie sowy na myszy: palec pani krążył nad klawiaturą, po czym, gdy tylko bystre oczy wypatrzyły ten jeden, jedyny, potrzebny w tym momencie klawisz — palec spadał nań jak sowa na mysz. Przy następnym klawiszu operacja przeprowadzana była od początku. Teraz rozumiesz, dlaczego kolejka była tak długa! Ale to jeszcze nie koniec. Pani bowiem wzięła zadrukowaną rubrykami arkusz papieru, wadziła go w odpowiednią szelkę w maszynie i już po chwili trzymała w ręku bilet. Bilet miał wymiary ni mniej ni więcej tylko 19,6 na 5,6 cm! A ten papier... Gdyby „Odgłosy” były na takim drukowane... Ech, pomarzyć...

Drugą nowość ujrzałem już w pociągu. Wagon, którym przszło mi jechać, był pierwszym z lokomotywą i był to — potocznie zwany — „tramwaj”. Cały wielki przedział — czyli około jedną trzecią wagonu — zarezerwowano dla... obsługi pociągu! Obsługa — też człowiek i też potrzebuje gdzieś usiąść, ale we dwie osoby na dwudziestu czterech miejscach — to już chyba przesada. Władcywie niekto nie kłubiłoby to w oczy, gdyby nie potwórny tłok, jaki w pociągu panował.

Na pytanie, dlaczego nie wpuszczają do przedziału pasażerów, odpowiedzieli: „Bo to jest przedział bezpieczeństwa”. Jakiego bezpieczeństwa? Podróży? Tęrownika pociągu? — Bo gdyby doszło do katastrofy, to w tym przedziale nie będzie podróżnych i ofiary w ludziach będą mniejsze.

Trzecią nowość wprowadzono już w Kolużkach. Do otwartych drzwi obowego wagonu pojechał wózek akumulatorowy i już po chwili wewnątrz wyładował wózek z listami. Wyładowałyby i następne, gdyby nie podniesiona ręka kierownika pociągu dająca sygnał odjazdu. Trzeba, jeśli Pańszaw, przemyśle jest przedni. Ież można zaoszczędzić stebra, przesyłać w postaci produkować wagon pocztowy! A jakąż uciechę będą mieli podróżni, gdy zorientują się, w których workach znajdują się listy z zagranicy zawierające być może dolary i funty!

Proponuję pójść jeszcze dalej... Ale po co wyręczać PKP?

WITOLD NER

CZTERY SCENY...

Tolerancja, według Słownika Języka Polskiego, to „uznawanie czyichś poglądów, wierzeń, upodobań, czyjś postępowania, wyrozumiałość”.

Jan Szczański napisze: „Jako zjawisko socjologiczne, tolerancja jest metodą działań, jest także zespołem wzorów postępowania w określonych sytuacjach, w których spotykają się przeciwne czy przeciwstawne sobie poglądy. Zachowania tolerancyjne respektują te poglądy i nie zmierzają do ich represji. Występuje tutaj wiele możliwych motywacji czy też społecznie ustalonych sposobów zachowania. Zachowania tolerancyjne mogą wynikać z przyjętego systemu wartości i hierarchii wartości. Można bowiem tolerować przeciwne poglądy, czy działania odwołując się do kryteriów wartości orzekających, że człowiek jako wolna i autonomiczna jednostka ma prawo wyznawania poglądów i wyboru sposobów działania. Zatem te zachowania tolerancyjne mają uzasadnienie moralne...”

Tyle teorii.
Ujęcie pierwsze. Dworzec kolejowy w Krzyżu, lipiec. W bliskim Gorzowie Wielkopolskim za kilkanaście godzin rozpocznie się duża impreza muzyczna „Reggae nad Wartą”, przyjedzie kilkanaście zespołów grających muzykę reggae z całej Polski. Muzycy z jednej z grup mają pół godziny „postoju” w Krzyżu czekając na pociąg do Gorzowa. Po kilku godzinach jazdy chcą napić się herbaty. Tylko herbaty.
Uprzejma bufetowa, mimo przerwy na sprzątnięcie, decyduje się sprzedać dziesięć herbat „na wynos”.

Kiedy jednak szklanki z herbatami pojawiają się na stolikach w dworcowej świetlicy, interwenuje pani „światlicowa”. Nie jest w dworkowej świetlicy zniechęceniu strojów i długich włosów jadących na imprezę muzyków. Każę się wynosić; nie pomagają grzeczne tłumaczenia, że to tylko kilkanaście minut...

Pani „światlicowa” z Krzyża gotowa jest jednak gorącej napój na długie włosy „reggaeowców”, wcześniej jednak telefonuje po funkcjonariuszy Służby Ochrony Kolei.
Funkcjonariusze SOK są jednak wyrozumiali i pozwalają na spokojne dokończenie herbaty. Pertraktował męzeher (włosy bardzo krótkie, po wojskowym). Nikt z podróżnych przebywających w świetlicy nie potwierdza zarzutów „światlicowej”, że muzycy zachowywali się agresywnie i wulgarnie. SOK-ici wychodzą, pani dyżurująca w świetlicy jest zbulwersowana, że nawet nie spisał...

Bezinteresowna złośliwość czy głupota?
Ujęcie drugie. Hotel „Mieszko” w Gorzowie Wielkopolskim, gdzie zakwaterowano uczestników imprezy „Reggae nad Wartą”. Do biura organizacyjnego przychodzi kierowniczka recepcji w towarzystwie dwóch milicjantów. Żąda natychmiastowego usunięcia siedzących w hallu, w fotelikach obitych дерматиem, muzyków z długimi włosami i w czarnych skórkach. Nie przeszkadza, że są oni gośćmi hotelowymi. Kierowniczka recepcji tłumaczy się tym, że za kilkanaście minut do hotelu przyjedzie grupa „porządných ludzi” i nie byłoby wskazane konfrontacja. Niewskazane jest również „blokowanie” miejsc w fotelach obitych дерматиem.
Pertraktuje dyrektor Wojewódzkiego Ośrodka Kultury w Poznaniu, organizator imprezy (krótkie włosy). Zdezorientowani milicjanci wychodzą; recepcjonistki na własną rękę usiłują wytłumaczyć muzykom swoje racje. Zazwyczaj ustępują ci drudzy, jest jeszcze świeże powietrze. Nie pada...

Ujęcie trzecie. Bar mleczny w Gorzowie Wielkopolskim oblegany przez uczestników imprezy „Reggae nad Wartą”. Jakis „dobrze ułożony” mieszkaniec miasta zbulwersowany wyglądem „dzikich” muzyków pluje jednemu z nich do talerza.
Zmiana planu. Przystanek autobusowy na ul. Rewolucji w Mieście Łodzi. Tuż obok studentkiego ZOZ-u, popularnej „Palmi”. Lipiec. Prawie fotografia. Od lewej: na murku siedzi mężczyzna. Podparty łokciami o kolana rzyga na własne spodnie. Pół metra dalej na tymże murku butelka po półlitrowce, a zaraz obok obleśny „chłopak” obmacuje jeszcze bardziej obleśną „dziewczynę”. Prawdopodobnie dojdzie do zbliżenia. Jeszcze pół metra dalej, w tejże samej linii, kolejny mężczyzna oddaje mocza w taki sposób, że dość słaby wrok reporterza nie przeszkadza, żeby ustalił wielkość penisa. Zapewne jeszcze kilkanaście minut temu cała grupa razem opróżniała stojącą teraz samotnie półlitrowkę... Nie jedną.

Na przystanku kilkanaście osób oczekuje na autobus. Pozwalającymi uśmieškami nikt nie reaguje. W końcu normalna sprawa. Będąc naocznym świadkiem wszystkich czterech scenek mam już prywatną teorię na temat tolerancji naszego społeczeństwa. Wygląd zewnętrzny nie ma jakikolwiek szans w konkurencji z własnymi poglądami czy stosunkiem do życia.
Diatego, na wszelki wypadek, noszę krótkie włosy i koszulę z „Wólcanki”...

JACEK BINKOWSKI

CZYSTA WODA DLA ŻYCHLINA

W odpowiedzi na artykuł pt. „Polewka na kwasie pruskim” z 31.V.1986 r. w sprawie zanieczyszczenia wody w studniach kopanych w rejonie południowo-zachodnim miasta Zychlina, Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Urzędu Wojewódzkiego w Płocku informuje:

Wykonane badania laboratoryjne w pierwszej fazie wykazały obecność ponadnormatywnych ilości cyjanków w wodzie ww. studni kopanych. Dalsze wielokierunkowe badania laboratoryjne prowadzone przez wyspecjalizowane laboratorium in. WySSE nie potwierdziły obecności cyjanów w przedmiotowych studniach. Wykazały natomiast, że jakość wody odbiega od dopuszczalnych norm szczególnie pod względem bakteriologicznym. Stan ten spowodowany został określonymi warunkami terenowymi i lokalnymi m. in.: przez intensywne nawożenie gleby, ścięki gospodarce, niedostateczną konserwację studni kopanych, zła lokalizację studni (bliskość zemb) i innych źródeł zanieczyszczenia punktu, wpływ przylegającej rzeki Stugi o dużej ładunku zanieczyszczeń itp.

W efekcie obecny stan studni nie może być poprawiony zarówno drogą czyszczenia czy wykonania nowych otworów studni gospodarskich. W celu podjęcia odpowiednich decyzji i likwidacji tego stanu Wojewoda Płocki powołał zespół roboczy. Dokonano analizy przedmiotowego problemu i przedłożono odpowiedne propozycje do wyboru. W toku dokładnej analizy uznano, że najwłaściwszym sposobem rozwiązania problemu zaopatrzenia gospodarstwa w dobrą jakość wody będzie podłączenie ich do wodociągu komunalnego.

Ustalono zadania do realizacji przez poszczególne ogniw:

1. Naczelnik miasta Zychlina zobowiązał się do wykonania niezbędnej dokumentacji technicznej wodociągu w I półroczu 1986 r.
2. Budowa sieci wodociągowej zostanie zrealizowana w dwóch etapach.

I etap przewiduje: Podłączenie wodociągu w ul. Zeromskiego i Sienkiewicza (o długości 150 m) oraz wykonanie odcinka wodociągu od ul. Mickiewicza do ul. Nowej (ca 560 m)

II etap: — Wykonanie sieci wodociągowej w ul. Dobrzyńskiej, Nowej, Dobrej, Dolnej, Krótkiej, Malej, Cichej i Śląskiej.

3. Koszty związane z opracowaniem dokumentacji sfinansuje Urząd Miejski w Zychlinie.

4. Wykonanie wodociągu w ul. Zeromskiego i Sienkiewicza sfinansuje Urząd Miejski w Zychlinie.

5. Generalnym wykonawcą robót wodociągowych w I etapie będzie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Zychlinie.

6. Zakład „Emit” jako podwykonawca deklaruje nieodpłatną pomoc sprzętem.

7. Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Urzędu Wojewódzkiego w Płocku zobowiązał się sfinansować koszt zadania wykonanego w ramach I etapu pomniejszony o deklarację finansową Urzędu Miejskiego i Zakładu „Emit”. Warunkiem realizacji zadań II etapu jest wykonanie prac w ramach czynów społecznych. Wydział Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej Urzędu Wojewódzkiego w Płocku zobowiązał się do udzielenia pomocy finansowej do wysokości 70 proc. wartości zadania. Planuje się, że rozpoczęcie realizacji nastąpi w 1986 r., a zakończenie w 1987 roku.

Realizacja powyższych ustaleń pozwoli na rozwiązanie problemu wody w tym rejonie. Prowadzenie całej akcji zależy nie tylko od władz lokalnych, ale i od inicjatywy zainteresowanych mieszkańców.

MGR INZ. STANISŁAW BENTLEWSKI

Kryształowy Budda i kobiety

LUDWIK GEBEL

1.

Znaleźliśmy się wśród modlących w Waciu Sri Rathana Mahathat w Phitsanulok. Wśród wiernych przeważają kobiety. Siedzą na stopkach bez butów, pogrążone w kontemplacji lub modląc, przynoszący nadzieję na pomyślnie rozwiązanie problemów, kłopotów, spraw im tylko znanych. Niektóre potrząsają kubkami i pałeczkami. Gdy pałeczka wypadnie na posadzkę, odczytują hasło na ich trzonie i spieszą do stoiska za kolumną, aby wykupić wskazaną przez napis wróżbę, czy przepowiednię i jeszcze raz wrócić przed posąg Buddy, do kolejnej modlitwy.

Któs wnosi na srebrnej tacy ofiarę — przednią część głowy świni z ryjem i oczami. Inni kupują małe arkusiki ze szczerzego złota. Oklepują nimi posąg Buddy. Potrząsają złożonymi dłońmi przy twarzy, w podzięce, albo w błaganiu o posłuch. Głowę pochylają do kolan.

2.

Przed Watem Chedi Luang w Chang Mai, budzimy zainteresowanie kobiet z plemienia Muao, z gór północnej Tajlandii. Podobnie jak my, zwiedzają zabytki. O Polsce nie słyszały nigdy. Niskie, o ciemnej skórze i rysach mongoloidalnych, w barwnych strojach ludowych, przyglądają się nam z większym zainteresowaniem niż wspaniałej architekturze świętego miejsca.

3.

W Waciu Chiang Man wysoki Tajczyk pokazuje nam kryształowego Buddę. Podobnie jak szmaragdowy Budda, który nie jest z szmaragdu, tylko z nefrytu, ten nie jest z kryształu, z którym chcieliśmy go identyfikować. A przecież złoty Budda z Bangkoku, odkryty niedawno w pokrywającej gipsowej, rzeźbiony był w 5,3-tonowej bryle złota. Taj opowiada nam o swojej specjalności — tajskim boksie. Oprócz ciosu pięścią w rękawicy, dozwolone jest uderzenie łokciem, kolanem i przedem wszystkim stopą.

W hotelu, na ekranie kolorowego telewizora, akurat rozgrywany jest mecz. Co kilka minut przerywają go krzykliwe reklamy. Walka pochłania, przypatrujące się jej, kobiety z obsługi hotelu.

Tajczyk powiedział, że pierwszy raz spotyka Polaków. My, spotykaliśmy tubylców, którzy uważali, że Polska graniczy z Danią, albo z Austrią, albo z Włochami.

4.

Z niekłamnym zainteresowaniem przyjął nas na podłodze swojego mieszkania przeor klasztoru w Ayuthya'i. Dziwił się, że mogliśmy wyjechać za granicę. Pytał, ile mam lat. Cieszył się, że jesteśmy rówieśnikami. Kiwając dyskretnie ogoloną głową osadzoną na grubej szyi obnażonej znad pomarańczowej szaty, zwrócił uwagę, że w tym samym czasie obydwa byliśmy chłopcami. Nie powiedziałem mu, że dzięki temu, w czasie drugiej wojny światowej, nie groziła mi reinkarnacja na buddystę wernopoddanego okupantowi japońskiemu.

Zachowałem wiarę, że zarówno on, jak i tajski bokser, nie kształtowali uczuć do historii przy video w nocnym autobusie z Chang Mai do Bangkoku. — Na filmie: siedmiu, sympatycznych żołnierzy Wehrmachtu zostaje zabitych w zasadzce w lasach francuskich. Partycy zancji wrzucają trupy do stawu. Następnego dnia, znad lustra wody podnoszą się upiory mundurach, idą powoli w szyku bojowym, brzytwej się krwią z przegrzyzionych tętnic sztywnych napotkanych, w drodze do miasta, kobiety. Zostają w końcu unicestwieni miotaczami ognia partyzantów, w miejscu, do którego zwałowała ich, a potem zdradziła, córka jednego z dzielnych bohaterów i matki Francuzki.

Koło mnie, na fotelach z odchylnymi oparciami, siedzą, zajęci wyłącznie sobą, Tajka z Francuzem. I nikt nie płacze jak na „Trędowatej!”

Przeor klasztoru zwręcznie uskakuje, z trudem zachowując dostojność, gdy Jola zmienia miejsce na podłodze, siadając przy nim. Nie wolno mnichowi być blisko kobiety. Kobięcie nie wolno go dotknąć.

5.

Na ulicach Lampong I i Lampong II, w centrum Bangkoku, lokal przy lokaliku, po jednej i drugiej stronie, na każdym parterze i piętrze. Trudno opędzić się od pomocników show businessu, każdy z nich zachwala inny kabaret, seks-show z programem najlepszym lub gabinet masażu z improwizacją.

Wchodzimy do jednego z lokali. Na lustrzanej srebrnej piłyce, wokół której na wysokich stołkach barowych popija się whisky lub piwo, w takt muzyki para tancerzy rozpoczyna długą, nieprzerwany kontakt seksualny. Drink jest całkowitą opłatą za wstęp. Gośćmi są wyłącznie cudzoziemcy. Kręcą się wśród nich skąpo ubrane Tajki. Na srebrną piłyce wchodzi kolejna akrobatka. Obiera duży banan. Łamie go. Częstoje mnie mniejszym kawalkiem. Większy, po chwili, podruca wysoko silnymi ruchami sromu. Chwyta go w powietrze i powtarza sztukę kilkakrotnie. Potem miejsce banana zajmują zimne ognie. Po spektaklu, nie bez trudu,

Po „Tess”, który jest pana ostatnim filmem zrealizowanym osiem lat temu nazwał się pan „eks-reżyserem”. — Tak. Zupełnie straciłem ochotę na realizowanie filmów. Sprawiało mi to za dużo rozczarowań i wymagało zbyt dużo wysiłków w dziedzinach, które zupełnie mnie nie interesowały, a mianowicie przetargi, dyskusje z producentami, adwokatami, dyrektorami, agentami... Trzeba było poświęcać za dużo energii na to wszystko, a nie miało to nic wspólnego z twórczością artystyczną. Można powiedzieć, że 80 proc. czasu poświęconych jest na to, a tylko 20 proc. na resztę.

Pamiętam, że kiedy byłem w trakcie pisania mojej książki dyrektor produkcji „Uniwersal” zaproponował mi zrealizowanie z nim filmu. Odpowiedziałem mu, że nie chcę już mieć nic wspólnego z kinem, że jestem rozczarowany tym, czym produkcja filmowa stała się obecnie. Obiecał, że z nim współpracą ułoży się pomysł. I wtedy zaproponował mi „Piratów”, bo był to projekt, który od tylu lat leżał mi na sercu i jedyny, który mógł przyciągnąć mnie z powrotem do kina.

— „Piraci” jest to projekt, który zrodził się 10 lat temu. Czy w trakcie tych 10 lat pana kapali, żeby go zrealizować, trochę nie ostygł?

— Nie, wręcz przeciwnie. Stało się to prawie obsesją. Nie dlatego, aby dowiedzieć, że mogę go zrobić, ale dlatego, że naprawdę byłem przywiązany do tego projektu. Za każdym razem,

który oglądałem z przyjemnością i zainteresowaniem od początku do końca. Jest w nim niewiele scen, które mnie żenują, które teraz nakręciłbym inaczej. Inny film, z którego jestem dumny, to „W matni”. Cenię go za oryginalność scenariusza, realizacji i stylu. Nie jest to teatr, nie jest to adaptacja filmowa ilustrowana slajdami, ale jest to prawdziwa kina. Jeszcze inny film, który uważam za dobrze zrealizowany, to „Dziecko Rosemary”. Ale jest to adaptacja książki, historii w gruncie rzeczy dosyć naiwnej. W innych filmach są sceny, które mi się podobają, ale są też błędy, są fragmenty źle wyreżyserowane, źle zagrane. Nie powiem które, bo jest mi trochę ich wstydy.

— Czy „Bal wampirów” był oparty na wspomnieniach z pana dzieciństwa?

— Nie, gdyż nie spotkałem wiele wampirów w czasie mojej młodości.

— Miałam na myśli to, co napisał pan w swojej książce o atmosferze kraju w którym się pan wychował.

— Atmosfera wsi polskiej, jaką poznałem jako dziecko, małe oberże, kiszzenie kapusty itd. na pewno trochę miało to wpływ, ale jest to dosyć odległe od historii powstania filmu. Już dużo wcześniej myślałem z G. Brachem o napisaniu parodii o wampirach. Chodząc często do kina i oglądając różne rodzaje filmów, od westernów poprzez komedie muzyczne, na filmach grozy skończywszy, zauważyłem, że im bardziej

mości. Gdyby poddać się psychoanalizie, na pewno znalazłby się powód, dla którego wybrał się dany temat. Tylko czemu miałoby to służyć?

— Jest mało reżyserów, którzy tak jak pan, zrealizowali różne gatunki filmowe, którzy przeszli od komedii do dramatu, od filmu kryminalnego do przygodowego...

— Można powiedzieć, że ulegam wpływom, ale to dlatego, że lubię kino. Chodzę do kina często i często mam ochotę zrobić jeszcze raz to, co wywarło na mnie wrażenie, co sprawiło mi przyjemność. Trzeba najpierw oglądać i lubić filmy, aby mieć ochotę je realizować.

— Czy pomysły scenariuszy są pana, czy też inni je panu proponują?

— To są moje pomysły. Oprócz „Chinatown” i „Dziecka Rosemary”. Mam dużo własnych pomysłów i wolę je realizować niż czyjeś.

— W jaki sposób tworzy pan scenariusz i czy w trakcie realizacji filmu ulega on zmianie?

— Piszę je razem z Gerardem Brachem. Mam już za sobą osiem scenariuszy. Najczęściej to ja podsuwam pomysły, a on nadaje temu formę. Potem czytamy to, co napisał, proponuję pewne zmiany, bardziej czy mniej istotne. On pisze to jeszcze raz, potem ja znowu czytamy i tak aż do momentu, kiedy dana scena zadawała nas obu. Najpierw tworzymy pewne sceny czy sytuacje kluczowe, albo które są nam szczególnie

Roman Polański:

„Lubię filmy i zawsze będę je lubił!”

kiedy brałem scenariusz, kiedy czytałem go po raz n-ty, postacie i sceny ożywały w mojej wyobraźni. Chciałem je zobaczyć na ekranie.

— Czy scenariusz „Piratów” w ciągu tych dziesięciu lat uległ zmianie?

— Nie, prawie wcale go nie zmieniliśmy. Został on tylko trochę skrócony jakieś 4-5 lat temu, podczas kolejnej próby przeniesienia go na ekran. Z trzech godzin trwa on teraz 2 godziny i 4 minuty. Jak już mówię najczęściej robię filmy, które mam ochotę obejrzeć w kinie. Czuję się trochę widzem przy realizacji filmu. A w tamtej epoce nie było tego rodzaju filmów. Filmy były pełne psychologią, posłannictwem, było to raczej smutne kino, i miałem ochotę zrobić film trochę w stylu „Bal wampirów”, wesoły, rozrywkowy, komiczny. Było to rok czy dwa przed „Gwiezdnymi wojnami”, film przygodowy, ale inny w stylu od pozostałych. Odnosił on duży sukces i ten właśnie sukces potwierdził, że publiczność potrzebowała i oczekiwała tego rodzaju filmów. Dzisiaj wyda się on prawdopodobnie mniej oryginalny niż wtedy...

— Czy jest to więc film przygodowy, czy komediowy?

— Jest to film taki i taki. Krótko mówiąc: jest to historia kapitana Reda (postrach morskich południowych) i jego młodego pomocnika „Zabki”, którzy wszelkimi sposobami usiłują zdobyć legendarny skarb Azteków (złoty tron), ukryty na statku hiszpańskim. Elementy grozy przeplatane są tu scenami komycznymi, sceny bitew scenami romantycznymi.

— W pierwszej wersji wyobrażał pan sobie J. Nicholsona w roli kapitana Reda. Czy kiedy ostatecznie zaangażował pan Waltera Matthau zmienić trochę pan tę postać?

— W sumie nie. Obraz kapitana Reda nie zmienił się. Zresztą zawsze wyobrażałem sobie kogoś starszego od J. Nicholsona w tej roli. Miałem zamiar postarać go, ogolić mu głowę... Myślałem, że zrealizowanie tego filmu zaraz po „Chinatown” będzie czynnikiem stymulującym, gdyż byłaby to zupełnie inna rola niż ta, którą grał dotychczas. Ale teraz uważam, że wybór Waltera Matthau był w gruncie rzeczy lepszy, ponieważ posiada on charakter i siłę kapitana Reda.

— Kiedy przystąpił już pan do samej realizacji filmu, czy nie kusilo pana, aby zagrać rolę „Zabki”, towarzysza kapitana Reda, tak jak zamierzał pan na początku?

— Nie. Z biegiem czasu, kiedy usiłowałem znaleźć producentów i rozpocząć realizację filmu, zacząłem zdawać sobie sprawę, jakie trudności przedstawia fakt bycia jednocześnie reżyserem i aktorem. W międzyczasie trochę zmieniłem postać. Długo wahałem się między jego stroną komediową a romantyczną, w końcu zdecydowałem, że będzie lepiej wybrać aktora, z którym młodzi widzowie będą mogli się utożsamić, kogoś bardziej romantycznego, a trochę mniej zabawnego.

— Do jakiej publiczności adresuje pan swój film?

— Do szerokiej publiczności, do dzieci. Zwłaszcza do dziecka, które drzemie w każdym z nas aż do chwili, w której... wyciągniemy kopyta. Każdemu reżyserowi sprawia radość, gdy sale kinowe są pełne. Ci, którzy mówią, że im na tym nie zależy to hipokryci. Nie ma nic smutniejszego niż artysta uznany po śmierci. Van Gogh na pewno byłby szczęśliwszy, gdyby udało mu się sprzedać więcej niż jeden obraz.

— Parę dni przed rozpoczęciem festiwalu Filmoteka Francuska w Paryżu dla uczczenia 50-lecia swego istnienia poprosiła pana o prezentację jednego z pańskich filmów. Dlaczego wybrał pan właśnie „Bal wampirów”? Czy jest to film, który lubi pan najbardziej?

— Zazwyczaj nie oglądam moich filmów, ale przed napisaniem książki obejrzałem je wszystkie i zdałem sobie sprawę, że film, który sprawia mi naprawdę przyjemność, to „Bal wampirów”. Przed wszystkim dlatego, że przypomina mi on okres bardzo szczęśliwy w moim życiu i emanuje z niego ta radość i bezstronna tamtych lat. Poza tym jest to film, który mnie nie nudzi,

sceny miały być okrutne, tym bardziej bawiło to publiczność. Dlaczego by więc nie zrealizować filmu grozy, ale celowo zabawnego? A kiedy „W matni” było na ukończeniu i kiedy wybrałem się na krótkie wakacje w góry, jeżdżąc na nartach w prześlicznej dolinie Ariberg, zrozumiałem, że takie powinno być tło do tego filmu. Ośnieżone lasy świerkowe, ogromne, białe przestrzenie i majestatyczne szczyty. Nie miałem jeszcze gotowej intrygi, ale wiedziałem, że rozegra się ona w tej białej i białoczerwonej przestrzeni. Podobnie jak Mazury w „Nożu w wodzie”, też krajobraz narzucił mi się pierwszy, zanim zrodziła się intryga.

— Jak to się stało, że „Bal wampirów” był wyświetlany w USA w wersji zmienionej i poobcinanej?

— Powodów było kilka. W każdym producencie drzemie sfrustrowany reżyser. Wydaje im się, że ostatecznie słowo powinno do nich należeć. „Skrócić” — jest to uwaga, którą ciągle słyszę. Jest to też rodzaj zamsty pod adresem reżysera i jego filmu i wyraz ich niemożliwości zrealizowania filmu samemu. Wszystko stałoby się dla nich dużo prostsze, gdyby mogli się obejść bez reżysera, aktorów, techników i całej „tej kapryśnej fauny”, która sprawia im tyle kłopotów. A ponieważ jest to niemożliwe, więc jedyną co mogą zrobić, to okroić film.

A odnośnie producenta „Bal wampirów”, to mając do niego pełne zaufanie, zostawiłem mu wolną rękę, jeżeli chodzi o ostateczną wersję filmu przeznaczoną dla USA i Kanady. W trakcie realizacji filmu stosunki między nami się popsuły i za późno zdałem sobie sprawę, jak duży błąd popełniłem. Głosy aktorów zostały zdubingowane, aby nadać im charakter bardziej amerykański, muzyka Komedii zmieniła, film skrócono o 20 minut, co czyniło go zupełnie niezrozumiałym, a na zakończenie producent dorzucił idiotyczny film rysunkowy, który miał wszystko wyjaśnić. Była to prawdziwa masakra i nawet chciałem usunąć moje nazwisko z czołówki, ale kontrakt z Metro-Goldwyn-Meyer nie pozwalał mi na to. Film szybko znikł z ekranów i dopiero po paru latach, kiedy wersja oryginalna „Bal wampirów” była wyświetlana na całym świecie, film ten odniósł spory sukces.

— Realizował pan filmy w różnych krajach. W jakim kraju miał pan najlepsze warunki do realizacji filmu i czy zależy to od kraju, czy od producenta?

— Jest to przede wszystkim zbieg okoliczności, ale w dużej mierze zależy to od producenta. Najlepsze warunki techniczne są oczywiście w USA, gdzie wszystko jest świetnie zorganizowane, są to prawdziwi fachowcy, istnieją tam wielkie tradycje, cały przemysł filmowy, technologia, infrastruktura i wszystko to ułatwia pracę reżysera.

Ale ważny jest też czynnik ludzki, tzn. entuzjazm, zaangażowanie ekipy technicznej, co nie jest cechą charakterystyczną dla ekip amerykańskich. Myślę, że najlepsza ekipa techniczna, jaką miałem, była przy realizacji „Tess”. Zresztą z tą samą ekipą zacząłem realizację „Piratów”. Zrobiłem też jeden film we Włoszech i było to interesujące doświadczenie. Są oni szybcy, gotowi na wszystko, pełni zapału, ale bałaganiarze i w sumie nie rekompensuje to ich entuzjazmu.

— Czy łatwo przyzwyczaja się pan do warunków, jakie istnieją w różnych krajach?

— Znam kilka języków i to ułatwia mi pracę. Ale w gruncie rzeczy w każdym studiu, w każdym kraju realizuje się film w podobny sposób. Technika, gesty są te same i praktycznie, niezależnie od kraju, z łatwością można odgadnąć, kto czym zajmuje się na planie.

— Dużo mówi pan o realizacji filmu, a jeśli pan dużo bardziej dyskretny, jeżeli chodzi o samą koncepcję filmu. Czy to ze względu na G. Bracha, czy przez skromność, czy są też inne powody?

— To dlatego, że po prostu nie wiem. Nie wiadomo dlaczego ma się ochotę zrobić ten czy inny film. Wyboru dokonuje się w podświadomości.

drogie. Następnie dodajemy do tego różne wątki, a na końcu tworzymy z tego jedną całość. Oczywiście w czasie realizacji filmu nie trzymam się sztywno scenariusza. Gdyby porównać scenariusz do końcowego rezultatu, to byłoby wiele niespodzianek, gdyż film nie odtwarza wierne tego, co się napisało, ale mimo wszystko jest to dosyć bliskie temu, co chciało się przekazać. Wiele rzeczy się gubi, dochodzą też nowe elementy. Aktor zastępuje postać wymyśloną, dekoracje realne również są inne niż na papierze.

— Jakże są pana kryteria doboru aktorów, czy decydujący jest ich wygląd zewnętrzny, czy ich gra aktorska?

— Te dwa aspekty biorę pod uwagę. A jeżeli mam wybrać między doskonałym aktorem, który wyglądem odbiega od postaci, jaką sobie wyobraziłem, a aktorem o fizjonomii świetnie dopasowanej do roli, ale którego gra pozostawia trochę do życzenia, to zawsze wybieram to drugie wyjście. Staram się, aby aktor fizycznie był jak najbardziej zbliżony do roli w scenariuszu.

— W jaki sposób kieruje pan aktorami na planie?

— Jest to dosyć trudne do wyjaśnienia w paru słowach. Poza tym nie mam specjalnej metody. Dużo zależy od osoby aktora, z którym pracuję. Każdy aktor jest inny, ma inną osobowość, a poza tym w filmie pracuje się z różnymi aktorami: zawodowymi, amatorami, czasem nawet z osobami, które nigdy przedtem nie były przed kamerą, więc sposoby pracy są różne. Najczęściej sam odgrywam scenkę, pokazuję jak wyobrażam sobie ich grę. Uważam, że jest to najprostsze, bo owszem, można by było ustnie, ale jest to dużo dłuższe, czasami trudne do wyjaśnienia.

— Powiedział pan przed chwilą, że często chodzi pan do kina. Jakich reżyserów ceni pan najwyżej, czy też, którzy wywarli na pana największy wpływ?

— Raczej filmy, a nie reżyserzy. Nie mam ulubionych reżyserów, natomiast lubię niektóre filmy. Jeden z pierwszych, który zrobił na mnie wrażenie, gdy byłem chłopcem, to „Robin Hood” z Errolem Flynnem. Film przygodowy, romantyczny, kolorowy. Widziałem go kilkakrotnie i za każdym razem była to prawdziwa przyjemność. Następnie to filmy ambitniejsze. „Niepotrzebni mogą odejść” Carla Reeda z Jamesem Masonem. Ten film przeniósł mnie w zupełnie inny świat, który może stworzyć tylko kino. Świat, który wydaje się realny, nie będąc nim jednocześnie. Cenię ten film do tej pory, bo jest to naprawdę piękny film. Dalej „Hamlet” Lawrence’a Oliviera. Pod wpływem tego filmu, który widziałem co najmniej 20 razy, przeczytałem wszystkie sztuki Szekspira przetłumaczone na polski i usiłowałem je sobie wyobrazić w wersji filmowej. Później w czasach moich studiów w Łodzi, to oczywiście „Obywatel Kane”, który był dla mnie prawdziwą rewelacją. Orson Wells stworzył w nim nowy język filmowy, pełen elips, niedomówień, aluzji. Charakter epicki narracji, oryginalne przedstawienie tematu, wszystko to było nowością. Nowatorska była również strona techniczna, sposób prowadzenia kamery. Dalej przyszło odkrycie kina japońskiego — „Rashomon” A. Kurosawy i L. Bunuel (przede wszystkim „Los Olvidados”).

— A czy dzisiaj jeszcze są filmy, które mają na pana wpływ?

— Oczywiście. Wszystkie filmy, które oglądam i które mi się podobają mają na mnie wpływ. Nie mogę przyznać, że jakiś film szczególnie zrobił na mnie wrażenie, abym mógł sobie powiedzieć „to właśnie taki film chciałbym zrobić”. Ponieważ mam własne pomysły, pewien rodzaj kina, który reprezentuję. Ale są pewne filmy, które bardzo mi się podobają. A to zostawia ślady. Takim filmem był ostatnio „Powrót do przyszłości” R. Zemeckisa. Są to dwie godziny dobrego kina, film błyskotliwy, zabawny. Chodzę dużo do kina. Lubię filmy i zawsze będę je lubił.

Rozmawiała:
MARIA CHARRIERE-WŁODARSKA

udaje mi się zakończyć z nią konwersację nie o prawdach buddyjskich, i spóźniona riksza wróciła do „Guest House”, by wypić jeszcze jedno piwo z ciemnoskórą barmanką, która podniosła żaluzje nim zadzwoniłem do drzwi. Po krótkim czasie wróca Szwed i Szwajcar. Rozmawiamy przez chwilę przy wspólnym stole, podobni do siebie w oczach tubylców.

6.

W upale większym niż wczoraj, około 50 st. C, chronimy się w cieniu krużganka pałacu królewskiego. Słenne malowidło w stylu najwznowo realizmu opisuje historię Tajlandii w obwodzie kwadratu na długości około kilometr. Przesuwają się przed oczyma bitwy i sceny obojętne z życia rodzin królewskich. Ze Świątyni Szmaragdowego Buddy dochodzi monotonna, melodyjna pieśń chóru kobiecego. Zewnętrzne ściany świątyni — w teorii granatowa, zielona i amaranthowa — blasku słońca odbitego z tysięcy lusterek. Wchodząc w próg bramy na dziedzińcu pałacu, uruchamiam, niechcący, butem sygnał alarmowy. Głośniejszy zawodzi buddyjski chór.

W jednym z klasztorów Ayuthya widziałem z bliska mniszki. Podobnie jak mnisi, miały ogolone głowy. Szaty nie pomarańczowe, lecz białe. Ich postać brzmiała jeszcze bardziej przemyślana, lecz takim, że chciałyby się natrzeć go w nieskończoność, którą jakby przybliżał.

7.

Na Wodnym Targu nie rzuciła nam kwiatów urodziwej Tajki. Łódka podpięta stara kobieta. Sprawny ciężem noża-miecza otworzyła owoc palmy kokosowej. W rozpoczynającym się o świcie upale smakował mi sok pity przez słomkę. Mijamy mieszkanie na łodziach i otwarte w stronę wody mieszkania przybrzeżne. Na dachach — las anten telewizyjnych. Kobiety piorą bieliznę, gotują coś w kotłach, kąpia wyższe dzieci w jednej misie.

A jeszcze starsza kobieta, na której twarzy zmaganie z życiem wryło głębokie bruzdy, szybkimi ruchami wiosła posuwała łódkę przez rzekę Chao Phraya, na której w płatek przepławialiśmy się do Wat Arun. Wysokie i coraz wyższe schody wjeżdżały na prang Świątyni Brzasku, najwyższy i najbardziej bogato rzeźbiony w całej Tajlandii. Widok na Bangkok. Na czesną metropolii największego miasta Indochin Schody donikąd i zawrót głowy lub lek wysokości przy schodzeniu.

8.

W moim pokoju pojawiły się mrówki faraona. Na suficie dostrzegłem prawie przezroczystą, jaszczurkę. Po materacu, na którym spałem, przebiegł robak przypominający karaluchę, lecz znacznie większy. Przez uchylone drzwi wbiegł kot z połową ogona. Wczoraj, omijając „dzielnice rozkoszy”, poszliśmy do hotelu Nataraj, w którym mieszkali Polacy z wycieczki „Turyści”. Na drugim piętrze znalazłem odkryty basen. Jaka przyjemność kąpać się w przezroczystej wodzie i ciszy przy pełni księżycy. W jednej z sal hotelu rozpoczynało się wesele pary tajskiej. Nie wiem dlaczego matka panny młodej obdarowała nas kwiatami.

9.

Po wyjściu na zatłoczoną i duszną ulicę, usiedliśmy w narożnym bistro. Stolki stały na chodniku. Zamówiliśmy mięso z ryżem i zielonymi warzywami w pikantnym sosie oraz ślimaki i Fanty. Podszedł do nas znajomy z samolotu. Szok i Tajski. Poznał ją na Okęcie. Sprzedawca lodów spod Świątyni Museum w Londynie. Zimę od lat spędzał w Azji. Czekał na 12 godzin w sali tranzytowej na połączenie z Bangkokiem, wypiół 2 butelki wódki wyborowej. Po przejściu komory celnej, fikal koziołki, zaczęli ludzi i doczekał się od kogoś uderzenia pięścią w nos. Do samolotu wsiadł zakrawiony i nadal pił. Tajka opiekuwała się nim. Co w nim dostrzegła, że ich znajomość utrzymała się tak długo?

10.

Moja nieznajoma Tajka, dla której przywiozłem list od jej koleżanki z Łodzi, pojawiła się z niewielkim spóźnieniem. Wcześniej jednak zdała telefonicznie przeprosić. Jest „bela-tka”. Niełatwo jej było trafić dużym BMW z klimatyzacją i przemyślnymi szymbami do dzielnicy wąskich uliczek, w której mieszkała „Guest House”. Ja także przyspiesiłem, że nie mogę jej podjąć w ekskluzywnym miejscu. Z zawodu chemik i jednocześnie współwłaściciel zakładów chemicznych, o akupunkturze — nie słyszała.

Chwyciła za telefon. Zadzwoń do znajomej lekarki Odrodek kliniczny, do którego wcześniej dotarłem od strony Wat Arun, okazał się jedynym, w Bangkoku, w którym znalazła miejsce przychodnia akupunktury. Uczynna pani inżynier była nieocenionym tłumaczem. Przychodnia istniała zaledwie od 10 lat (A zatem niewiele dłużej niż Centralna Poradnia Akupunktury w Warszawie). Kilka dni przedemną zwiędła ja jakiś Szwed akupunkturzysta, a jeszcze wcześniej stałowa Francuz. Goście zagraniczni — tutaj nie robią żadnego wrażenia. Procekalnia jest pełna.

Młoda lekarka nie pozwala sobie na przerwanie pracy. Podziwiam ruchy jej palców, przypominające żonglerkę, gdy wykonuje nakłucia w 20 bokсах Pomagają cztery pielęgniarki i rejestratorka. Ani śladu zmęczenia, zdenerwowania. Jedna kuracja: nie 10 zabiegów, lecz 15. I nie pacjent określa kiedy przyjdzie lub nie przyjdzie lecz reguła, że w przypadku bólu — zabieg co drugi dzień. Rzadko komu nie pomaga leczenie, mówi pacjentka z bólem reumatycznym. Podobna mi nie lekarka tajska. Podobna mi też, że nie ma czasu na herbate ani na rozmowę z mną i nie wie nic o imiennach w zakładzie pracy.

8

stycznia 1976 roku Zhou Enlai, przez pierwszy ćwierć wieku premier ChRL, odszedł na zawsze. Wieść o śmierci premiera ugodziła w naród, jak grom z jasnego nieba. Ludzie zastanawiali się, jak można będzie wypelnic lukę, spowodowaną jego śmiercią. Zhou ciężko pracował, dźwigając drugocześnie ciężar rządów i dokonywał niebawym wysiłków, by utrzymać w całości administrację w chaotycznych latach rewolucji kulturalnej... W normalnych czasach jego odejście spowodowałoby bezgraniczny żal. Ale to nie były normalne czasy. Wprawdzie nie było już Lin Biao, ale Banda Czwojga — Jiang Qing, złowroga intrzygantka dążąca do zajęcia stanowiska numer jeden. Zhang Chunqiao, przebiegły uzurpator ubiegający się o fotel premiera, Yao Wenyuan, zbijający pisarczyk rządzący środkami przekazu i Wang Hongwen, kobieciarz, który był czwiekiem do brudnej roboty w Bandzie — nadal działali i bardziej niż kiedykolwiek niecierpliwie starali się uchwylić dzwignie władzy w dłonie...

Jak doszło do obalenia Bandy Czwojga

Rok zniszczenia — rok wybawienia

Nastroje narodu ujawniły się 11 stycznia 1976 r., kiedy to zaplanowano kremację zwłok premiera. Był to dzień pochmurny i zimny. Na długo przed zmrokiem, kiedy to karawan wyjechał miał z pekińskiego szpitala, by rozpocząć uroczystą procesję na Cmentarzu Rewolucjonistów Babaoshan, na chodnikach zbierać się zaczęły liczne grupy ludzi, wśród nich rodzice trzymający w ramionach dzieci. Zebrało się kilka milionów osób... Wszędzie widoczne były czarne opaski na ramionach... Gdy zbliżał się karawan, ciche ikanie przekształciło się w głośnie zawołanie...

Ludność stolicy wyczekiwała całym godzinami na ulicy, by zobaczyć przejazd karawanu ze zwłokami premiera. Kierowała się ona czynie więcej niż tylko żalem. Chodziło zarówno o umiłowanie premiera, jak i o nienawiść do Bandy (pani) Jiang Qing, która czyniła co mogła, by obrzucić go oszczerstwami... Ludzie w tych dniach po śmierci Zhou Enlaia stali się śmielsi. Niezadowoleni nie wyrażali jeszcze wtedy głośno, ale to, co się między sobą mówilo, rozpowszechniało się i stawało coraz bardziej wyzywające.

Oliwy do ognia dołata zwłaszcza zachowanie się Jiang Qing na pewnej uroczystości. Kiedy przyszła oddać cześć premierowi, w czasie gdy — jak to było w zwyczajem w stosunku do każdego członka Biura Politycznego — zwłoki jego były wystawione na widok publiczny, miała na sobie czerwony sweter. Wyrażała też wygnęcioną czapkę z daszkiem, co było niezwykłym przy takiej okazji nakryciem głowy. Według tradycyjnych zwyczajów chińskich, właścicielami kolorami żałoby są czarna lub biała, natomiast czerwony kojarzy się z radością lub gratulacjami. Był to tym rozszalał się szybko i wstąpił tym wstrząsaniem i obrzucił. Jeszcze większe zdziwienie wzbudziło to, co uczyniła ona 15 stycznia, w dniu proklamowanym dniem żałoby narodowej, kiedy to obowiązywał zakaz wszelkich rozrywek. Właśnie ten dzień wybrała sobie Jiang Qing, by polecić, aby wyświetlono jej w domu aż dwa filmy: jeden przed południem, drugi wieczorem...

Wydarzenia, które zaszły w trzy miesiące później w dramatyczny sposób zmieniły sytuację. Był kwiecień, okres święta Qingming, kiedy to w dawnych Chinach ludzie oddawali cześć przodkom, porządkując ich groby, zaś w nowych Chinach wspominali swych bliskich, stawiając na ich cześć kwiaty wazonach. Tak więc mieszkańcy Pekinu papierowymi kwiatami postanowili uczcić pamięć Zhou Enlaia. Wykorzystali też tę okazję, by dać upust swemu tłumionemu niezadowoleniu w taki sposób, aby Jiang Qing to odczuła...

Trzeba zwrócić uwagę, że nigdy dotąd w historii ChRL, żadnemu poszczególnemu przywódcy rewolucyjnemu nie składano w okresie Qingming wieńców u stóp Pomnika Bohaterów Ludowych. Przechodniów zastrygował w tym roku fakt, że wiele takich wieńców leżało pod pomnikiem, część z nich zaopatrzona była w podpis, część nie była one złożone pamięci Zhou Enlaia. Wiadomość o tym zelektryzowała Pekin. Wieńców przybywało i przybywało, każdy z uwidocznionym ofiarodawcą, przeważnie jakimś zakładem pracy lub organizacją. Ludzie przestali się już obawiać. Wiece mnożyły się, przybierały na wielkość i — co ważniejsze — zyskiwały polityczne zabarwienie dzięki wypisanym na szarfach napisom, w których dawał się wyczuć nastroj wyzwania i pogardy w stosunku do Jiang Qing i jej pachołków.



Przez pierwszych kilka dni uwagę przykuwały owe wiece. Nagle jednak zostały one zastąpione milionami poematów, przylepionych do balustrad pomnika, do latarni, a nawet do drzew otaczających plac. Były to hymny i ody ku czci Zhou Enlaia, napisane w stylu klasycznym lub białym wierszem. Były też wiersze o całkowicie odmiennym charakterze: alegoryczne ataki na Jiang Qing i spółkę. Te ostro napisane poematy, przesycone gniewem i pogardą, bardziej niż wiece przyciągały setki tysięcy ludzi codziennie na plac; niektórzy z nich pisali później własne wiersze, inni przepisywali najostrożniejsze teksty, by przekazać je przyjaciołom...

Te ekspozytywne wydarzenia na placu Tiananmen zaskoczyły Bandę Czwojga. 5 kwietnia 1976 r. przystąpiła ona do akcji. Plac został nagle otoczony i wszyscy znajdujący się wewnątrz tej siatki zabrani zostali przez milicję. Dokonano wielu aresztowań; szefem milicji w Pekinie był czwiekiem Bandy Czwojga.

7 kwietnia wicepremier Deng Xiaoping, odsunął na boczny tor od czasu, gdy wygłosił

wie świętej, jak również dobre „stare” krwi. Tak więc w następnym, 1977 roku przywrócono popularnemu Deng Xiaopingowi wszystkie jego poprzednie stanowiska (wiceprzewodniczącego KC, wiceprzewodniczącego Komisji Wojskowej KC, szefa sztabu generalnego i wicepremiera). Czterech błądzących członków Biura Politycznego, w ten czy inny sposób powiązanych z bandą Jiang Qing, usunięto dopiero na wiosnę 1980 r. Był to: wicepremier odpowiedzialny KC KPCh, Wang Dongxing, wicepremier Ji Dengkui, wicepremier i były dowódca garnizonu pekińskiego, Chen Xilian oraz burmistrz Pekinu, Wu De.

Sprawa druga dotyczyła głównie oceny Mao Zedonga jako przywódcy, myśliciela i teoretyka... Wang Dongxing, który dowodził jednostką 8341, dywizją odkomenderowaną do zapewnienia bezpieczeństwa przewodniczącemu, premierowi i innym przywódcom w Pekinie, stał na stanowisku, że należało stosować się do wszystkich słów Mao Zedonga, niezależnie od ich treści, i od tego, czy były wypowiedziane czy napisane, gdyż — jak utrzymywał Wang — Mao miał zawsze rację. Jedno z ukazujących się w Hongkongu i obserwowanych wydarzeń w Chinach pismu ukoiu nowy termin dla tego sporu „wszystko” (od: „wszystko, co powiedział lub napisał Mao, jest słuszne”).

Problem ten, który pasjonował wielu ludzi, pozostawał w zawieszaniu aż do wiosny 1978 r., kiedy to związany został w wyniku długotrwałej i głośniejszej dyskusji na temat kryteriów prawdy; w jaki sposób można ocenić, co jest słuszne, a co błędne? Deng Xiaoping stanowczo bronił stanowiska, że niezależnie od tego, kto co powiedział, praktyka stanowi kryterium prawdy i jest jej jedynym kryterium. Stwierdził on to w przemówieniu wygłoszonym w lecie 1978 r., popierając w istocie tezę, sformułowaną pierwotnie przez pewnego wykładawcę z Uniwersytetu Nankińskiego w artykule na łamach pekińskiego dziennika GUANGMING RIBAO, wydawanego głównie dla kół naukowych... Oczywiście wnioskami nasuwającym się z tej tezy, choć nie wyrażonym wówczas jeszcze dosłownie, było to, że niezależnie od swych wielkich zasług dla rewolucji chińskiej, Mao Zedong mógł popełniać błędy, jak to zresztą częściowo udowodniły ekscesy i szkody z okresu rewolucji kulturalnej.

Co się tyczy sprawy trzeciej, to jeśli osiągnęło się już zgodność poglądów w kwestii kryteriów prawdy, nietrudno było ocenić rewolucję kulturalną. W czasie kiedy Jiang Qing była, wraz ze swą kilką, u władzy, temat ten stanowił oczywiście tabu... Fakt, że nawet po ich obaleniu trzeba było partii aż trzech lat, by podjąć się niewdzięcznego zadania napiętnowania jej, świadczy, jak skomplikowany był to problem. W 1979 r. marszałek Ye Jianying wygłaszając jako przewodniczący Stałego Komitetu OZPL (wówczas jeszcze ta funkcja przewodniczącego przydzium parlamentu była równoznaczna z funkcją głowy państwa) przemówienie z okazji święta narodowego, faktycznie rozprawił się także w imieniu KC KPCh z tą palącą kwestią. Ogłosił on werdykt w sprawie rewolucji kulturalnej; było to: „katastrofalne dziesięciolecie”.

W dwa lata później, na plenum KC 27 czerwca 1981 r., w obszerniej rezolucji dotyczącej niektórych ważnych wydarzeń od czasu utworzenia ChRL, partia posunęła się o krok dalej w kierunku niedwuznacznego potępienia rewolucji kulturalnej, zainicjowanej i kierowanej przez Mao Zedonga. Rezolucja stwierdziła, że rewolucja kulturalna była od początku do końca, pod każdym względem błędna: błędna była koncepcja, błędne planowanie, błędna polityka i błędna realizacja. Wzwała ona naród, ludzi partijnych i bezpartyjnych, by uznali ten fakt i wykorzystali jego długotrwałe konsekwencje. Nie można — ostrzegła rezolucja — pozwolić, aby „ultralewactwo” idea i praktyki, które rozpowszechniły się w owym okresie, nadal w jakikolwiek formie czy pod jakokolwiek maską utrzymywały się, albowiem jeśli nie uwoini się kraju od tego rodzaju ruchów politycznych, to Chiny nie będą mogły osiągnąć postępu, ani też zrealizować tak bardzo potrzebnej modernizacji.

W trakcie dyskusji nad ogromnej wagi problemami, w obliczu których stał naród, dawni towarzysze i koleżdy, rozprawiający nad tym, co należy uczynić, niemal zawsze mieli przed oczami postaci dwóch potężnych osobistości. Jedną z nich był oczywiście przewodniczący Mao Zedong, drugą — premier Zhou Enlai. Szkoła, że tak długo zwlekano z uznanie błędów politycznych, jakie przychylił wizerunek przewodniczącego w ostatnich latach jego życia, gdyż mimo nich, on właśnie, bardziej niż ktokolwiek inny — nie wyjącając nawet Zhou Enlaia — przyczynił się do powstania ChRL. Jego miejsce w historii jest powasione. Obawa przed trzeźwą oceną jego osoby może jedynie przesłonić jego osiągnięcia i w ten sposób pomniejszyć jego wkład.

pozycja Zhou Enlaia w narodzie i partii nie osłabła po jego śmierci. W istocie jego autorytet nawet wzrósł. W przemówieniu do kadrowców partyjnych na temat zadań, przed którymi stoi kraj, wygłoszonym 16 stycznia 1980 r., Deng Xiaoping powołał się ztyczając na Zhou Enlaia, zawsze ciężko pracującego i skromnie żyjącego. Jako na przykład do naśladowania, gdy wzywał do przestrzegania ducha skromności z okresu Yana'skiego (w Yananie mieszkał się od 1935 r. główna kwatery chińskiej rewolucji) i do kierowania się tą tradycją, by doprowadzić do realizacji programu modernizacji w ośmiastowych Chinach...

Śmierć dosięga każdego człowieka. Niektórzy nie mogą znieść tej myśli, inni uważają to za rzecz oczywistą. Zhou Enlai i jego żona Deng Yingchao rozmawiali na ten temat na kilka lat przed rewolucją kulturalną i postanowili, że gdy przyjdzie na nich czas, to będą chcieli, by ich prochy, po spaleniu zostały rozrzucone. Uważali, że przeście do grzebania do kramię jest w Chinach krokiem rewolucyjnym. Za jeszcze dalszym krokiem w tym kierunku będzie odejście od przechowywania prochów. W ostatnich dniach swego życia Zhou Enlai prosił, aby jego prochy rozrzucone zostały nad ziemią, a nie w żadnym z miejsc, w których się urządził.

Z książki „Zhou Enlai — A Profile” wydanej w Pekinie.

Czysty przypadek zrzucił, że mój przyjaciel, Hercule Poirot, pełniący niedługo funkcję szefa belgijskiej policji, zajął się bliżej tajemniczą sprawą w Styles Sukces, jaki wtedy osłagnał, przyniósł mu ogromną sławę, i wówczas to Poirot zdecydował się bez reszty poświęcić rozwiązywaniu kryminalnych zagadek. Ponieważ rana odniesiona w bitwie pod Sommą uczyniła mnie niezdolnym do dalszej służby wojskowej, więc w końcu wspólnie zamieszkałszy w Londynie. Większość spraw Poirot jest mi znana bezpośrednio z pierwszej ręki, i zaproponowano mi, abym wybrał spośród nich te najbardziej interesujące i uwiecznił je dla potomnych. Idąc za tą radą sądzę, że na początek trudno o coś lepszego aniżeli ten spłot przedziwnych wydarzeń, które wzbudzały w swoim czasie tak szerokie zainteresowanie społeczne — mam tu na myśli aferę na balu Zwycięstwa.

Choć, w przeciwieństwie do wielu innych niejasnych przypadków, sprawa ta, być może, nie odzwierciedla w pełni szczególnych metod stosowanych przez Poirot, to jednak jej sensacyjny charakter, udział wielu znanych osobistości oraz olbrzymi rozgłos, nadany jej przez prasę, sprawiają, że ta historia wysuwa się zdecydowanie na plan pierwszy jako „cause célèbre”. Od dawna byłem zdania, iż należy opowiedzieć światu, w jaki sposób Poirot przyczynił się do rozwikłania tej sprawy.

Był uroczy, włosy porannek. Siedzieliśmy w pokoju Poirota. Przechylając nieco na bok swą jajowatą głowę, mój mały przyjaciel, jak zawsze schludny i wytworny, delikatnie smarował sobie włosy jakąś nową pomadą. Jedną z charakterystycznych cech Poirota jest pewna niewinna próżność, znakomicie idąca w parze z jego powszechnym zamilowaniem do ładu i systematyczności. Gazeta, którą właśnie czytałem, wysunęła mi się z ręki i opadła na podłogę. Z głębokiej zadumy wyrwał mnie dopiero głos Poirota.

— „O czym, tak rozmyślał, mon ami?”
— Prawde mówiąc — odparłem — zastanawiałem się nad tą niewytłumaczalną historią, która miała miejsce na balu Zwycięstwa. Pełno o tym w gazetach.
— Tak?

— Im więcej się o tym czyta, tym bardziej cała ta sprawa okrywa się mgłą tajemnicy! — mówiłem z coraz większym przejęciem. Kto zamordował lorda Cronshaw? Czy śmierć Coco Courtenay tej samej nocy była tylko przypadkowym zbliżeniem okoliczności? Czy był to wypadek, czy może panna Courtenay rozmyślnie przedawkowała kokainę? — Umilkłem, by po chwili dorzucić dramatycznie: Oto pytania, jakie sobie zadaje.

Poirot nie podjął tematu, co nieco mnie zrytowało. Przeglądając się w lustrze, zamruczał tylko: Dobra, ta nowa pomada działa istnie cudnie! Zauważył jednak mój wzrok i dodał pośpiesznie: Rzeczywiście — a czy masz także odpowiedź na swoje pytania?

Nim zdążyłem coś odrzec, otworzyły się drzwi, i nasza gospodyni zaanonsowała inspektora Jappa.

Człowiek ze Scotland Yardu był naszym starym, dobrym znajomym, więc przywitaliśmy go niezwykle ciepło.

— A więc Japp, mój drogi, — zawołał Poirot — co pana sprawnia do naszego progi?

— No, cóż, Monsieur Poirot — powiedział Japp, i skinął mi głową siadając — pracuję nad pewną sprawą, która moim zdaniem jest całkiem w pańskim stylu. Przyszedłem właśnie zapytać, czy nie chciałby pan tu wtrącić swoich trzech groszy?

Poirot był dobrego zdania o zdolnościach Jappa, choć ubolewał nad jego pośladowaniem godnym brakiem metody; jeśli chodzi o mnie, to uważałem, że największym talentem naszego policjanta była subtelna sztuka wyludzania przysług pod pretekstem wyświadczenia ich innym.

— Chodzi o ten bal Zwycięstwa — rzekł Japp przekonująco.

— No, niech pan nie udaje, że nie chce pan mieć z tym nic wspólnego.

Poirot uśmiechnął się do mnie.

W każdym razie mój przyjaciel Hastings pragnął się tym zająć. Właśnie obszernie omawiał ten temat, n'est ce pas, mon ami?

— A więc włączmy w to i pana — profejonalnym tonem powiedział Japp. Udział w tej sprawie to prawdziwy zaszczyt, ja to panu mówię. No, ale do rzeczy. Zna pan, jak sądzę, okoliczności sprawy, Monsieur Poirot?

— Tylko z gazet — a jak wiadomo, wyobrażenia dziennikarzy często okazują się zwodnicze. Proszę opowiedzieć mi wszystko jeszcze raz.

Japp rozsiadł się wygodnie, założył nogę na nogę i rozpoczął.

— Jak chyba wszyscy wiedzą, w zeszły wtorek wydano wspaniały bal — bal Zwycięstwa. Teraz co prawda było tandetna potańcówka tak się nazywa, ale to był bal z prawdziwego zdarzenia — wydano go w Colossus Hall, a przybył nań dosłownie cały Londyn, między innymi także i młody lord Cronshaw ze swą żoną.

— Jego dossier? — przerwał Poirot. — Powinienem raczej powiedzieć... bioskop... nie, jak to się nazywa — biografia.

— Wicehrabia Cronshaw był piątym wicehrabią, miał dwadzieścia pięć lat, był bogatym kawalerem i niezwykle pasjonował się teatrem. Plotka głosiła, że był zaręczony z niejaką panną Courtenay, aktorką z Albany Theatre, zwaną przez przyjaciół „Coco”, i będącą ze wszech miar fascynującą młodą kobietą.

— Dobrze. Continuez!

— W skład grupy lorda Cronshaw wchodziło, oprócz niego samego, jeszcze pięć osób — jego wuj, szlachetny Eustace Beltane, pewna ładna Amerykanka, wdowa, Mrs. Mallaby, młody aktor nazwiskiem Chris Davidson wraz z żoną, i wreszcie panna Coco Courtenay. Jak panowie wiecie, był to bal maskowy, i lord Cronshaw z przyjaciółmi przebrał się za postaci z dawnej komedii włoskiej, czy czegoś w tym rodzaju.

— Tak, tak, wiem — powiedział półgłosem Poirot. — Commedia dell'arte.

— Tak czy owak za wzór dla kostiumów posłużył zbiór porcelanowych figurek, będących częścią kolekcji Eustacea Beltane'a. Lord Cronshaw przebrał się za Arlekina, Beltane za Puchinella, Mrs. Mallaby towarzyszyła mu jako Pulcinella, Davidsonowie wystąpili w stro-

jach Pierrotta i Pierrotki, natomiast panna Courtenay grała oczywiście Kolombinę. Już wcześniej wieczorem można było zauważyć, że coś nie jest w porządku. Lord Cronshaw był w złym humorze i zachowywał się dziwnie. Kiedy wszyscy spotkali się w prywatnej salce, zarezerwowanej przez gospodarza na kolację, okazało się, że panna Courtenay i lord Cronshaw nie odzwierają się do siebie. Panna Courtenay najwyraźniej płakała i wydawała się bliska hysterii. Kolację spożyto w niezręcznej atmosferze, i kiedy całe towarzystwo wychodziło z sali, panna Courtenay głośno zwróciła się do Chrisa Davidsona, z prośbą, aby odprowadził ją do domu, ponieważ ona „ma już dosyć tego balu”. Młody aktor zawałał się, spojrzal przeciągle na lorda Cronshaw, i w końcu pociągnął go ze sobą z powrotem do sali, w której jedzono kolację.

— Wysilkli Davidsona spęły na niczym, i nie udało mu się doprowadzić do pojednania, wobec czego wezwał taksówkę i odwiózł szlachającą pannę Courtenay do jej mieszkania. Choć aktorka była niezwykle przynębiona, nie pró-

AGATHA CHRISTIE

Morderstwo na balu maskowym

bowwała zwierzać się Davidsonowi, powtarzała tylko, że „stary Cronch będzie tego żałował”. To jedyny ślad, jaki zdaje się wskazywać na to, że jej śmierć mogła nie być przypadkowa, ale to diabelnie mało — trudno iść dalej tym tropem. Kiedy Davidson zdołał ją już trochę uspokoić, było za późno, by wracać na bal, pojechał więc prosto do swego domu w Chelsea. Wkrótce potem zjawiała się tam jego żona, przynosząc wiadomość o tragedii, jaka wydarzyła się w Colossus Hall po wyjściu Davidsona.

— Jak się wydaje, lord Cronshaw w młarę upływu czasu stawał się coraz bardziej markotny. Trzymał się z dala od swoich przyjaciół i właściwie na resztę wieczoru prawie zniknął im z oczu. Około wpół do drugiej w nocy, tuż przed rozpoczęciem uroczystego kadryla, kiedy to wszyscy mieli zdjąć maski, kapitan Digby, mój kolega z policji, który wiedział, za kogo przebrany był Cronshaw, zauważył go jak stał w łóżu i spoglądał za góry na scenę.

— „Cześć, Cronch!” — zawołał. — „Zjedź na dół i bądź towarzyski. Co się tak snujesz tam na górze, nadejść jak sowa? Złaz; graj własnie jakiś fajny rag-time!”

— „Dobra!” — odparł Cronshaw. — „Zaczekaj na mnie, bo nie znajdę cię potem w tym łoku!”

— To mówiąc, odwrócił się na pięcie i wyszedł z łóży. Kapitan Digby czekał na dole razem z panną Davidson. Czas mijal, ale Cronshaw się nie pojawił. Wreszcie Digby stracił cierpliwość:

— „Co ten facet myśli, że będziemy tu czekać przez całą noc?” — zawołał.

— W tym momencie podeszła Mrs. Mallaby, której Digby i pani Davidson wyjaśnili całą sytuację.

— „No wiecie!” — wykrzyknęła młoda wdowa — „Cronshaw zachowuje się dzisiaj jak gbur. Chodźmy zaraz i wyciągnijmy go do nas!”

— Zaczęły się poszukiwania, które kontynuowano bezskutecznie do chwili, gdy Mrs. Mallaby przypomniała sobie, że Cronshaw może znajdować się w sali, gdzie jedli przedtem kolację. Kiedy weszli do pokoju, ich oczom ukazał się okropny widok! Rzeczywiście, Arlekin był tam — leżał rozciągnięty na ziemi z nożem stołowym wbitym w serce!

Japp przerwał. Poirot kiwnął głową i z uznaniem konesera w głosie powiedział:

— Une belle affaire! I nie było żadnego śladu, który mógłby pomóc w ustaleniu tożsamości sprawcy? No tak, skąd ślady!

— Resztę znać — kontynuował inspektor. — Nieszczęścia chodzą parami. Następnego dnia

— Ach — powiedział wymijająco Japp. Uśmiechnąłem się.

— No właśnie, o to chodzi. Co pan o tym myśli?

— Nie znalazł pan żadnej wskazówki, o której jeszcze nie było mowy?

— Owszem, znaleźliśmy to — Japp wyjął z kieszeni jakiś niewielki przedmiot i podał go Poirotowi. Był to mały, jedwabny, szmaragdowo-zielony pompon. Wystrzępione nitki zwisały z niego tak, jak gdyby ktoś oderwał go raptownie nagłym szarpnięciem.

— Denat trzymał to w zaciśniętej dłoni — wyjaśnił inspektor.

Poirot zwrócił mu pompon bez żadnych komentarzy i zapytał:

— Czy lord Cronshaw miał jakichś wrogów?

— Nikomu nie o tym nie wiadomo. Był chyba dość popularnym człowiekiem.

— Komu jego śmierć przynosi korzyści?

— Posiadaczem tytułu i majątku staje się jego wuj, szlachetny Eustace Beltane. Kilka podejrzanych faktów świadczy przeciwko niemu. Pewna grupa osób twierdzi, że z małej sali jadalnej dobiegaly odgłosy gwałtownej kłótni, i że Eustace Beltane brał w niej udział. Widzi pan, nóż porwany nagle ze stołu pasuje jak ulał do obrazu morderstwa popełnionego w trakcie gorącej awantury.

— A co pan Beltane mówi na ten temat?

— Zznał, że jeden z kelnerów był pijany, i że musiał przywołać go do porządku. Oświadczył także, że było wtedy bliżej pierwszej niż wpół do drugiej. Otóż zeznanie kapitana Digby pozwala stosunkowo dokładnie określić czas zabójstwa. Mniej więcej dziesięć minut minęło od jego rozmowy z lordem Cronshaw a odnalezieniem ciała.

— W każdym razie, skoro pan Beltane był przebrany za Puchinella, więc jak przypuszczam, nosił garb i kryzę?

— Nie znam kostiumów zbyt szczegółowo — powiedział Japp, patrząc na Poirota z zaciekawieniem. — A zresztą, nie bardzo rozumieję, jak to ma związek ze sprawą?

— Nie? — w uśmiechu Poirota był cień szyderstwa. Jego oczy zaświeciły tym zielonym blaskiem, który tak dobrze nauczył się rozpoznawać. — W sali jadalnej znajdowała się zastawa, prawda?

— Tak, ale...

— Było za nią wystarczająco dużo miejsca, by mógł się tam ukryć człowiek?

— Tak... w łosci... była nawet niewielka wnękka, ale skąd pan o tym wie... pan tam przecież nie był, Monsieur Poirot?

— Nie, drogi inspektorze. Kurtyna jest wytworem mojego umysłu — bez niej dramat jest bezsensowny, a my zawsze musimy zachować rozsądek. Ale niech mi pan powie, czy nie posłano po lekarza?

— Oczywiście natychmiast, chociaż nie miał już nic do roboty. Śmierć musiała nastąpić momentalnie.

Nieco zniecierpliwiony Poirot skinął głową.

— Tak, tak, rozumiem Ten lekarz, czy składał zeznanie podczas śledztwa?

— Tak.

— Nie mówił nic o jakichś niecodziennych objawach? Czy w wyglądzie ciała nie było nic niematuralnego, co zwróciło jego uwagę?

Japp zmierzwił małego człowieczka przeciągłym spojrzeniem.

— Tak, Monsieur Poirot. Nie wiem, do czego pan zmierza, ale lekarz wspominał coś o namiętności i zeszywnieniu wszystkich członków. Mówił, że nie potrafił tego wyjaśnić.

— Aha! — powiedział Poirot. — Aha! Mon Dieu! Japp, to daje do myślenia, co?

Zauważyłem, że inspektorowi na pewno nie dawało to do myślenia.

— Jeśli ma pan na myśli truciznę, Monsieur, to któż u licha miałby otruć człowieka po to, aby później przebić go nożem?

— W samej rzeczy, byłoby to absurdalne — pogodnie zgodził się Poirot.

— Czy jest coś, co chce pan obejrzeć, Monsieur? Jeśli życzyłby pan sobie zobaczyć pokój, w którym znaleziono ciało...

Poirot machnął ręką.

— Ależ skąd. Powiedział mi pan jedyną rzecz, która mnie interesowała — poznałem poglądy lorda Cronshaw w kwestii narkotyków.

— A zatem nie ma nic, co chciałby pan zobaczyć?

— Tylko jedno.

— Cóż takiego?

— Ten zbiór porcelanowych figurek, z których skopiowano kostiumy.

Japp gapił się przed siebie.

— Zabawny z pana facet!

— Czy może mi pan to ułatwić?

— Możemy iść na Berkeley Square choćby zaraz, jeśli ma pan na to ochotę. Mr. Beltane, czy może powinienem raczej powiedzieć, jego lordowska mość, nie powinien mieć nic przeciwko temu.

Bez zwłoki wsiadliśmy w taksówkę. Świeżo upieczony lord Cronshaw nie było w domu, ale na prośbę Jappa zaprowadzono nas do „sali porcelanowej”, gdzie zgromadzono najpiękniejsze okazy kolekcji. Japp bezradnie rozejrzał się wokół.

— Pojęcia nie mam, jak odnajdzie pan te właściwe, Monsieur.

Lecz Poirot przyciągnął już krzesło do kominka i wdrapał się na nie z wawo niczym ptaszek. Na małej, osobnej półeczce nad lustrem stało sześć porcelanowych figurek. Poirot zbadal je niezwykle skrupulatnie, wygłaszając przy tym kilka uwag.

— Lés voilà! Dawna komedia włoska. Trzy pary! Arlekin i Kolombina, Pierrot i Pierrotka — piękne stroje, biało-zielone — i Puchinella z Pulcinella, cali w fioletach i żółciach. Kostium Puchinella bardzo wyszukany — kryzy, falbany, garb, cylinder. Tak, tak jak myślałem, szalenie kunsztowny.

Poirot odstawił ostrożnie figurki i zeskoczył na ziemię.

Japp nie wyglądał na zadowolonego, ale postanowił zrobić dobrą minę do złej gry, bowiem Poirot najwyraźniej nie miał zamiaru niczego wyjaśnić. Przygotowywaliśmy się już do wyjścia, kiedy wszedł pan domu, i Japp dokonał niezbędnych prezentacji.

Przełożył: MACIEJ ŚWIERKOCKI C.D.N.



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Pani Ewa Petelska, znana szeroko jako 1/2 reżysera filmowego, którego pełne imię i nazwisko brzmi: „Ewa i Czesław Petelscy”, była uprzejma wyreżyserować spektakl w teatrze w Olsztynie. Zrobiła to bez udziału małżonka i współnika. Z tej okazji pani półreżyser filmowy i cały teatralny (razem półtora reżysera, to jest coś!) udzieliła wywiadu, w którym wyartykułowała swoje zdanie na temat owej sztuki teatralnej. Powiedziała m. in. że jest w niej zawarty ważny dylemat naszych czasów zawierający się w słowach „mieć czy być”. Następnie — zapewne dla tzw. uwypuklenia sformułowała wersję dla uboższych duchem odbiorców, brzmiącą „mieć coś czy być kimś”. Dodała wreszcie, że te dwie rzeczy rzadko chodzą w parze. Ja otóż akurat inaczej rozumiem dylemat „mieć czy być” — oznacza on tylko dwie postawy wobec życia, natomiast wersja pani Ewy Petelskiej zdaje się oznaczać nie wybór egzystencjalny a konkretne założenie życiowe: albo się jest kimś i nic nie ma, albo się jest nikim i ma się — co tu ukrywać — szmal.

Są ludzie znajdujący się w takich przeciwnych życiowo i społecznie sytuacjach. Ale przecież ogromną większość ludzi jest w sytuacji pośredniej: trochę mają i trochę są kimś. Wreszcie można palcem wskazać takich, którzy są kimś i mają coś, zresztą przeważnie dlatego właśnie, że są kimś. Dla porządku dodać trzeba, że jest sporo takich, którzy nic nie mają i nie są nikim. Skutki mogą się tu mieszać z przyczynami, jednak przeważnie bywa tak, że nic nie mają ci, którzy nikim nie są.

Być czy mieć?

Po co ja to wszystko piszę? Wcale nie po to, żeby polemizować z półką reżysera filmowego ani z całym reżyserem teatralnym. Mnie ten wstęp potrzebny jest do wyrażenia pewnych opinii na temat... kodeksu pracy.

Uważam bowiem, że kodeks nasz jest w znacznym stopniu archaiczny i staje się kłopotliwy w dobie trzech S. Archaiczność tę określiłbym właśnie w ten sposób, że występuje w nim pomieszczenie spraw z gatunku „być kimś” ze sprawami „mieć coś”.

Ważny przykład pierwszy lepszy z brzegu. Sprawy zmiany miejsca pracy. Kodeks nasz nastawiony jest na preferowanie takich pracowników, którzy jak najdłużej pracują w jednym miejscu pracy. Jest to myśl słuszna, ale... Reforma gospodarcza, kiedy pokonała już wiele barier i doprowadziła do względnie normalnej sytuacji gospodarczej, spowoduje również rewolucyjną zmianę na rynku pracy. Bez wchodzenia w szczegóły można te zmiany określić jako zwiększoną mobilność siły roboczej. Stanie się słuszne i sprawiedliwe na dodatek, że lepsi fachowcy uciekną z gorszych (czytaj: gorzej gospodarujących) zakładów, że nastąpią zmiany proporcji zatrudnienia w przemyśle i sferze usług, że zmniejszy się ilość pracowników pomocniczych a zwiększy ilość pracowników bezpośrednio produkcyjnych itd. A kodeks pracy? Będzie — jeśli zachowa dotychczasowy kształt — kłoda u nogi pracodawców i pracobiorców. Jest bowiem w swych założeniach nastawiony na „być kimś”, a nie na „mieć coś”. „Być” długoletnim pracownikiem, a nie „mieć” wyższe zarobki za lepszą pracę...

Nie od rzeczy będzie przypomnieć, że reformie gospodarczej na Węgrzech towarzyszyły zmiany w przepisach dotyczących smiancy pracy. Stały się liberalniejsze, nastawione na ułatwienie racjonalnej mobilności na rynku pracy.

Inny przykład. Kary i nagrody. Też ustawione na „być” — nagany ustne i pisemne, nie pociągające żadnych skutków materialnych, wyróżnienia, dyplomy itp. Wszystko to piękne, ale pomyslane chyba dla części tylko załóg. Powiedzmy sobie śmiało, że wcale pokazała ilość pracowników naszej gospodarki narodowej pracuje jednak dla pieniędzy...

Na zakończenie jeszcze jeden, całkiem nietypowy przypis. Otóż pracownik, który podejmuje pracę na dodatkowym półetatcie (ryczalcie, „świartce” itp.) musi uzyskać zgodę w zakładzie pracy nazywanym, nie wiadomo dlaczego, „macierzystym”. Niby słuszne, główny pracodawca chce wiedzieć, czy dodatkowa zatrudnienie nie będzie wpływać niekorzystnie na pracę podstawową. Popatrzmy, jak ten przepis działa w praktyce. Są pracownicy, którym godziny pracy w jednym zakładzie pokrywają się z godzinami pracy dodatkowej (nagminna sytuacja w służbie zdrowia), a jednak dostają odnośne zezwolenie, są tacy, którzy pracują do piętnastej, a zakład zabrania im podjęcia dodatkowej pracy po godzinie szesnastej! Z czego to wynika? Ano, odpowiedni przepis o udzielaniu zezwoleń stał się w rękach zwierzchników elementem kary lub nagrody! Żeby tylko. Często bywa stosowany dowolnie, na zasadzie sympatii i antypatii... A odwołać się od decyzji szefa w sprawie dodatkowego zatrudnienia — bardzo trudno.

Znów więc mamy dylemat „być” — miłym i układnym dla szefa i wtedy „mieć” chałturę, fuchę czy jak tam się to jeszcze nazywa albo — nie być i nie mieć...

Pracodawca, który firmował swego czasu nowy (dziś już stary!) kodeks pracy przeceniał świadomość społeczną i moralność zarówno pracowników jak pracodawców. Ograniczał szybkie awanse zarówno finansowe, jak i awanse w hierarchii służbowej, wykluczał praktycznie w ogromnej większości zawodów tzw. awans poziomy (doskonalenie się w pracy na określonym stanowisku i osiąganie coraz wyższych zarobków bez awansu pionowego, hierarchicznego).

Krótko mówiąc, podobnie jak pani 1/2 reżysera odrywał „być” od „mieć”...

Zastanówmy się czy „być” reformy nie zależą w znacznym stopniu od „mieć” nowy kodeks pracy?

ANDRZEJ KAROLCZAK

NR 31 (1479), XXIX 2 SIERPNIA 1986 R.



Nagle zastępstwo

Ballada o prawdomównym żołnierzu

Rozpoczął się sezon festiwalu piosenkarzów — sezon dla złośliwych felietonistów, wyszydających artystów i publiczność, organizatorów, autorów tekstów itp. Ja otóż do nich nie należę (do złośliwych felietonistów mianowicie, nie do artystów festiwalowych) i mam do tych imprez stosunek ciepły i wyrozumiały.

Telewizja nas uraczyła mnie jednej soboty aż dwoma imprezami tego typu na raz. W programie pierwszym był festiwal piosenek zmlilitaryzowanej a w programie drugim festiwal muzyczny pn. „Rock dinozaurów”. Oglądałem oba jak leci i — przyznam się — trochę mi się pomieszały, stąd możliwe pewne przekłamania w relacji z moich telefestiwalowych wrażeń.

Jedno jest pewne: Na festiwalu żołnierskim wystąpił kapitan Kloss. Wprawdzie nie śpiewał, ale za to społkał swego starego antagonistę, tego drania Brunera. Bruner wystąpił po cywilnemu i wykonał wstrząsający song o osadnikach, co to szła na zachód. Jest to pieśń piękna i dostojna, tyle, że w jednym refrenie udało się zmieścić autorowi tyle bzdur na raz, że można to uznać za rekord krajowy. Pieśń, jeśli dobrze ją pamiętam zawiera słowa następujące:

„...szli na zachód osadnicy szlakiem Wielkiej Niedźwiedzicy, karabiny i rusznice zawieszili w cieniu drzew...”
Otóż każdy absolwent szkoły podstawowej wie, a przynajmniej powinien wiedzieć, że gwiazdozbiór pod tytułem Wielka Niedźwiedzica daje się zauważyć na północnej stronie nieba. Dla ułatwienia dodajmy, że jedną z gwiazd tej konstelacji jest Gwiazda Polarna. Wybieranie się zatem na zachód „szlakiem Wielkiej Niedźwiedzicy” przypomina Szwejkwską anabasis. Wiadomo, że w którąkolwiek stronę się pójdzie, dojdzie się do Czeskich Budziejowic...

Autor tekstu nie zaliczył więc elementarnego kursu astronomii zawartego w programie geografii szkoły powszechnej. Nie zaliczył też żadnych ćwiczeń wojskowych. Gdyby je zaliczył, wiedziałby, że rusznica to nie jest już ta rusznica o której czytał w Trylogii (jeśli ją czytał...) a potężny karawał żelaza, przypominający raczej armatę niż karabin. „Zawieszenie” rusznicy w cieniu drzewa (na gałęzi chyba?) jest przedsięwzięciem dość trudnym i bezsensownym raczej.

Na szczęście, kiedy już ten wstrząsny Bruner zamącił nam w głowach w dziedzinie geografii i brzoźnawstwa wystąpiła jeszcze moja (i nie tylko moja) ulubiona, miss armii zaprzysiężonych, Barbara Książkiewicz w powiewnym peniarzu, który — jak wiadomo — jest zwykłym, roboczym strojem stewardesa „Lot”...

Wystąpił także (tylko nie wiem już czy w Kolobrzegu, czy w Sopocie) Piotr Janczer, niezapomniany wykonawca ballady o prawdomównym żołnierzu („...żołnierz dziewczynie nie skłamał...”).
Niewątpliwie miłym akcentem był występ Michała Buranę vel Johna Michaela Ariowa. Po raz nie wiadomo który kilce muzyki młodzieżowej skazani byli na odgadywanie, czy pieśń miłosa pt. „Lucia” wykonywana była w języku polskim, angielskim, cygańskim czy też jeszcze zgola jakimś innym.

Festiwal zasilili artyści zagraniczni. Potężne wrażenie zrobił na mnie występ wielkiego idola lat siedemdziesiątych Demisa Russosa, który dla niepoznaki zgolił brodę i wystąpił — nie wiadomo czemu — pod pseudonimem Regina Pisarek.

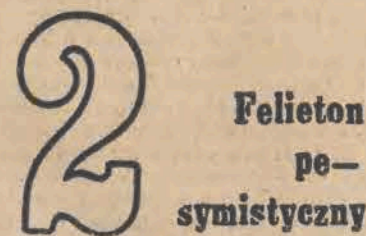
Jak wspominałem na wstępie, wszystko ogromnie mi się podobało, no może z wyjątkiem kostiumu Andrzeja Szajewskiego, który zafundował sobie białe mokasyny do smokingu, czym jako żywo przypomina Andrzeja Zaorskiego w kabarecie Ogi Lipińskiej. Cóż, artystów też trapią kłopoty zaopatrzeniowe, o przyzwoite lakierki widać trudno. A może Szajewskiemu też ktoś gwizdnął buty, jak nie-

gdys Wojciechowi Siemionowi? Przy okazji: chwala Siemionowi za pierwsze w Polsce publiczne wykonanie nieśmiertelnej pieśni żołnierskiej „W Ołomuńcu na Fischplatzu”!

Czekam na następne festiwale z niecierpliwością i nadzieją, że też będą miały charakter muzealny i dinozauryczny, dzięki czemu z baczymy na estradzie Fogga, Martę Mirską, Niemena, Santorównę, Połomskiego, Barbarę Książkiewicz, Barbary Książkiewicz nigdy za wiele!

Dodać należy, że w odróżnieniu od byłego (jak sądzi) idola Jana Borysewicz, gwiazdy sopockie i kolobrzeckie pokazywały bardzo mało, w większości przypadków nawet nie nie zdolały pokazać. Tak trzymać!

ANDRZEJ KAROL



Felieton pesymistyczny

Ojciec chrzestny

Szanowny Panie Redaktorze! W pierwszych słowach swego listu tradycyjnie już pozdrawiam Pana i Szanowny Zespół bardzo serdecznie, acz ospale i ogórkowo nieco, wszak to środek sezonu wakacyjnego. U nas dni całkiem już leniwie biegają, personel na urloпах, część kolegów wyjechała na kolonie specjalistyczne, kilku zalało się na międzynarodową wymianę.

Siedzimy właśnie z kolegą Lametą w ogrodzie, nad szklaniczką bursztynowego „Haiga” z lodem i tak sobie leniwie dyskutujemy. O wszystkim i o niczym. Nastroj przyjemny, lekki wietrzyk, czasem jakiś pszczoła pracowita przemknie obok. A za chwilę ma wpaść jeszcze przełożona, siostra Halinka, z kawką gotową. Oj, sympatycznie jest i ta perspektywa aromatycznej kawy, i siostra wcale urodziwa, a latem to często pod służbowym fartuchem prawie nic nie nosi...

— Czytałeś pan, panie kolego — złożyłem numer „Kurieru Polskiego” — o próbach napędzania silnika „Poloneza” gazem wysokometanowym?

— Nie rozumiem panie pan — Lameta machnął lekceważąco ręką i pociągnął duży łyk chłodnego piynu — to jest takie ogupianie publiki. O tym gazie to już się trąbi od wielu lat. Są na świecie gotowe rozwiązania, sprawdzone i nie ma co prochu po raz drugi wymyślać. Te wszystkie pomysły z gazem, obojętnie jakim i pod jakimkolwiek ciśnieniem — są, moim zdaniem o kant, no, wie pan o kant czego rozbił? Przecież ludzie: my gazu własnego nie mamy i w każdym przypadku nie obędzie się bez importu!

— Ale znam takich co instalację gazową w samochodzie złożyli i chwalią sobie...

— Bo to jest dobre rozwiązanie, tylko z nabiciem takiej butli-zbiornika są ogromne kłopoty. U nas są dwa wyjścia: albo napełnianie po znajomościach w jakiejś rozlewni gazu, albo własnoręczne przelewanie z małych, turystycznych. Jedno i drugie cholernie niebezpieczne. My tu kombinujemy z gazem, a na całym świecie cena benzyny leci systematycznie w dół. Aaaa, prosimy...

Poderwał się s galanteria, bo Halinka zmierzała w naszą stronę ze sporą tacą. Była kawa, jakieś ciasteczka własnej roboty.

— Słyszę, że panowie o motoryzacji... — z łałem szepnęła siostra wychylając pierwszą szklaniczkę duszkiem, zapewne z powodu upału. — A słyszałam, że nasze duże fiaty produkują już z silnikiem diesla...

— Halinko droga, mamy tu leczyć się i wypoczywać, a siostra chce wyraźnie byśmy z Życiowym ataki dostali! — Lameta lekko spurpurowiał. — Oni naprawdę mają nas, zmotorowanych, za kompletnych głupków. Montują w przestarzałe konstrukcyjne pudła silniki kupione od Volkswagena i za takie autko życzą sobie 4,5 tysiąca dolarów. Jeżeli ktoś to kupi, to powinien natychmiast trafić tu, do nas i to od razu w pasy! Przecież — gdybym miał — dokładam niecałe półtora tysiąca „zielonicy” i mam nowiutkiego, pięknego Nissana! Ktoś tu z kogoś chce zrobić wariata...

— To zupełnie jak z przetargami urządzanymi przez „Polmozbyt” — zagryzłem szarlotką i zacząłem cytować tekst, który i mnie z równowagi wyprowadził. — Proszę, nawet wyciąłem ten fragment: Polonez, pięcioletni — milion i siedemdziesiąt tysięcy cena wywoławcza, roczny FSO 1599 — siedemset siedemdziesiąt tysięcy, maluch z 1984 roku — cena wywoławcza: 341 tysięcy złotych, a tegoroczny — prawie trzysta osiemdziesiąt. To tylko kilka przykładów, a na te samochody nie ma żadnej gwarancji ani tak zwanej rejkojmi...

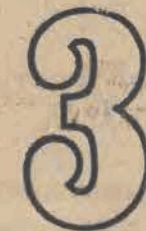
— Kochani, to są metody gospodarzów mafii — kolega Lameta zaczął wyraźnie zdemotywany przechadzać się między łóżkami. — Ściągam kobitkę, bo wódka handluje, ktoś na warzywach czy kwiatkach jakieś grosze zarabia i kolegium łapie a „Polmozbyt”, w biały dzień, bez rękawiczek, mniej lub bardziej uszkodzone samochody kieruje na przetarg, ustalając cenę wywoławczą na wysokości cen wozów nowych. A głośno motoryzacyjny na rynku jest ogromny, ludziska wbijają ceny na takie wyżyny, że często oferta giełdowa jest znacznie korzystniejsza. Czysty interes! To jest reforma! Tak trzymać!

— Oby tylko nie wpadły na ten pomysł zakłady produkujące telewizory kolorowe, zamrażarki, pralnice, traktory, sokowirówki, wódeckę, polećwie, ser, zęarki, papier toaletowy... — strasznie mi się język rozplątał, chyba po tym bursztynowym „Haigu”.

— Cicho, cicho, panie Stefanie, to zaraz minie — siostra Halinka głaskała mnie po ręce. I robiła to pięknie! — To jeszcze nie jest najgorsze. Bo przyszedł mi do głowy straszny patent: mogliby od razu na Żeraniu czy w Bielsku lekko pukać każdy samochód i wszystkie jak jeden kierować na przetarg, na przetarg, na przetarg...

STEFAN ŻYCIOWY

PS. Ale gdyby ktoś skorzystał z pomysłu — chcemy tylko dziesięć procent od utargu...



Ostry przedmiot pożądania

Pewnego razu wyjeżdżając na urlop koleżanka zostawiła mi swoją kartkę abonamentową na obiady. Ponieważ i moja rodzina wybrała się akurat na wakacje, pomyślałam, że składa się świetnie, bo przecież dla jednej osoby nie o placu się gotować obiadów, a ponadto — abonament był do restauracji znanej z dobrej kuchni.

Zadowolona byłam niezbyt długo — okazało się bowiem, że zupełnie o innego był gościem zamawiającym dania z karty i każdorazowo placącym (niemalże kresząc) za obiady, a co innego — abonamentowym stolownikiem. Gościom podawano posiłki przy stołach nakrytych białymi obrusami, do każdego dania otrzymywali odpowiednio sztucze.

Stołownicy natomiast — dla których przeznaczono balkon restauracji — zasiadali przy stolikach nakrytych ceratą i szklanymi płytami, a jako przyszyby do jedzenia otrzymywali jedynie łyżkę i pogięty, aluminiowy widelec.

Przez parę pierwszych dni szło mi nieźle, ponieważ podawano bigos, zapiekankę, gulasz i inne mało kłopotliwe w jedzeniu dania. Pewnego dnia natomiast drugie danie składało się z ziemniaków, kiszzonego ogórka w całości i smażonej ryby — nie był to bynajmniej filet.

Wysłałam głodna, nie potrafiłam bowiem poradzić sobie z zjedzeniem tego dziwnego zestawu. Nie wszyscy jednak zrezygnowali. Sposoby walki z zawartością talerzy były różne: niektórzy przytrzymywali śledzia pozostawioną od zupy łyżką, wyszarpując mu boki widelcem, a ogórka bruli w palce. Inni z mozołem próbowali najpierw pokroić ogórka w plasterki bokiem widelca, jeszcze inni nadziewali na widelec raz rybę, raz ogórka, odgrzyzali po kawałku, palcem wyciągali z zębów ości, a po każdym kąsie

energicznym postukiwaniem o brzeg talerza strząsałi jedzenie, aby wbić na widelec z koleji ziemniaka. Większość dyskretnie rozglądała się na boki, aby zobaczyć, jak też radzą sobie sąsiedzi i ewentualnie skorzystać z cudzej, może wygodniejszej metody. Największe uznanie i zazdrość wzbudziło dwóch chłopców — z wyglądu uczniów młodszych klas szkoły podstawowej — którzy, wiedząc zapewne z lekcji historii, że widelec stosunkowo późno pojawił się na stołach, odrzucili niepotrzebny sprzęt i zjedli po prostu palcami.

Zdarzenie to, po którym zrezygnowałam z reszły abonamentowych obiadów, miało miejsce kilka lat temu, a przypominało mi się niedawno, gdy nieopatrznie weszłam na obiad do baru. Gdy przy okienku, przez które wydaje się potrawy, poprosiłam o noż do apetycznie pachnącej wołowej pieczeni, pani spojrzła najpierw na mnie z niechęcią, a następnie kazala wrócić do kasy i wpłacić 100 zł kaucji. Gdy wróciłam do okienka z odpowiednim kwitkiem, okazało się, że noża i tak nie dostanę, bo „już pozabierali, a mamy tylko pięć”. Gdy, narazając się na nieprzejmnie uwagi oczekujących za mną w kolejkę, usiłowałam dowiedzieć się, dlaczego w barze jest tylko pięć noży, obsługująca wyjaśniła że „nie warto kupować więcej, bo i tak ukradną”.

Przez panią wydającą posiłki przemawiało zapewne duże doświadczenie — niejedną tuż noży w ciągu jej pracy a własności społecznej, barowej, stał się właścicielką prywatną konsumentów. Pytałem jednak: dlaczego tak się dzieje? Dlaczego osoby, na ogół uczciwe i nie sięgające po cudzą własność w innych okolicznościach zabierają noże? Dlaczego tylko noże, a nie także łyżki i widelce?

Postanowiłam rozpytać w tej sprawie paru zaproszonych na kolację znajomych — uważając przy okazji pilnie, czy abaj moich własnych noży nie chowają do kieszeni. Uważałem, że dzieje się tak zapewne dlatego, że noże zarówno w kategorii sztuców aluminiowych jak i platerów — są najdroższe. (Ze srebrnej zastawy najdroższe są łyżki, ale w jakim lokalu podają srebra?).

Wydaje mi się jednak, że odpowiedź jest bardziej złożona: choć — czasami nieodparta — przywłaszczania sobie noża — podyktowana jest nie tyle jego ceną, co naszą podświadomością. Bardzo często przecież — nie zawsze świadomie — pragniemy tego, czego nie mamy a co mają inni.

Sprawa zaczyna się już w domu. Jakże często mama, zniecierpliwiona włoskami malucha, który dopiero uczy się jeść, sama kroi kocięciak na drobne kawałki, wręczając dziecku jedynie widelec, żeby zjadło szybko.

Nie dostają noża przedszkolaki — z zazdrością patrzą przy obiedzie jak posługuje się nim pani wychowawczyni. Nie wydaje się noży w większości stołówek szkolnych — zapewne z obawy, aby w ramach protestu przeciw przypalonej kaszy uczniowie nie rzucili się na panią kucharkę.

A gdy wreszcie dorosniemy, gdy w prezencie ślubnym dostaniemy komplet sztuców w pudełeczku wyłożonym różowym aksamitem (a ktoś takiego prezentu? a okazji ślubu nie dostaje?) a wśród nich co najmniej 6 — a bywa że i dwanaście noży, niekiedy bywa już za późno: w psychice naszej pozostały nieodwracalne ślady. Chcemy mieć wciąż więcej i więcej tych upragnionych w dzieciństwie ostrych przedmiotów, nie możemy więc oprócz się pokusie przywłaszczenia sobie noża z baru. Chcemy się nimi jak najczęściej i jak najlepiej posługiwać — bezlitośnie kroimy więc mielonego kotleta i gołąbki, naleśniki i omlet — do których to potraw sam widelec zupełnie wystarczy. Niektórzy z nas czasem tylko z ulubionego narzędzia rezygnują: gdy na stole zjawia się kura. Łapią wtedy w palce skrzydełko lub nóżkę, oświadczając przy tym półzartem, że to uchodzi w najelegantszym towarzystwie”. A przecież i w tym przypadku nie chcą bycia elegancją — takim właśnie potraktowaniu kury decydują, lecz brak noża w dzieciństwie.

Przed nami jeszcze spora część wakacji — czas, gdy znacznie częściej niż w innych porach roku jadamy poza domem — w stołowie domu wczasowego w barze i w restauracji. Wszędzie tam domagajmy się zatem noży do potraw, które wymagają krojenia — nie po to, ponieważ, aby schować je „na pamiątkę”.

AGATA

ODGŁOSY 15

Agonia w błysku stu słońc

Jacek Sawaszkiewicz

(11)

— Ach, rozumiem.
— Ale skoro już o tym mowa, to nazywam się Eccels. Cedric Eccels. Przemysł metalowy. — Nie było to igrzysko, bo miał on ciepły udział w spółce Rury i Zawory, którą prowadził jego brat. — Wykonuję też prace na zlecenie Instytutu Gallupa. — To było natomiast igrzysko wierne, stanowiło jednak wygodny parawan dla jego często natrętnej dobiekliwości mogącej wzbudzić nieufność rozmówców.

— Jestem Sabo Lynen — powiedział chłopak i zrobił pauzę potrzebną mu na zebranie myśli i podjęcie przerwanego wątku. — Ten Marvin Sarroh, scenarzysta, wie pan. Grałem w jego „Kroku w próżnię”.
— „Krok w próżnię?” — Eccelsowi coś niejasno zakolatało w pamięci. Chyba sztuka teatralna, wokół której swego czasu wytworzono atmosferę skandalu. I autor scenariusza... Marvin Sarroh? — związany z jakąś aferą. — Broadway, no cóż... Wstyd się przyznać, ale w teatrze nie byłem od lat.

— Uch, nie. No, owszem, wystawiliśmy tę sztukę w „Olive” przy Times Square i po premierze ochłaj trwał do białego rana, bo z początku recenzje były pochwalne jak diabli. Ale po tygodniu paru krytyków, pieprzonych mądrali, napadło na nas w prasie i trzeba było zwinąć dekoracje i wynosić się poza Broadway. Napisali, że „Krok w próżnię” obraża uczucia narodowe Amerykanów, takie bzdety, wie pan, bo ta sztuka pokazywała, jak to społeczeństwo próchnieje od środka i gnije. Potem graliśmy ją w wynajętym lokalu przez rok i zawsze przy pełnej sali. O cholera, skończyli mi się papierosy.

— W skrytce przed panem jest paczka „Cameli” — powiedział Eccels. No i kto by przypuszczał... chłopak, jeśli mówi prawdę, jest aktorem, młodym i zbudowanym, choć wygląda jak studentka na wakacyjnej wiośzędzie. Można by sądzić, że twierdzenie o myśleniu słałkami jest błędne, ale to wina ta. Gdyby ten Sabo Jakmu-tam zamiast przy szosie, stał przy kulisach, jego wizerunek nalożyłby się na słałki młodego zbudowanego aktora wprost idealnie.

— Dzięki. — Sięgając do skrytki po papierosy Sabo trafił dłoń na grzebiel kszątki i bezwiednie zerknął na jej kartę tytułową. — „Ewangeliarza Eliasa” — skonstatował zdziwiony. — Czytał pan to?

— Chyba każdy to czytał. Sabo położył książkę na kolanach i patrząc na nią w zadumie, niespiesznie zapalił papierosa.

— Nie wiedziałem, że wydali to tak elegancko. Ja mam ten popularny egzemplarz, wie pan. Format kieszonkowy i kartonowe okładki. A to chyba skóra?

— Dermatoid. Przysłał mi tę książkę wczoraj. To najnowsze wydanie. Z ilustracjami.

Nadal w zadumie, paląc, zaciągając się głęboko, Sabo spytał:

— Jak można zilustrować zagładę atomową?

— Dostę latwo. W każdym razie tak utrzymuje Elias. W którejs z swoich egzegez mówi, że wystarczy do tego widok ogólny na pustynię Mojave. Ale ilustracje w tej książce to dzieła dokumentalne. Zgłiszca Hiroszimy, trochę popalonych Japończyków, różne fazy doświadczeń z wybuchów termojądrowych; jest też wspominkowe zdjęcie wyspy Elugelab, którą pierwsza amerykańska bomba wodorowa wylądowała pod powierzchnią iacyfikę. I dziewczyna.

— I... co?
— Dziewczyna. Zdjęcie dziewczyny. Jest tam między kartkami. Ale to już z moich prywatnych zbiorów.

W rękach Sabo książka otworzyła się niemal sama — mniej więcej pośrodku. Edzie leżała ta fotografia Kremowy włochacz udrapowany kunsztownie, ugiął się miękko pod rozciągniętą niczym marcująca

kotka młoda kobietą, ledwie okrytą sarongiem. Jej lewa, zgięta w kolanie noga, była nieco odwiezioną, gładkie jasne włosy spływające po ramieniu z głowy odchyłonej w bok odkrywały długą szyję. Poza ta wyrażała tę samą nieśmiałość, chociaż wymowną prośbę, którą kobieta omdleającym wzrokiem kierowała do kogoś wybranego lub może do wszystkich gotowych ją spełnić Sabo aż westchnął.

— Fantastyczna — powiedział.

— Milutka, co? Poznałem ją pół roku temu. Pracowała wówczas jako subiektka w Towarzystwie Odsprzedaży. Kupiłem jej przytulny domek, jakoś ją urządziłem i teraz jej jedynym obowiązkiem jest czekanie na mój telefon.

— Fantastyczna — powtórzył Sabo z nie tajonym podziwem. No i kto by przypuszczał... facet rozbiła się angielskim sportowym Aston-Martinem, mówi: „wskakuj pan do wozu” i że jest z Instytutu Gallupa, szpanuje zdjęciem fantastycznej dziewczki, której kupił chatę i zapewnił utrzymanie, a wygląda jak zahakany urzędnik z kasy biletowej w zabitej dechami mieszcinie. Powiedział, że on co? Przemysł metalowy. I facet musi siedzieć mocno w tym przemyśle, a to pachnie ciężką forszą. Co najmniej tak ciężka, jak forsa Briana B. Bliss z firmy ThreeB's, tego typunia, który za pośrednictwem Hy Ethonova wynajął trzynastu aktorów, żeby pomogli mu wykupić pół Florydy.

Tego typunia — pomyślał Sabo — który w tym celu razem z innymi wynajął także mnie.

FRAGMENT EGZEGEZY Z „EWANGELIARZA ELIASA”

1. Na początku Czysta Energia stworzyła próżnię i materię.
2. A materia była nieskażona i martwa, i ciemność wypełniła próżnię, a Czysta Energia unosiła się w atomach wodoru.

3. I rzekła Czysta Energia: Niech będzie światłość; i stała się światłość.

...Nikt z obecnych nie zobaczył pierwszego błysku wybuchu atomowego. Zobaczyli tylko oślepiający błądź odświecenia i na okolicznych górach...

...Cała okolica została oświetlona oślepiającym blaskiem o natężeniu wielokrotnie większym niż blask słońca w południe. Było to światło złote, purpurowe, fioletowe, siwe i niebieskie. Oświetliło każdy wzgórek, szczelinę i grzązki pobliskiego łańcucha gór z wyrazistością i pięknem, których nie można opisać, które trzeba zobaczyć, by móc je sobie wyobrazić...

Z „EWANGELIARZA ELIASA”

Do czwartej sekundy po godzinie „C”



50 kilometrów od punktu „O”.
... i wtedy, stojąc tak zaskoczona w ten nieuchwytny dźwięk, z włosami rozszpanymi na gotych plecach i w skąpym kostiumie plażowym z czarnym lukrowanym napisem: DLA CIEBIE na figach, Florence rzeczywiście poczuła się niczym nimfa. Bo ten dźwięk, który wibrował pod kopułą niebios i przenikał całą przestrzeń, był jak hymn pochwalny na jej cześć, jak milczenie przyrody obserwującej w zachwyceniu narodziny Nowej Wenus Sklepienie nad jej głową, grunt pod jej stopami, każdy minerał, każda roślina i każde

stworzenie wokół niej, wszystko zdawało się tętnić jej własnym rytmem. Florence na błogą chwilę zatraciła się w tym uczuciu i zrozumiała, że stanowi częścią tego świata — odrębną, a przecież integralną. Stojąc z uniesioną ręką i ostatnioż twarzą przed słońcem, zamknęła oczy, by spotęgować to uczucie jedności i harmonii.

Narodziny Wenus — jak na obrazie Botticellięgo. Tyle że prawą ręką zamiast obnażonych piersi ostaniała twarz, a w lewej, przyciśniętej do brzucha, zamiast pękła włosów, które tamtej opadają na biodra, trzymała spódnice, bieliznę zdjętą wcześniej w zarostach pod kępą drzew. Jakby przez nieuwagę Florence upuściła te rzeczy na ziemię, nie zmieniając postawy, nie otwierając oczu, bo ten dźwięk wypełniający przestrzeń wyraźnie ją przed tym ostrzegł. Było to ostrzeżenie Tęgo, który ją stworzył. Jego dzieło nie zostało jeszcze dokończony, więc musiała cierpliwie czekać na Znak.

— Florence? — powiedział pan Leinster.

W przysiadzie, wsparty na młotku, patrzył na swoją córkę, nie przestając wyciągać siucha. Przejmował go nieokreślony lęk, jednocześnie wzbierata w nim wściekłość. Florence w tym dziwkarskim tachu! I co za pozę ona tutaj przybrała? Myśli, że jest w studiu filmowym, czy jak?

— Florence! — wrzasnął. Jego głos, chociaż podniesiony do wrzasku, zabrzmiał sztywnie i trwożnie w gorącym, stęszającym powietrzu. Tak sztywnie, że Powell cofnął dłoń wyciągniętą po stoik z rosyjskim sosem, który od biedry mógł zastąpić rekwizytowy keczup.

Florence ani drgnęła. Czas się zatrzymał i nic nie miało znaczenia. Była przekonana, że nie jest to jedynie przenośnia literacka, bo czas naprawdę się zatrzymał i naprawdę nie ma znaczenia, że Jarecki zobaczył ten napis: DLA CIEBIE na jej figach i upadł we wściekłość, ani że mama odjechała samotnie, pozabawiając ją nieśmiałości okazji przyśnięcia z tego biuwaku Zastępu Obłąkanych Zuchow, ani też, że może bezpowrotnie

straciła dzisiejszą popołudniową randkę, ani nawet, że nie spotka się z Murrayem. Ochl, nie! Z Murrayem musi się spotkać!

W zardrosnym proteście Ten, Który ją stworzył objawił się jej nagle pod postacią olśniewania. Przez jej zacisnięte powieki wtargnęło jaskrawe światło. Nie widząc, a zarazem widząc mimo zamkniętych oczu, Florence wiedziała, że światło to niczym kosmiczny błysk magnetyzacji rozdarło nieboskłon na ulamek sekundy, a z jego środka dwie gigantyczne błyskawice wystrzeliły do niej po obrzeżach widnokręgu i pochwytyły ją w pieśczołliwie sadystryczne objęcia. Nadal zaciskając powieki, ale świadoma spowijającej ją jasności Florence odniosła wrażenie, że światło przygasało, by rozbiysnąć na nowo w tym samym momencie — jakby się już rozjarzyło, nim jeszcze przygasło; i wiedziała też, że na ono barwę...



38 kilometrów od punktu „O”.
Tu, w motelowej łazience ten nikiły, konający przyspiew syren alarmowych w ogóle nie był słyszalny, zagłuszony szmerem wody. Lucy obróciła się przodem do natrysku i na miseczkach dłoni uniosła swoje piersi — nadal jędrne, chociaż od dwudziestu lat czerpały z nich pociechę liczni mężczyźni, na co pozwalała im szkodliwie i obojętne, od kiedy głupiotki, ale skwapliwie i z przyjemnością pozbyła się cnoty w szesnastym roku życia.

Każdym porem skóry chłoneła zimno spływających po niej strumyczków wody i splukiwała z siebie pot i kurz drogi przebytej Charge'em; szybkim sportowym kabrioletem, żeby podkreślić swoją przynależność do świata i żeby każdy widział, że prowadzi go kobieta niezależna i z temperamentem. Kobieta atrakcyjna, całkiem seksowna i stosunkowo młoda. Trzydziestolatka — bo na wiek jej nie wyglądała.

„Pa, pa, Ronnie. Zostań ze swoją Connie.”

Po prostu pożegnał się listkiem o białej, żartobliwej treści i bez podpisu. Radykalne cięcie przez krępującą ją pęta i nowy rozdział w jej życiu. Nowy salon mody, nowa koncepcja reklamy, nowe podejście do klienta, nowy personel, nowe zamki i nowe systemy alarmowe, a i ta dzisiejsza wyprawa po nowego przyjaciela. Właśnie, wyprawa. Dlaczego zaraz urządzić wyprawy? Wyruszenie w tym motelu zatrzymała się na krótko, tylko po to, by wziąć odświeżającą kąpiel i trochę odpocząć, zanim rozpocznie towarzyszący do dobrej z górą, więc może by warto spędzić tę dobę tutaj w całości? Jaki jest sens jechać do nieznanego, kiedy nieomylnie oznaki świadczą, że przyległe pokoje i sąsiednie domki pełne są mężczyzn szukających przygody? I ten bar obok recepcji wygląda na obiecującą stajnię operową.

Kciukami musnęła kontuszki piersi i wtedy pod przysiężką uderła się jasność — przez uchylone drzwi do łazienki i przez plastikową zasłonkę w seledynowe rekiny. Trupiosine światło przeszło powietrze na przetrzał, a potem buchnęło nabierając barwy jaskrawożółtej. Strumyczki wody tryskające z sitka zamigotały jak sznurki drobnych brylantów i Lucy zmrużyła oczy. Z jedną ręką na pierściach, z drugą niedorzecznie zakrywającą czarne, wlniaste włosy między udami, postawiła krok do tyłu, jakby w obawie, że wraz z tym światłem uderze się tutaj sfera lamperzystów, by ujawnić telewizjom jej bezwstyd.



26 kilometrów od punktu „O”.
— Oglaszam alarm atomowy — powiedział ponownie pułkownik Dowd.

Powiedział to do siebie, by w całym majestacie dramatycznej sytuacji oszacować wartość tych słów, kiedy jego wniwczek w punkcie dowodzenia przewidział podobnie wybierając już numer telefonu Normana — zgodnie z wydanym mu rozkazem. Z rozkazem chyba zbędnym. Bo jakich to informacji może udzielić kapitan McLorren, nie mając konkretnych danych? Wiedomo, że wybuchom jądrowym towarzyszą przepięcia; przy umiarkowaniu o mocy stu kiloton sięgają one pięćdziesięciu tysięcy kilometrów, i chociaż ich wielkość szybko maleje w miarę wzrostu odległości od punktu „O”, to wystarczy jak coś takiego gruchnie w pobliżu bazy wojskowej, żeby zakłócić pracę komputerów sterujących wyrzutniami. A przecież rakiety tamtych cechuje duża celność i oni nie będą się z nami bawić w kosti, kosti łapci, tylko od razu wyślą nam swoje megatony, więc jeśli bodaj jedna sztuka przeniknie naszą zapórę, otworzy na początek co najmniej parę furtek do samych czeluści piekieł, otworzy je przed nami na oścież i w ciągu trzech godzin zapanuje na świecie demokracja, do psiej nędzy.

— W ciągu trzech godzin! — zapewnił białą drewnianą dzwonnicę kościota na horyzoncie.

— W ciągu trzech godzin. — spytał ze schronu mały Eddie.

Trzymając słuchawkę przy uchu, z regulaminowym opóźnieniem czekał, aż zgłosił się wujek Norman, co mogło długo potrwać, zawsze długo trwa, nim wujek Norman podejździe do telefonu, a już szczególnie długo, kiedy wyją syreny, bo on w tym czasie siedzi na werandzie i patrzy w kierunku miasta, „żeby zobaczyć, czy tyśnie, czy nie tyśnie”, i nie rusza się stamtąd, dopóki syreny nie przestaną wyc. Może więc lepiej, jak przestaną. Ale wtedy dziać, o jeny, mógłby odwołać ten alarm atomowy, strasznie emocjonujący.

— W ciągu trzech godzin —

potwierdził pułkownik Dowd. — W najgorszym razie aż tyle.

Eddie zadął głowę i podniósł na niego wzrok pełen rozterki. Ze słuchawką przycisniętą do ucha siedział na niskim, składanym taborecie, podczas gdy dziać stał na nasypie, plecami do ich domu, sapiąc i rozmyślając, z pustą szklaneczką w dłoni. Ich dom tam w tyle, bliżej dziać w bluzie munduru zroszonej kroplami whisky, u jego stóp łagodnie opadający wykop, nad nim sferyczny błękit pogodnego nieba — wszystko to, ujęte w prostokątne ramy stalowej ościeżnicy, wypełniało głównie wyjście ze schronu i raptem wszystko to znikło, cały ten obraz. Jakby pod wpływem zwarcia w aparacie projekcyjnym eksplodowała lampa i od tej eksplozji taśma filmowa pękła, a jej oba końce zwinęły się w przeciętne strony i tylko rażący blask, który bił od rozszadzonej wewnętrznej ościeżnicy lampy, jaśniał jeszcze na pustym prostokącie ekranu.

Blask ten padł na betonowe ściany, strop, posadzkę, wypłukał z półmroku każdy element, podkreślając jego kontury z agresywną ostrością, wniknął w każde zagłębienie, w każdą szparę, odsonił każdą nierówność. Słuchawka zaszkrocała piskliwie, ze zgrozą i umilkła po nagłej agonii. Wypuszczając ją z ręki Eddie zakrył oczy i skulił się na taborecie. Podobnie skulony, cztery przecnie od tego schronu, siedział na huśtawce pod zadaniem wernandy Norman McLorren, kapitan wojsk lądowych. Wstuchiwał się w życie Patience, zainstalowanej osiemset metrów stąd na dachu sądu federalnego, swojej ulubionej syreny, której aksamitny oł niespodziewanie zaczął opadać, zanim zdolał wspiąć się na ton najwyższe.

Lysnęło — mógłby pomyśleć, gdyby zdążył — lysnęło, do jasnej cholery, lysnęło, jak mi Bóg miły.

Jeszcze nie wiedział, czy jest to powód do radości, czy rozpacz.



17 kilometrów od punktu „O”.
No, omal nie rąbnął się kolanami w broń, kiedy na szorstkim ręczniku rozłożonym nad basenem, podparty na wyprostowanych rękach jednym wyuczonym, energicznym ruchem wsunął pod siebie zgięte nogi, żeby z pozycji leżącej przejść do przysiadu, a następnie — do pełnego wyprostowania. Omal się nie rąbnął (co niezawodnie spotkałoby wymoczek Coppermana, gdyby to on był na jego miejscu), na szczęście w porę poderwał głowę.

Równie dobrze wyuczonym, energicznym ruchem Adam rozluźnił mięśnie barkowe i wygiął ramiona do tyłu, jakby strząsał z siebie jedwabny płaszcz z napisem „Mistrz Świata” na plecach. Zbliżając się do schodów prowadzących na szczyt wieży zauważył, że Linda Tossey przystaje obok stolika zajętego przez te dwie nieznanne dziewczyny w jedynakowych kostiumach i w stómkowych kapeluszach, co do nich mówił, a one odpowiadają jej ze śmiechem. No — pomyślał kładąc dłoń na rozgrzanej barierce i wstępując na pierwszy stopień — zdaje się, że wychowawca szkółki niedzielnej przeżyła wewnętrzną opory i nawiązuje znajomość z ekskluzyjnym burdelem. Jeżeli ona kiedykolwiek miała jakieś opory. Bo w szkółce niedzielnej raczej nie uczono jej noszenia mglianych bikini, wypinania piersi i rozchyłania nóg pod pozorem, że się wystawia ciało na słońce.

C.D.N.

Tytuł pochodzi od tytułu autora „Stan zagrożenia”



Rys. Janusz Szymański-Glane